



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

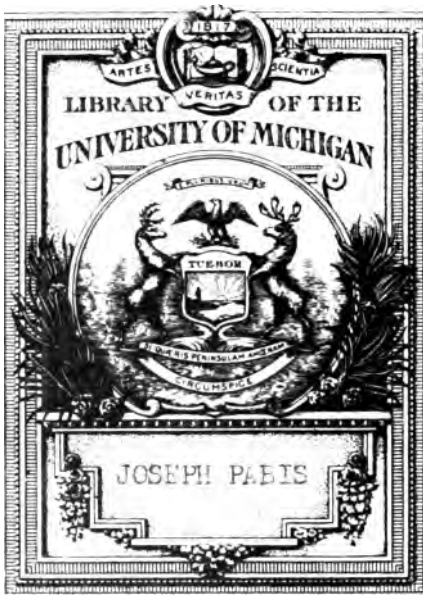
A 875,593

W. DYNIEWICZ

...ZAKŁAD...

FROLIGATORSKI
(oprawianie książek)

Noble st. Chicago, Ill.







.



ZATRACENIE



Tegoż autora wyszły:

- Poezye. Serya I — wydanie trzecie.**
- Poezye. Serya II — wydanie trzecie.**
- Poezye. Serya III — wydanie trzecie.**
- Poezye. Serya IV — wydanie drugie.**
- Poezye. Serya V.**
- Wybór poezyi — wyczerpany.**
- Anioł śmierci — wydanie trzecie.**
- Melancholia — wydanie drugie.**
- Otchłań — wydanie drugie.**
- Panna Mery.**
- Wrażenia.**
- Na skalnem Podhalu I — wydanie drugie.**
- Na skalnem Podhalu II.**



KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER



ZATRACENIE


ROMANS



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1905



891.858
T347za



CZEŚĆ PIERWSZA:

ANIOŁ ŚMIERCI

ROMANS.

CZEŚĆ DRUGA:

ZATRACENIE

ROMANS.



ROZDZIAŁ I.

Niebo ciche, błękitne...

Oto ja, prosta, zwykła dziewczyna, patrzę na ciebie, i zdaje mi się, że mogłabym mówić z tobą...

Swiecisz ponad drzewami i jasne białe chmurki płyną po tobie...

Płyną i nikną...

I znowu tworzą się, nie wiedzieć skąd, jasne białe, złociste...

Będę szczęśliwą?...

Snują mi się myśli o szczęściu, płyną i nikną...

I znowu tworzą się, nie wiedzieć skąd, jasne, złociste...

Będę szczęśliwą?...

Przyjdzie jaki królewicz z bajki? jaki księżę zaczarowany?...

Pochyli mu się złota korona do moich kolan, padnie mu do nóg moich stalowy miecz?...

Gdy jutrzienka zbudzi w pierw kwiaty, niż ludzi,
Któż to snów złotych świat rzuca rad?
Kasztelanka hoża śpieszy prosto z łoża
W ogród, wśród kwiatów kwiat...

Zkądże chęć płonie od świtu już
Zdobić swe skronie w strój świeżych róż?...
La! la!*)

Staroświecka jestem panna. Spiewam piosenki
prababek i marzę o zaczarowanych królewiczach...

Ach, kasztelanko! Cóż znaczą, cóż,
Łzy z twoich oczu na listkach róż?
Kwiat się ich nie złąknie, bo mu z rosą pięknie —
Włóż je na główkę, włóż...

Stara, stara piosenka...

Niebo ciche, błękitne, kochane niebo opolskie,
pogodnie się tak ścielesz nade mną, czy wró-
żysz mi takie życie ciche, pogodne, złotemi
obłokami dziergane?...

Teraz, kiedy głowę o te kwiaty łączne opie-
ram, kiedy mi te róże nasze pachną, kiedy mi
to słońce tak jasno, prosto w oczy świeci, wy-
daje mi się tak pewnym, tak bezpiecznym świat...

Zdaleka szumi potok... Dziwne — nigdy tego
wrażenia nie doznawałam — jak gdyby życie
moje płynęło tam przede mną...

Wsluchuję się — tajemnica...

*) Francuzka stara piosenka, przekład Chęcińskiego.

A wydaje mi się, że się toczy dzień za dniem
godzina za godziną...

Cóż będzie?...

Królewicz z bajki, czy też nie przyjdzie ja-
kaś mała z pod ciemnej gwiazdy, z kołnierzem
po uszy, z rozdziałem na dwie strony, nie za-
wróci mi w lepetynie i nie zrobi jaką nadętą
odętą i wydętą hrabiną, prezesową towarzystwa
zbierania składek na ubogich papuasów i pro-
tektorką balów na rzecz przytulku dla upadłych
matek w departamencie Niższej Sekwany? Nie!
Chyba się tak nie stanie!

Niebo ciche, błękitne, drogie niebo opolskie!
Dla kogóż ja się tu urodziłam? dla kogóż tu
rosłam? Dla — —

Dla kogóż mam te piękne oczy, podłużne,
jak śliwki, a słodkie, jak figi; dla kogóż to pię-
kne, arystokratyczne, rzymskie, zakrzywione wąż-
chadło, dla kogóż te krasne ust pomidory?...

Śmieję się, a płakałabym... Prostu jest mi
za dobrze na świecie...

Wolałabym tu zostać, niż jechać w jesieni
do Warszawy... Kochana ciocia Femcia Wy-
czewska!... «Ma chère Thérèse!...» — naturalnie,
jakżeby można nie zacząć listu po francusku?—
«Skończyłaś dziewiętnaście lat, bawiłaś się do-
syć, czas ci już wyjść za mąż. Zima tego roku
w Warszawie zapowiada się świetnie...» Będą
lale w pasy, lale w prążki i lale w kratki...

Ciekawam, czy takie same, jak nasze prowincjonalne lale w pasy, lale w prążki i lale w kratki?... Skończyłam dziewiętnaście lat, więc, według cioci Femci, powinnam już jak najprędzej uszczęśliwić swoją ręką jakąś taką lalę, bo się «opatrzę.» «N'oubliez pas, chérie, że panna, która więcej bywa, niż dwa karnawały, opatrz się...» Nie! To mogą człowieka dyabli wziąć! Panna jest mantyla, czy kapelusz, żeby się opatrzyła!

Opatrzę się, czy nie opatrzę, wyjdę, o ile mi się będzie podobało, kiedy mi się będzie podobało i za kogo mi się będzie podobało...

»Ach, kasztelanko! Cóż znaczą, cóż,
Łzy z twoich oczu na listkach róż?
Kwiat się ich nie złąknie, bo mu z rosą pięknie —
Oh la! la!...«

Jest mi spokojnie, cicho, swobodnie. Potrzebowałem jakiegoś pchnięcia zewnątrz do nowej roboty i otóż mam je. Zacząłem znowu rzeźbić i malować. Tężel byłby kontent.

Spokojnie mi jest zupełnie. Sen się prześnił i wszystko pierzchło — przeszło.

Teresa... Jakiś daleki, daleki dźwięk...

Oczy... Jakie ona miała oczy? Średnio duże, błękitne?... Nie pamiętam prawie.

Pociągła twarz, z cudną linią owalu; blada, w monotonnym niesłychanie szlachetnym kolorze, prawie bez różnicy barwy na licach i czole. Nos rzymski, śliczny. Usta niebardzo wąskie i niebardzo drobne. Wysoka, smukła, powolna i jakby leniwa w ruchach; wszystko miało w sobie coś z labędzia na wodzie i coś z gałęzi jodłowej, kołysanej lekko przez wiatr. Piękna była.

I ten uśmiech... Ten uśmiech, który się «może śnić w grobie nawet...» Ten uśmiech o tak niewysłowionym wdzięku i uroku, jak niewypowiedziany jest wdzięk i urok blasku słonecznego na wodzie o świtanu. Coś, przed czymby się mogło stanąć, jak przed kwiatem. Ten uśmiech, który ją całą zasłania, za którym ona niknie z całą swoją duszą, z całym swoim mózgiem, ze wszystkim, co w niej jest, po którym niczego się w niej nie jest ciekawym, niczego się od niej innego nie żąda, niczego nie chce i po którym nic więcej się z niej nie pamięta. «Może się śnić w grobie nawet...»

Zaćmiło mi się w oczach i widzę ją jak przez mgłę, ale uśmiech jej lśni mi w oczach, jakby mi przylgnął do źrenic.

Chcę ją wydać za mąż. Dobrze.

Kiedy ja to usłyszałem? Wczoraj? Czy temu rok? Kiedyż się nagle urwał i uciekł ten «nowy sen?»

Byłem zupełnie umarły. Ożyłem. Zdawało mi się, że zaczyna się nowe życie, *vita nuova*.

Na nowo zacząłem być młody, nanowo przestałem myśleć o śmierci, a zacząłem myśleć o życiu. Na nowo chciałem żyć. Chciałem, nie: musiałem żyć. Chciałem żyć nie z tego powodu, dla tego, że się urodziłem i żyję, ale z pragnienia życia. Dla niej, przez nią... Z nią... Wiedziałem, że to nie będzie, ale tak bardzo była mi słodką i drogą ta myśl, marzenie o niej...

Ktoś wczoraj rzucił mi koło ucha, że hrabiankę Teresę Morską chcą wydać za mąż i wszystko odrazu runęło, a raczej nie runął żaden fakt, nie runęła nawet moja własna wyobraźnia, tylko runął mój sen, moja bez woli mojej, bez współnictwa mego mózgu, krążąca mi po głowie myśl. Wszystko runęło, i zostało mi to jedno, co jest widocznie jedynym celem, jedynym przeznaczeniem mego życia: malować i kuć marmur.

Jaki człowiek jest głupi! Boć przecie doskonale wiedziałem, że pannę na wydaniu chcą wydać za mąż, że Teresę na to przywieźli do Warszawy, i że ona także niczego innego nie chce; wiedziałem najdoskonalej, a tak, jakbym nie wiedział. Dopiero kiedy mi to wyraźnie, słowo po słowie, litera po literze, zadźwięczało w uszach: dopiero teraz wiem.

Miłe musi być uczucie, kiedy tak skazanemu

na śmierć, słowo po słowie, litera po literze przeczytają wyrok.

Wyjdzie za mąż. Czy od pierwszej chwili, kiedy się dowiedział o jej istnieniu, nie wiedziałem o tem?

Jest mi cicho i spokojnie. Zaczęło się coś we mnie budzić, zrywać i znowu zgasło — od jednego wyrazu. Czuję tylko pchnięcie do roboty. Wstrząsnęły się jakieś warstwy we mnie, jak po lekkim trzęsieniu ziemi. Przechodzę do porządku dziennego nad Teresą, jednak jakimś deszczem splókany. Więc dobrze...

Dobrze — tylko znowu ja nie chcę żyć, ja tylko muszę żyć, tylko znowu życie moje dzieje się ani z moją wolą, ani bez mojej woli, jedynie dzięki istnieniu mojemu i zbyt małej energii niechęci życia. Żyję... Ale znowu nie: chcę żyć.

Teresa... Daleki, daleki dźwięk... Jakies takie obce mi to imię... To jest dziwne, żeby uplastycznienie głosowe mojej własnej myśli przez cudzy głos, mogło tak działać jak gdybym się zupełnie czegoś nowego dowiedział i jak gdybym przedtem właściwie zupełnie tego, co ten ktoś powiedział, nie myślał. Samoistna myśl ludzka bywa często podobna do rozumowania człowieka, który idzie po wąskiej kładce i wie, że zleci w wodę, przedtem, nim zleciał, i potem kiedy z wody wylazł. Zupełnie inną jest świa-

domość teoretyczna, że może być zimno w łydki i jak może być zimno w łydki, i teoretyczne wspomnienie tego faktu, a zupełnie inną taką uświadomioną świadomość, że jest zimno w danym momencie.

Miałem orzech w ręku, że Teresa musi iść za męża. Ale dopiero ktoś inny musiał mi skorupkę rozłupać i ziarno do ust włożyć.

Nie wiem, dlaczego przychodzi mi teraz Jerzy na myśl. Namordował się, natrapił w życiu, szukał szczęścia i znalazł. A kiedy znalazł — zaraz się zaczęła plątać koło niego śmierć. Teraz, jeżeli umrze, będzie umierał z całą wiedzą, jak się jest szczęśliwym. Nie wiem, która śmierć jest gorsza?...

Tak powiedzieć wszystkiemu: nigdy.

Dawniej to słowo otwierało mi przepaść przed oczyma, a kochałem je. Grało mi jakąś taką melodyą, jak żaden inny wyraz na świecie. Jeżeli ktoś ma usposobienie do tęsknienia, to musi kochać: nigdy. Tylko, że z czasem wszystko powszednieje, poprostu obije się o uszy. Człowiek się tyle razy pyta: czy będę szczęśliwy? i tyle razy czarny kruk Poëgo odpowiada mu: nigdy, że w końcu obojętnieje wszystko. Życie, śmierć, szczęście — «wszystko to już było».

Jakieś warstwy jednak wstrząsnęły się we mnie, jakieś warstwy pragnące szczęścia. Jak ziemia pod śniegiem, tak w człowieku drzemie

zdolność pragnienia szczęścia. Pierwsze słońce, pierwszy deszcz — i puszcza się ruń tęsknoty. Myślę, że tak jest do samego końca, zupełnie jak z rolą, której coraz mniej uprawy się dostarcza, która się wysila rodzeniem — i w końcu z pod śniegu wydobywa się jałowa, sucha pustka.

Dziwnie, jak kobieta wstrząsa człowiekiem. Spadłem już do tego, że właściwie życie prowadziło mnie, byłem w jego rękę; teraz ja znowu chciałbym tworzyć życie, nie być kierowanym przez nie, ale kierować niem.

•Zobaczyłem ją tylko na chwilę
I już nigdy nie ujrzę jej więcej,
Dziwny los...
W moich piersiach wstało pragnień tyle,
Moje serce zabiło goręcej
Na jej głos...
Poszła dalej zimno, obojętnie,
Próżnom drżał...
Nie widziała, co się ze mną działo,
Nie przeczuła, żebym dla niej chętnie
Życie dał... *)

Teresiu!

Jaki daleki, daleki dźwięk... Niebieskie, podłużne ma oczy, nos rzymski, szyja i ramiona niezmiernie białe, podobne do rzeźb klasycznych... Wysoka, smukła...

*) Asnyk.

I pomyśleć, że to jest to samo, co wszystkie — pomyśleć choćby dlatego, że ja tak naprawdę pięknie, tak jakos posagowo myślałem o niej...

Czyżby więc jednak »książka mego życia« nie była zamknięta? Czy myliłem się tam, nad morzem, i czy myliła się ta kobieta, z którą rozchodziliśmy się z uczuciem, że książki naszego życia zamknięte i że nie zostaje nic, tylko życia dożyć, wspominać, o ile co wspomnienia warte, i umrzeć?

Przed naszymi oknami zachodzi słońce,
Kończy się dzień —
I nasz dzień dogorywa...
Kawał się życia do naszych stóp
Wall, jak trup —
Nie patrz nań, zdrowa bądź, bądź szczęśliwa!...

Tymczasem jednak nic do moich stóp nie runie. Przyszło, przeszło i zrobiło swoje.

Ramiona podnoszą mi się do góry i dźwigają nowe wielkie bryły marmuru. Oto tam leży Napoleon przykryty płaszczem z pod Marengo, umarły, a nad jego głową olbrzymie widma ludzkich nędz, Trwogi, Rozpaczy, Bólu, walczące ze Sławą, kruszącą im potworne pyski pięściami.

Kolosalne figury, o muskułach, jak rzeźby Michała Anioła, o wyrazach twarzy tak poczwarnych, jak walczące Centaury Boklcina.

A nad tem wszystkim Śmierć, tak spokojna, tak cicha, jak twarz umarłego Napoleona; z założonemi rękoma na piersiach, w długiej szacie, nie patrząca na nic, nie widząca nic — Śmierć, która »robi swoje«... I ze mną także zrobi swoje...

Wykuję także posąg człowieka, który na własnych stopach opierając oczy, patrzy w bezdenną pustkę swej samotności.

Niech to będzie najsmutniejszą rzeźbą świata i najliryczniejszą rzeźbą mojej duszy...

Teresa... Daleki, daleki dźwięk...

Gdybyś ty mnie kochała?...

Gdybyś ty mnie kochała, wziąłbym ręce twoje białe i długo, długo patrzył ci w oczy. Jak w pustkę samotną mego życia szedłbym w oczy twoje, daleko, daleko... Minęłaby godzina, minęłby tydzień, minęłby rok — możeby życie minęło, a ja bym patrzył w twoje oczy. Bo mnie przedewszystkiem potrzeba od własnych moich stóp odwrócić wzrok i w czyichś oczach utonąć na wieczność...

Co on teraz robi w tej chwili? co on robi? Boże mój! Gdybym nie była hrabianką Teresą Morską, gdybym nie była panną z towarzystwa, gdybym była prostą dziewczyną wiejską, albo

szwaczką z czwartego piętra, poszłabym do niego poprostu, zaraz, zapukała do drzwi i powiedziała mu: jesteś taki smutny, tak smutno patrzysz na mnie, czy ty czego chcesz ode mnie? Co ja ci mogę dobrego uczynić? Co mogę zrobić dla ciebie?

A gdyby... a gdyby mi powiedział, że mnie kocha?...

Nie, tegoby nie powiedział... on nie kocha mnie...

A gdyby, a gdyby mi to powiedział?...

Cóżbyś ty uczyniła wtedy, Teresiu?

Gdyby cię wziął za ręce, za obie, mocno, głęboko, gdyby cię za ręce uściskał i powiedział ci miękko, cicho, szeptem prawie, ale wyraźnie i pewno i mocno: »kocham cię«... — cóżbyś ty uczyniła, Teresiu?

Zbladłabyś bardzo i nie odpowiedziałabyś nic... aleby ci ręce zostały bezwładne w jego rękach, a gdyby on cię pociągnął ku sobie, miękko, łagodnie, ale mocno i pewno, tobyś ty pochylila się ku niemu, i gdyby cię objął w pól, tobyś ty się nie broniła, i gdyby ci usta położył na usta, tobyś ty zamknęła oczy i dała się całować, i oddałabyś mu pocałunek... A gdyby cię spytał: czy kochasz? tobyś ty wtedy powiedziała: nie wiem...

Wtedy... tak...

Bo jednak zastanów się, że od kilku tygo-

dni nie myślisz o nikim innym i także o niczem innym. Od chwili, kiedyście się spotkali, nie myślisz o nikim innym. Tak jest. To jest prawda.

Nie... nie kocham się w nim, ale nie myślę o nikim innym i o niczem innym. Nie wiem...

Jest tak inny. Jego stalowe oczy przecie mają duszę, tę duszę, której napróżno szukam koło siebie. Sławny jest mówią, że jest genialny artysta — prawda, ale to nie to.

Opowiadają historye o nim — to nie to.

Nie to mnie nęci w nim. Dusza jakaś siedzi w jego oczach, dusza, to, czego napróżno szukałam koło siebie.

Tak, Teresiu, ale bądź szczerą: ciebie najwięcej w Romanie Rdzawiczu nęci to, że on nie jest dla ciebie »niełaskaw«, gdy się spotykacie.

Pochlebia ci to? No tak... Nie jesteś panną z wielkiej arystokracji, ale ostatecznie jesteś hrabianką sama i nie jesteś głupim idyotycznym snobem, żeby ci pochlebiała asysta hrabiego Kmity, Górki, czy Tęczyńskiego, albo książąt Poryckich, Zasławskich, czy Koreckich, to zaś, że cię szuka wielki artysta, to cię wyróżnia i inaczej wyróżnia, jak asysta tych panów.

Tak, ale bądźmy szczerzy, nie szacujmy się niżej, niż jesteśmy. Pochlebia ci *trochę*... ale *bardso* nęci cię dusza, którą widzisz w stalowych

oczach tego człowieka. Dusza, wewnętrznem życiem oderwana od świata i w każdym spojrzeniu oczu mówiąca: tęsknię, pragnę, szukam... Ach! I ja szukam... i ja przecież czegoś chcę, czegoś pragnę, czegoś innego jak to, co mam.

»Tereni nieszczęście jest to, że jest inna« — powiedziała ciotka Wyczewska i dobrze powiedziała. Jestem inna. Wiem to, czuję to. Jestem inna i chcę czego innego, jak mam.

Cóż mam?

Więc przedewszystkiem tytuł hrabiowski, bez hetmanów, bez kanclerzy, nawet bez wojewodów, z jednym tylko biskupem i trzema kasztelanami w rodzie, ale mam. Urodę. Tak. Ładna jestem i tego nie mam co ukrywać przed sobą, i ostatecznie to jest rzecz gustu, czy nie mogłabym się nawet więcej podobać, niż piękna Joasia Zasławska, albo Olga Kmitówna, albo nawet słynna panna Wanda Polkowska, czy panna Szmid? Cóż mam dalej? Dobrą figurę, stosunki i koligacye. Posag, no, nieduży, jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy marek, ale ostatecznie i z tem można wytrzymać. Dużo nas jest, trzech synów, trzy córki. Ten posag to jest troszkę słabą stroną. Każdy z chłopców dostanie po sześć kroć, Emilka w klasztorze, a młodsze dziewczęta muszą wyjść dobrze za mąż — mówi papa. Dobrze: to znaczy: bogato. Przedewszystkiem bogato. O! Ale niedoczekanie wasze! Niedoczekania

nie wasze, papo Morski, mamó Morska, siostró Emilko, wszystkie ciotki Wyczewskie i cały świecie, żebyście mnie zmusili do pójścia za mąż wbrew mojej woli i nie tak, jak mnie się będzie podobało! Niedoczekanie waszel!

Żeby Cesia była większa, żeby ona była starsza ode mnie! Żeby przynajmniej była tak jak ja, już panną na wydaniu. Ta się machnie, za kogo jej pokażą. Bo »twoja siostra Cesia nie jest głupia, Cesia wie, czego ma chcieć« — mówi ciotka Wyczewska. Istotnie, Cesia ma czternaście lat, ale doskonale wie już teraz, czego ma chcieć na przyszłość. »Ja wyjdę za mąż za kogobądź, jaknajprędzej i byle jaknajlepiej pod względem towarzyskim i majątkowym, a potem będę robiła, co mi się będzie podobało« — powiada.

Ta wie, czego chcieć.

Ale ja »nie wiem«, jestem »inna« w dystyngowanych ustach ciotki Wyczewskiej, to znaczy: jestem głupia. Głupia jestem i nie wiem, czego chcę?... Duszy! duszy! duszy chcę. Duszy ludzkiej, człowieka chcę! Chcę, aby mnie kochał *człowiek* i abym ja kochała *człowieka*! Nie jestem lalą, nie jestem złotym pęcherzem. Jestem kobietą z głową, z sercem, z duszą wewnątrz ciała i tego chcę w mężczyźnie. Tego szukam, tego pragnę, tego żądam i tęsknię za tem. Duszy chcę!

On ją ma. Sławny jest: to dla Mity Tęczyńskiej. Miał awantury romantyczne: to dla Joasi. Rozdarłyby Gabryela D'Annunzio na dwie polowy, gdyby mogły. I sławny i osławiony. To nie dla mnie. Te stalowe, smutne, dumne jego oczy, oczy bardziej pańskie, bardziej arystokratyczne, niż wszystkich Kmitów, Górków i Zaslawskich razem wziętych: to dla mnie. Oczy, z których wychodzi wielki pan ducha, wielki arystokrata mózgu, potomek wielkich ludzi, nie hetmanów, ani wojewodów, którzy dowodzili armią, czy pułkami, ale tych ludzi, którzy całą ludzkość wiedli gdzieś w jakieś światy nowe i nieznane, wyklęte czarem przez siebie z nicości. Potomek twórców, stwórcy. Fidasz i Praksyteles, Michał Anioł i Tycyan — oto jego przodkowie. Z tej idzie rodziny. Z tej arystokracji.

Papo i mamó Morscy, ciotki Wyczewskie i cały świecie: mam honor wam oświadczyć, że byłby to wielki dla was zaszczyt, gdyby potomek takiej arystokracji raczył się o pannę Teresę Morską oświadczyć. Stanęlibyście dęba? Co? Bo, przepraszam was, przepraszam was najmocniej, najposłuszniej, najpokorniej, kocham was bardzo, nad życie, papo, mamó, nie gniewajcie się, no, ale — Boże! jakże ja to pomyśle?... Boże! nie karz mnie!... wy — wy także jesteście, nie, no, bywacie czasem — inni...

Nic — tylko to jedno, to jedno, że mówili o jej zamążpójściu... Przestała dla mnie istnieć.

Jestem znowu panem swego ja, panem swojej woli, swego czasu, swego ruchu, swojej ręki i swego marmuru.

To jedno, które przecież sam doskonale wiedziałem, ale które mi trzeba było powiedzieć.

Boże! Jakże mi jednak pusto jest w tej mojej pracowni, jak smutno... Ta dziewczyna, która tu nigdy nie była, wypełniała mi ją całą swoją osobą, swoim ciałem, swoim duchem... Czyjeż to ręce dotykały cię, zimny marmurze?... Jej... Czyjeż oczy patrzyły na ciebie, martwa twarzy Napoleona?... Jej... Któż mi tu był natchnieniem?... Ona... Wchodziła tu razem ze mną i wychodziła razem ze mną. Ty nie wiesz, żeś ty tu była zawsze, żeś stała i patrzyła na moją robotę. A teraz tak pusto bez ciebie... Tak pusto bez myśli o niej...

Taki oczekiwany, taki konieczny fakt...

Co się właściwie stało?

Oto to, że tu — tak, szaleństwo to było, szaleństwo i nic innego — oto to, że ja, w zamknięciu między moimi ścianami i wobec moich posągów, w skrytości mojej duszy, z zupełną ochroną mojej dumy i mojej miłości własnej, myślałem o niej tak, jak o kobiecie, która mogłaby być żoną moją. Myślałem o niej, wyrwanej z życia, oderwanej od wszystkiego, takiej,

jakąbym ją stworzył dla siebie, gdybym mógł, jakąbym ją wykuł i ożywił, gdyby to było w mojej mocy.

Przeklęta wyobraźnia! Ona to całe życie wprowadza mnie na bajeczne krawędzie i otwiera mi pod nogami rzeczywiste otchłanie...

Czy przyjdzie na raut dzisiejszy? Wie, że będę na nim. Ba, ale co jego to może obchodzić?...

Co może obchodzić tego człowieka, który żyje w świecie fantastycznym swojej wyobraźni, któremu zapewne jakieś Aspazye są natchnieniem, jakaś tam hrabianka Teresa Morska? Będzie patrzył dlatego, że jestem ładna. Może powie, że byłby ze mnie dobry model... Co ja go mogę obchodzić? Z pewnością »nie mówię mu nic«.

Trudno, trudno, Teresiu, zgódź się: jesteś stworzona dla panów Poryckich i Zasławskich, Kmitów i Górków, w paski, prążki i kratki. To twój los, to twoje przeznaczenie, to zadanie twego życia. Pomnożysz którąś z tych wielkich rodzin, nie dopuścisz do zaginięcia któregoś z tych szlacheckich szczepów, spełnisz swoje powołanie i czego od ciebie chce Bóg, a ludzie oczekują, i położysz się po najdłuższem życiu na wieczny odpoczynek, prawdziwa matrona, znana ze swoich cnót i pobożności. A odprowadzą cię na miejsce wiecznego odpoczynku stroskane dzieci, wnuki

i prawnuki, bo będziesz żyła długo, ponieważś
czciła ojca swego i matkę swoją i ponieważś
była błogosławiona, jako prostego serca i ubo-
giego ducha.

Tymczasem pan Roman Rdzawicz będzie pię-
trzył marmury na marmury, a rozmaite Aspa-
zye, czarne i białe, rude i zielone, katolickie,
ewangelickie i hebrajskie, będą się czolgały do
jego nóg, żywiły się odpadkami jego gipsów
i w miłosnej rozpaczycy przebijały sobie łona pil-
nikami od wykluwania oczu w posągach.

A także może się znajdzie jaka prosta, bie-
dna dziewczyna, z twarzą wiosennego kwiatu
i z duszą wiosennego kwiatu...

A ty, Teresiu, ty nie masz twarzy, jak wio-
senny kwiat i duszy, jak wiosenny kwiat?...

A także może się znajdzie jaka prosta, bie-
dna dziewczyna z twarzą i duszą wiosennego
kwiatu i pokocha tego człowieka, i będzie przez
niego kochana, i będą się kochali, i będą szczę-
śliwi — i będą mieli dzieci, które im się będą
darły nad głową, i Roman Rdzawicz będzie ci-
skał z pasyą swoje dłuto i swoje pędzle, które
będą wpadały w balię z brudną bielizną, u jego
nóg stojącą w pracowni, i kucharka będzie się
klóciła z panią Romanową Rdzawiczową o cztery
grosze, i będzie wielka narada, czy lepiej jest
dać kalarepkę, czy marchewkę do kotletów,
i dzieci będzie coraz więcej, i pieluszki będą się

suszyły na sztalugach, i będzie brudna, czerwona mamka...

Co? Ty płaczesz, Teresiu? Nie płaczesz, ale masz mokre oczy?...

Moje drogie, dobre dziecko, nie gniewaj się! To widzisz, panna hrabianka, przyszła milionerka, która będzie miała piętnaście pokojów, albo dwadzieścia pokojów, drwi sobie z ciebie — drwi sobie z twojej twarzy, jak wiosenny kwiat, i z twojej miłości, która wszystko podniesie, wszystko uświęci, wszystko upiękni i opromieni pięknnością. To widzisz, hrabianka Morska, ta, co jeździ tą kareta z temi ślicznymi siwemi końmi, drwi sobie z ciebie, bo ona jest bogata, bo jest utytułowana, bo należy do towarzystwa, bo jest śmiewanką, bo jest kremą, bo także ma twarz i duszę, jak wiosenny kwiat, bo także —

Znowu masz mokre oczy, Teresiu?

Fe, wstydz się, księżnie Izie Zasławskiej pękł obojczyk, kiedy gruchnęła z konia, a nie płakała, gdy jej składali rękę.

Przyjdzie na raut, czy nie przyjdzie? Tak, tak, przygląda mi się, przygląda mi się wszędzie, gdzie mnie widzi, ale cóż ja wiem u kaduka! czy mu się podobam, czy mu się tylko ta moja regularna, rasowa fraca podoba, jako rysunek artystyczny? Jeżeli mu się podobam, to przyjdzie.

A gdyby... a gdyby wyciąć litery z *Kuryera* i ułożyć z tych liter:

Przyjdź na raut. Prosi cię o to — no, kto? pimperle z arystokracji, któremu się chce gapić w twoje oczy ukradkiem, a więcej jeszcze, żebyś ty się na nią patrzył, żeby czuła twoje stalowe źrenice na swoich włosach — ładne ma, co? — na swojej twarzy, na swojej szyi, na swoich ramionach...

Uf! jak ci się gorąco zrobiło, Teresiu...

Isć, nie isć? To jest prawdziwe szaleństwo. Przecież wiedziałem, że między mną a nią nie może być nigdy nic, a jednak zdaje mi się, że teraz nie mam po co isć ją spotkać. Jednak, tak, jednak była we mnie jakaś skryta nadzieja, czy wiara w cud, w możliwość, w możność cudu...

Jednak pójdę może... To nie prawda, żebym nią nie żył... Tęsknię do niej... Prostu, zupełnie poprostu tak tęsknię, jak się tęskni do kobiety, która zajęła sobą. Widzę to jasno...

Ach! żeby przyszedł. Ubrałam się dla niego. Prosto i skromnie, a elegancko, bo on tak musi lubić. Jednak to dobrze być bogatą. Gdybym była biedną dziewczyną i wymyślała i wybie-

rała i dobierała, co włożyć... Tegoby mi brakowało, tamtoby było stare, tamto podarte. Płakałabym nad własną nędzą. Nareszcie zdawałoby mi się, że jestem dobrze ubrana, że jednak dopięłam tej sztuki, że wyglądam jako tako... Powiedziałyby mi to moja mama i jakiś mój brat z piątego kursu medycyny, i jakaś moja kuzynka, nauczycielka, któraby mi przyniosła pożyczyc pelerynki na wyjście. W oświetleniu dwóch lamp i trzech świec wyglądałabym dobrze. Przyszłabym na salę i dopiero zobaczyłabym, że wszystko jest stare, brudne, pomięte, że nikt się tak nie ubiera, że wszystko jest niemodne, że wszyscy na mnie patrzą z ubolewaniem i litością...

A wtedyby się zbliżył on... On, sławny i wielki... Moja stara sukienka zajaśniałaby blaskiem jego sławy, moje rozklapane trzewiczki zmalałyby w kontraście do jego wielkości. Rdzawicz, Rdzawicz idzie z panną Krupską... Rdzawicz emabluje pannę Krupską... może się w niej kocha... kocha się... Rdzawicz jest narzeczonym panny Krupskiej... a moja wiosenna duszyczka radowałaby się jak kwiat do słońca... bo, patrzcie, Rdzawicz znalazł sobie jakąś pannę... bo cóż to za kurka wodna promenuje się z tym rzeźbiarzem?... bo czy znasz tę osobę? przystojna... bo, *ma chérie*, cóż to za panniszon zakazany, ta mała w oberwanej tualecie, bo...

Tymczasem ja: mam wszystko nowe, śliczne, najmodniejsze, wykwintne, pachnące. Niech żyje moje państwo! Ty, mała, z twarzą i duszą wiosny, w rozklapanych trzewikach i wyszarzanej sukni, ty, co go kochasz i niesiesz mu swoje serce, swój los, swoje życie do nóg: precz mi z drogi! Precz! Hrabianka Teresa Morska idzie. Precz!

Wiem, że ona tam jest, i nie mogę się zdecydować tam iść... Wiem, że jest w tamtym pokoju... Nie pójdę tam... Wyjdę z rautu...

Jest! Już widziałam jego stalowe oczy... Nie widział mnie, czy udał, że mnie nie widzi?... Ach!... Kłania mi się. Podejdę ku niemu. Czy z dosyć wielkim wdziękiem mu się odkloniłam?...

Cudna, cudna, cudna dziewczyno! Chcesz mojego życia? Weź je.

Cudna, cudna, cudna dziewczyno! Kocham ciebie...

Cudna, cudna, cudna dziewczyno! Wszystko mi się roztopiło w bezświat mglisty, wszystko faluje ze mną, płynie gdzieś, nie istnieje...

Cudna, cudna, cudna dziewczyno! Teresiu...

Hm... Cóż ja teraz wiem, nieszczęśliwa kobieta?... Tak: chciał ze mną rozmawiać... Tak: patrzył na mnie... dużo... ciągle... Siedziałam tyłem do niego, wiedziałam, że stoi za mną... Odwracałam głowę w bok... Odwróciłam głowę w bok może ze dwanaście razy, ale raz tylko spojrzałam na niego. Spotkałam jego oczy. Tak mi się chciało widzieć, czy ciągle patrzy na mnie?...

Kokietowałaś go? Tak, kokietowałam. Rozmawiał. O czymże była rozmowa? Cóż on ostatecznie o mnie wie? Że lubię tańczyć. Właściwie tylko to i nic więcej...

Wydałam mu się głupia i banalna. Jaka wydałam mu się głupia i banalna! Właściwie nic innego nie powiedziałam, coby się zapamiętać dało, tylko, że lubię tańczyć! Więcej nic, ani słowa.

Cóż za wrażenie mógł wynieść? Że jestem doskonale ułożona, bardzo spokojna, pewna siebie, obyta z salonem, jak szczotka frotera, i nic a nic od tej szczotki nie mądrzejsza. Nie, nie! To można oszaleć! Lubię tańczyć. Bardzo naturalne! W moim wieku! Niech piorun trzaśnie we wszystkie tańce! Kwintesencya mojej duszy, mojej inteligencji, mojego serca, mojego życia, to jest to, że lubię tańczyć. Rzecz konieczna, ani słowa. Każda młoda panna musi lubić tańczyć.

Nie — to można się wściec na równej drodze...

Słuchajże ty! nie odchodź! słuchaj! Kocham niebo i wicher, kocham drzewa na urwiskach i na pustkowiach polnych, kocham wodę głęboką i przejrzystą i ciemne wodne odmęty, kocham szum leśny i szum wielkich rzek, kocham... kocham... kocham wszystko, co ty, co ty kochasz, ty, o stalowych źrenicach, artysto, ty, co kujesz posągi! Kocham te skrzydła, któremi twoja myśl lata, kocham skrzydlate dusze ludzkości, te, co lecą nad powszedniość, nad szarość, nad codzienność życia! Kocham wolność, olbrzymią swobodę ducha, rozpętanie się duszy ludzkiej ze wszystkich więzów, ze wszystkich sieci, kocham życie! Słuchaj! nie odchodź! nie odchodź z tem, że ja najlepiej lubię tańczyć.

Ja także mam wyobraźnię, ja także tworzę, ja także myślę, czuję! Patrz! Te ogromne przestrzenie, po których chodzą złote mgły, przesiane słońcem — to mój świat. Tam idę z tobą, tam wszystko, co mówimy staje się pieśnią błękitną, tam wszystko jest skrzydlate, lotne, górne... Gdzież jesteś?..

Poszedł. Naturalnie poszedł. Spytał się mnie o dwie osoby, jak się nazywają, i poszedł. Czegoż miał więcej czekać? Najciekawsze mu powiedziałam: lubię tańczyć.

Niechże ja ciebie narysuję, żebyś wiedziała, jak wyglądasz, ty, co mi patrzysz teraz z za ramienia. Wielkie włosy spiętrzone, bujne, ciemno-blond, czoło gładkie, szerokie, tak, brwi w duże łuki, twarz ściągła, tak, ucho małe, rąsowe, smukła szyja, tak — widzisz? To ty.

Nie — nie widzisz i nigdy nie zobaczysz. Wydaje się nieprawdopodobnem, żeby ktoś drugi nie wiedział o tem, że ktoś nim tylko cały żyje, że nie żyje niczem innem, tylko nim. Jak ty możesz nie czuć, że ty jesteś wszystkim dla mnie, wprost życiem mojem że jesteś... Wydaje się niepodobnem, żebyś ty nie czuła, a jednak nie czujesz, nie wiesz tego i nigdy się nie dowiesz. Ja ci nie powiem. Nie jestem głupi i nie będę śmieszny. Nie pójdę się ośmieszać. Wolałbym zginąć, niż się na śmiech ludzki z tej strony narazić. To twoje zdziwienie, gdybym ci powiedział, że ciebie kocham... Te Twoje z podniesionemi łukami brwi, pełne uprzejmego zdziwienia oczy... Bo nie przestałabyś być uprzejmą. Jesteś dobrze wychowana, a przytem nawet będąc głupim i śmiesznym, nie przestałbym być tym, dla którego jest w modzie być uprzejmym. «Ależ, panie, ja bardzo panu, takiemu człowiekowi, jak pan, jestem wdzięczna za to wyróżnienie mnie... bardzo mi przykro... bardzo przepraszam, ależ...» — Toby mówiły twoje oczy w niesłychanie uprzejmy sposób. Ależ, tak, ależ...

Przez takie «ależ», jak przez plot wyścigowy za wysoki, tysiące ludzi kręcą sobie karki. Ależ — wszystkie stosunki ludzkie oparte są na «ależ». Ależ — i giń, jeżeli ci się podoba, zacierp się, zagryź się! Wszystko tłumaczy, wszystko usprawiedliwia ten jeden drobny wyraz: ależ.

Ale o mnie przez ciebie nie będzie się nic mówiło — zawsze zresztą uprzejmie i pobłażliwie, bo przecież należę do tych ludzi, dla których w modzie jest być uprzejmym i pobłażliwym, choćby byli zabawni. «Zresztą — gdyby ona go naprawdę kochała...» Tak, tak, trzeba być kulturalnym, czasy się zmieniły; nawet będąc księciem, nie można już być dzikim bałwanem, a przynajmniej trzeba udawać, że się nim nie jest.

Gdyby jeden kwiat od niej, gdyby skrawek jej sukni...

A jednak — czy ja ją kocham, czy tylko jakąś moją własną, wieczną, błędną tęsknotę kochania?... «Czegoś mi trzeba, kogoś widzieć żądam»... «Nie tracę zmysłów, kiedy ją zobaczę», a jednak nic nie istnieje dla mnie poza myślą o niej, poza tem wcieleniem mojej najwewnętrzniejszej myśli. I może najwewnętrzniejszej, najnaturalniejszej, najbardziej i najprawdziwiej wrodzonej myśli każdego człowieka...

Chciałbym mieć namiot z miłości, namiot cichy, spleciony gęsto, jak grotła wśród pnączów i bluszczów, namiot cichy i woniejący, gdzieby mi się tylko błędne, zblakane, drżące promienie słońca trwożliwie wsuwały i gdzieby mi drżało nocami blade księżycowe światło; namiot cichy, spleciony gęsto, w pustkowiu, namiot wiecznego snu, wiecznego spokoju pełny, namiot błogosławieństwa i szczęśliwości, namiot odpoczynku i wytchnienia duszy, namiot święty, gdzie na ołtarzu stoi jeden tylko bóg: nasze kochanie — gdzie się tylko jeden ofiarny wznosi dym: naszych serc gorejących. Taki namiot chciałbym mieć — czy ty mogłabyś mi go zbudować? Może i nie ty... Może ja tylko tęsknię, szukam, błędzę, pragnę. Możeby się pokazało, że to i nie ty... że to i nie ty nawet... i nie ty...

Głupie moje roboty! Głupie płótna z farbami! głupie gipsy i marmury! Dawniej myślałem, że coś sobie wami wykuję w życiu.

Głupia roboto! Cóżes mi dała? Szczęśliwi ci, którzy cię kochają dla ciebie samej nad wszystko. Szczęśliwi ci, którzy nie widzą nic poza tobą. Szczęśliwi ci, którzy żyją tylko przez ciebie i dla ciebie, dla których ty jesteś życiem. Szczęśliwi ci, dla których ty jesteś życiem, sztuko. Ale dla mnie ty nie jesteś życiem. Dla mnie

jesteś ty tylko jednym ze środków do zdobywania *życia*.

Życiem dla mnie nie jesteście wy, płótna i posągi, wy linie i kolory! Życiem dla mnie jest step wichrem huczący, step wichrów namiętności, step upojeń i szałów. Dla mnie życiem jest pęd konia, który nigdy nie znał wędzidla, przez morze rozkoszy, przez ocean zachwyty. Zachwycać się chcę, wielbić chcę szczęście moje!

Chcę żyć w wiekuistym zachwycie, w wiekuistym szale upojenia!

Głupie płótna i głupie posągi! Wami ja sobie tylko wybijam drogę do szczęścia i wybić nie mogę. Ale jakie jest to szczęście? Jakaś twórcza moc wyklinania z nicości światów świetnych i gorących jak słońce. Jest to kobieta? Tak, ale w takim świetle, w takiej woni, w takim upale powszechnego upojenia, że ona sama niknie tam prawie. Teresiu, byłabyś mi tylko dźwiękiem jednym w tej olbrzymiej orkiestrze! Jabym z ręki mojej wytwarzał, wyrzucał coś takiego, żebyśmy się sami cofali przerażeni, osłupieni tem pięknem, tą pięknością, któraby przed nami stawała! Teresiu! To byłby jeden, nieskończony, nieśmiertelny czar!..

O Boże! Dlaczegoż nie drży przede mną życie, jak drżą przede mną marmurowe bloki, kiedy na nie spoglądam, bezwładne

w moich rękach, bezsilne przed moim młotem i dłutem, posłuszne mojej woli, wiedzy i wyobraźni?

O Boże! Dlaczegoż nie mogę kruszyć własnego życia, jak kruszę tę oto grudkę gliny w ręku? Dlaczegoż nie mogę wyciosać z mego życia posągu, jak tyle ich już wyciosałem z kamienia?! Dlaczegoż zawsze chcę tego, co nie ma być mojem? Dlaczegoż odtrącałem zawsze kłosa pełne i drzewa owocne, aby ścigać mgły błędne i sieci pajęczne?... Dlaczegoż kopałem własnymi rękoma zawsze grób, aby weń własnymi nogami zepchnąć dary życia, a czekałem przyjscia widzeń zwodnych i chimer niechwytnych?... Dlaczegoż byłem zawsze pastwą niezszechalnych zachceń i gry własnej bolesnej wyobraźni i dlaczegoż przed oczyma memi widzę tylko czarną noc i otchłań?

Dlaczegoż ty przyszłaś na moją drogę, Teresiu?..

Wstyd mię jakiś ogarnia. Jestem taka wydekoltowana... Nagą mam szyję, nagie ramiona, piersi nagie tak nisko, z tyłu plecy wycięte także tak nisko... Wstydzę się. Nigdy mi to nie przychodziło na myśl. Wydawało mi się to takie naturalne. Wszyscy tak chodzą, wszyscy pokazują swoje szyje, ramiona, piersi i plecy,

więc czegoż ja nie mam tak chodzić? czegoż ja nie mam pokazywać swojej szyi, ramion, piersi i pleców?

Wstydzę się. Ogarnia mię to uczucie, jak przed czterema laty w wagonie w pociągu do Paryża, kiedy siedział w rogu z boku naprzeciw ten śliczny Hiszpan, czy Włoch, i patrzył na mnie. Miałam lekką, wąską suknię.

Wagon się trząsał, podrzucał mnie, byłabym chciała wrócić w siedzenie. Ognie mi były do głowy, aż się mama spytała co mi jest, że jestem taka czerwona? A on patrzył, patrzył... myślałam, że mi suknię przepali. Byłam wtedy tęższa niż teraz, tak się mnie dużo trzęsło na tem nieszczęśliwem siedzeniu...

Zwierzyłam się, pamiętam, zaraz wieczorem Joasi Zaslawskiej, która mi powiedziała: «Moja droga, jesteś głupia, jak firanka...» Dlaczego miałam być głupia, jak firanka? Obraziłam się i powiedziałam, że wystarcza mi zupełnie stolowa noga. Jak to dawno!... Miałam dopiero czternaście lat, tyle co Cesia teraz...

Wstydzę się... Wolałabym włożyć zapiętą suknię. Tak mnie dużo będzie widać. On mnie tyle zobaczy...

Mam nadzieję, że będzie. Może dla mnie przyjdzie? Jednak — jednak patrzył na mnie na tym raucie, często, prawie ciągle... Kto wie?

Może i on o mnie myśli?... Czasem mi się zdaje, że tak, że myśli...

Będziemy tańczyli. Dałabym mu tak chętnie oba kontredansy i oba mazury, o ile nie wyjdziemy wcześniej. Nie przyjąłam nikogo, powiedziałam, że chcę spróbować, czy nie będę skrobała pietruszki, jak się nie zabezpieczę wcześniej. Może będę?... Mniejsza o to! Ech! zresztą niema się o co bać. Stado zleci. Dobrze, że mama nic nie mówi w karecie. Bręć! Zajechaliśmy...

Ciekawam, czy tańczy... Ach! tańczy! Jak dobrze! Doskonale, brawo! Slicznie tańczy... Poprosi mnie?...

Nie... Nie tańczy z nikim z nas, z «towarzystwa».

Ani z jedną.

Gdzie on... Kto to?... Tańczy z panną Rosenbaum, z tą, co się tak sławnie wypina w powozie w Alejach, «żeby każdy przechodzący wiedział, że to ich służący», jak jest w tej powiatce o zarozumiałej Zuzi... Także wybrał... Niezgrabna... Nos do gaszenia świec kościelnych... Brzuch naprzód... I ta «dystynkcyja» — ani ćwierć cała na lewo, ani ćwierć cała na prawo, bo się nie wie i nie czuje co można i ile można poza tem, czego nauczyli... I to wyniośle powłóczyście spojrzenie...

Nie, to nie może być jego rodzaj! Gruba,

wielka, ciężka — tramwaj! Zdaje mi się, że musi być skrofaliczna. Ciekawam, jaką ma rękę?

Tyle razy ją spotykałam, że mię to nigdy nie zainteresowało: jaką ma rękę? Noga — łapa! Figura — peryferye! Aż się śmiać chce! I ten «wdzięk», ten wdzięk wymodelowany przed lustrem!... Nie, to nie może być jego rodzaj... Przecież nie może nie widzieć, że to *wszystko* to jeden brak smaku... Jaka tam stoi koło ściany z tej samej sfery skromniutka panna Silberzahn i jaka miła...

Kiedyż już do licha skończą!... Tualetę ma śliczną... Jedna z najładniejszych... Ładniejsza od mojej... Daleko ładniejsza... Ciekawam: ma tańczyć, to dlaczego nie tańczy z panną Silberzahn?... Dlatego, że nie jest tak ślicznie ubrana, jak ta wstrętna Rosenbaumówna? Snob! Obrzydliwy snob! Nie cierpię go!

Posadził ją. Mój śliczny! Będzie rozmawiał? Nie — idzie, ani się nie obejrzał! Jakie kochane stworzenie!

Księżna Iza Zasławska go zaczepia. Tańczą. No, może się teraz rozkrochmali i do nas.

Nie.

Zdaje się, że zupełnie zbytecznie chowałam swoje kontredansy i mazury. Niech je bierze, kto chce.

Niema go... Musiał wyjść..
Nie — jest. Ale nie tańczy.

Nie zbliżę się do niej. Wszystko mi się ścisła, rwie w piersiach, ale nie zbliżę się. Właściwie i przede wszystkim to jest moja miłość własna. Gdybym był pewny, że jej to zrobi przyjemność, tobym poszedł i poprosił ją. Co mnie obchodzi, czy robię przyjemność moją osobą pannie Polkowskiej, pannie Traubównie, albo Urszulce Ustwiczównie, ale tam, tam bez tej świadomości nie mogę iść, nie pójść za nic. Nie będę już tańczył.

Mazur. Wybierana figura. Wybierze mnie?
Nie. Nie? To ja ciebie wybiorę!

Niema go. Stoi tam, daleko w kącie... Nie mogę lecieć do niego... Aha! Znowu go księżna Iza ciągnie. Ta ma tupecik. Mówi z nim. Ręczę, że o wypychaniu ptaków. Teraz go mam. Nie uciekniesz!

Nie było braku tancerzy.. Chęć zwrócenia uwagi? Zauważyła i kokietera? Nie?..

Czuje?... Ten uśmiech... Nie uśmiecha się tak panna do mało znajomego człowieka. Czy dlatego, że jestem sławny?...

Boże! Boże! Boże! Ten uśmiech!... Ten uśmiech!...

ROZDZIAŁ II.

Był mrok. Roman Rdzawicz siedział w swojej pracowni przy stole, z głową opartą na rękę. Nad nim widać było niewyraźnie olbrzymie cienie ludzkich nędz, trwogi, rozpaczy, bólu i wyżej olbrzymi cień śmierci.

Przez otwarte okno dobiegały tony fortepianu. Ktoś grał Chopina. Rdzawicz wstał. Były to same mazurki. Nagle fortepian zabrzmiał żalobnym marszem.

W mrok biegły tony przez otwarte okno do pracowni Rdzawicza. Poczęły wypełniać sobą pustkę. Wpadały grzmiące.

Dzwony, dzwony, dzwony huczą,
Dzwony duszę rwą!
Wznak się wali, a ponad nią
Dzwony, dzwony grzmią!
Wznak się wali od rozpaczy,
Od bólu, od łez —
A ponad nią dzwony huczą,
Huczą, huczą w skres...

Dzwony biją jej nad głową,
Biją, biją w nią —
Wznak się wali, a ponad nią
Dzwony, dzwony grzmia..

Nagle powstał Rdzawicz ze stolka. Mimo-
wolnie, bezwiednie wyprężyły mu się nogi, i po-
czął w rytm fortepianu chodzić po praco-
wni. Szedł wkoło, nie wiedząc: dlaczego to
robi i po co? Muzyka zmuszała go do posuwa-
nia się machinalnie w jej takt. Stapał z wyprę-
żonemi nogami, jakby zahypnotyzowany.

«Same w górę się podnoszą
Zatrętwiały nogi —
Dobrze, dobrze, że mnie wiodą,
Nie znam żadnej drogi...» ¹⁾

Uchwycił kij stojący w kącie i jakby krzyż
trzymając przed sobą, krążył. Za czem? Za
czem ja idę? Kto jest w tej trumnie, «w tej
trumnie?» Niema nic, nic... Idę w pokoju, sam,
przy dźwiękach fortepianu.

Dzwony ustały huczeć; zaczął brzmieć śpiew:

«Była cicha i anielska
I kochała mnie...» ²⁾

Rdzawicz stanął. Schylił głowę ku piersi
i słuchał...

¹⁾ Ujejski. ²⁾ Ujejski.

O wypłyńcie z mojej piersi,
Wszystkie pieśni w świat —
Wszystkie pieśni w niej kwitnące
Jak na wiosnę kwiat...
O wypłyńcie, wszystkie pieśni
Wykąpane w krwi —
Płyńcie, płyńcie — rwijcie serce!
Rwijcie w piersi mi!
Rwijcie! rwijcie na kawały,
Jak orzeł, jak sęp!
Niech wiem, że mam w piersi krwawy,
Krwawy, pusty strzep!
Niech wiem, że mi pieśni moje
Stargały je w szmat —
Pieśni, co mi w piersiach kwitły
Jak na wiosnę kwiat...

I znów fortepian zabrzmiał dzwonami. Rdzawicz ocknął się. Słuchał — a klawisze huczały i jęczały ponad nim.

Dzwony, dzwony, dzwony huczą,
W strzępy duszę rwą —
Kona z bólu, a ponad nią
Dzwony, dzwony grzmia...

Nagle dziwne uczucie ogarnęło Rdzawicza. Szalone jakieś wezbranie rozdeło mu piersi. Podniósł ręce do góry. Potężna fala żywiołu twórczego przeniknęła mu żyły. Z podniesionych do góry rąk, z rozprężonych palców poczęły wylatywać ognie, błyski, światła, jak sforyzacya. Cała pracownia napelniła się roz-

latującami się, roztryskującami ogromnemi iskrami. Jak wybuchy wulkanu waliły się z głowy Rdzawicza fale żywiołu twórczego. Wzbierały, wzdymały się, piętrzyły i wybuchały na zewnątrz. Marmurowe pieśni, mówiące obrazy, słowa o kolorach i dźwiękach muzycznych utworzyły naokoło niego chaos i wir. Stał z podniesionemi rękoma, ubezwładniony mocą, która szalała wkoło niego. Gdybym mógł dłutem wydobywać z marmuru pieśń... Gdybym mógł pędzlem ożywić figury, aby mówiły, naturę, aby żyła... Gdybym mógł wymalować szumiące drzewa, milczenie szklane jezior nad muzyką głębi..

Gdybym mógł być wszechstronnym, wszytkotworzącym duchem, władcą zespalającym w rękę całą moc ludzkiej twórczy...

Zagrano preludjum C-moll. Straszne, twarde, dojmujące do szpiku kości tony wpadły do pracowni Rdzawicza. Wzdrygnął się. Naokoło był mrok. Mrok, mrok i mrok... Wszystko zgasło i znikło. Została tylko straszna, straszliwa bezwładność ludzka.

Otwierają się przepaście pod nogami, huragan cię spycha z krawędzi — czy zatrzymasz się?

Otacza cię ogień pożaru na wysokiej wieży: którądy skoczysz dla ocalenia?

Oto mór naokoło ciebie, zaraza — przykuty
jesteś do słupa...

Oto powódź nadchodzi — przykuty jesteś
do słupa.

Oto stado wilków wyje z pod boru — przy-
kuty jesteś do słupa...

Preludyum C-moll złamało w Rdzawiczu
duszę. Padł raczej, niż siadł na szeszlony, i zgiął
się. A tony fortepianu druzgotały wszystko
istniejące na ziemi.

— Boże! Boże — jęknął. — Śmierć wydo-
była ze mnie jakąś siłę przeciwną, moc tworze-
nia na moc nicości, rozkosz twórczą na ból
i żal, ale rozpacz łamie mnie i druzgoce. Jest
to, jak gdyby koniec świata, wszystkiego. Jezus,
Marya! Wałą mi się cegły na czaszkę... Ginę...

Góry, góry, góry...

Błąkam się po nich w mgłę, w slotę, w deszcz.

Lasy zapadły w mgłę, gdzie nigdzie widać
je mokre, siwe, smutne, nieruchome. Z mgły
huczą potoki niewidzialne. Wąwozy i jary pod
nogami zawierają się niespodziewanie, straszne
i bezdenne. Na niebie nie widać nic, tylko
mrok...

Idę — nie wiem dokąd i nie wiem zkąd
przyszedłem. Zdaje mi się, że nie należę już do
żadnego życia i że właściwie niema dla mnie
nic innego, tylko te góry, i że to jest moja oj-
czyzna. -Błąkam się bez celu i czuję się częścią

tej mgły, tej mrocznej wilgoci, tej martwoty górskiej. Nie wiem, czy było kiedy jakie inne życie, czy jest? Coś, jak daleki dźwięk zgubionego w pustyni dzwonu, płacze mi się koło głowy wspomnienie jakiegoś życia...

Jakieś miasto... ludzie... Kamień wielki, wilgotny... Zanurzę nogi w mokrym mchu, w czarnej, torfowej ziemi. Oprę się plecami o drzewo, podniosę czoło. Czegóż mi więcej potrzeba?... Mrok, mrok i mrok. Nic. Ani jeden gałązki ruch, ani jedno błękitne przedarcie nieba... Nic... Śmierć jest poza mną, przy mnie, przede mną. Czy trzeba komu czego więcej, niż kamienia w lesie i pnia, aby się oprzeć plecami, i śmierci?

Mrok, mrok i mrok.

Cała nędza próżnej tęsknoty, próżnego pragnienia, opelzła mnie teraz. Siedzi wkoło rzesza potwornych, olbrzymich żab, sów, puhaczów, jaszczurek, wyciąga głowy, pyski, dzióby, wyszczerza wielkie, świecące, okrągłe oczy. Cała nędza życia osiadła mnie i zakłęła w swój straszny krąg.

Twoje oczy patrzą z pomiędzy drzew. Nie widzą mnie, nie widzą nic. Cóżby takie oczy widzieć mogły? Patrzą przed siebie w świat...

I nie widzą, że niema jednego ździebelka trawy, która nie byłaby dla mnie twoją, niema jednej kropli rosy na tych jodłach, któraby nie dla ciebie wisiała. Stopy twoje są teraz na moich

ustach, stopy twoje małe, mokre i bose. Ręce twoje są w moich rękach, zziębłe, kochane, najdroższe. Piersi twoje oddechają prędko, zmęczone i trochę trwożne. Całe ciało twoje gibkie i smukłe, drży z chłodu i trwogi, choć się uśmiechasz w tym mrocznym, głuchym lesie, choć się uśmiechasz, abym widział, że się nie lękasz, boś ze mną. Cała dusza twoja jest teraz moja, mojem posiadaniem, moją duszą...

Odejdiesz, jak sen... Nigdy, nigdy, nigdy nie będziemy do siebie mówili, usta w usta, oczy w oczy, sercem w serce... Nigdy nie będę miał twoich rąk w moich rękach... Nigdy nie będę czuł ciebie przy mojem ramieniu, objętą w pół, przyciśniętą do mnie, pod moją opieką... Nigdy nie będziesz mnie potrzebowała, nigdy ja nie stanę przy tobie... Nigdy nie będzie cały świat z nami, lub przeciw nam... Nigdy nie będę z przed twoich stóp odginal cierni i nigdy ku twoim ustom nie będę chylił owoców życia... Nigdy nie będziemy patrzyli razem w to niezgłębione morze, które się istnieniem nazywa, nigdy nie będziemy razem mówili o śmierci, która nas nie rozłączy... Nigdy nie przyjdzie taki cudny, słoneczny dzień, takie południe, kiedy nie będziemy się odróżniali jedno od drugiego, ale wyda nam się, żeśmy się zlali jedno z drugim, jak dwa obłoki, które we wspólny kształt stopiło słońce... Nigdy, nigdy nie przyjdzie ta ciemna noc, kiedy

wszystkie trwogi naszych ludzkich dusz spierzchną się nam do ust i utoną w pocałunku, który życie zasłania... Nigdy nie zawrzemy krwią i nie zewrzemy się z sobą, jak dwa rozpalone metale; nigdy ciało twoje nie będzie drżało w moim uścisku, nigdy na twoich piersiach nie będzie leżał ciężar moich piersi, nigdy mnie nie opleciesz, nie owiniesz pięknym skrętem twojej miłości... Nigdy, nigdy nie rozbijemy białego żagla i nie wypłyniemy na morze, trzymając się za ręce, tak swoi, tak zespoleni, że nie imamy się wiosła, ani liny steru, bo już nie wiemy, czy może być gdzie jaka śmierć...

Nigdy...

I nigdy, nigdy ty się nie dowiesz nic... Odejdiesz jak sen i nigdy nic wiedzieć nie będziesz...

Co to gra? co dzwoni?

•Była cicha i anielska
I kochała mnie...•

Kochałam cię... Dlaczego nie powiedziałeś głośno całemu światu, że mnie kochasz?... Dlaczego?!... Czekalam... Byłabym przełamala wszystko, zwalczyła wszystko... Nie moglam się pierwsza do ciebie odezwać... Lękałam się ciebie... Czekalam... Myślałam, że musi przyjść taka chwila, kiedy ty powiesz i mnie i światu, że mnie kochasz...

...Kochałam cię... Kochałam twoją sławę, twoją dumę, twoje milczenie, twoją mękę, którą odczułam, twoją miłość, którą odgadłam... Chciałam, abys tylko rękę ku mnie wyciągnął, abym się tylko o ramię twoje oprzeć mogła, tylko raz o twoje ramię, a potem niech świat cały stanie przeciw mnie!... Chciałam tylko, abys mię pociągnął ku sobie, a jabym ci była cała runęła w ramiona i wszystko mojeby runęło ze mną... Nie czules tego? Nie widziałeś?... Nie, tyś nie chciał widzieć, nie chciał czuć... Kochales więcej swoją dumę, niż mnie... Błagałam cię spojrzzeniami, do stóp ci się ciskałam oczyma... tyś konał z bólu, a nie lamałeś swojej dumy... Nie chciales powiedzieć ni mnie, ni światu, że mnie kochasz...

Teraz niech wszyscy wiedzą... Teraz ja będę głośno krzyczała: kocham cię! i ty mnie kochasz!... Będę głośno krzyczała po mieście, po świecie całym... Pójdę z tobą wszędzie, wszędzie... Rzucę mój złoty blask, pójdę na twoją dolę i niedolę... Pójdę z tobą... Dlaczego mi tak długo kazałeś czekać? dlaczego?... Teraz będziesz szczęśliwy... Teraz zacznie się twoje szczęście ze mną... Teraz ja ci umaję życie, zcałuję twoje rany, wyszę ustami twój ból, włosami cię owinę, aby ci było ciepło, abys ty się czuł mój... Teraz ty poznasz miłość moją, miłość poznasz... Teraz pokochasz twoją dolę, twoje szczęście, co za nią szło, twoje szczęście...

Co ja będę robił z dzisiejszym wieczorem?
Co ja będę robił?... Nie mogę kuć po ciemku,
nie mogę się zabijać, zabijać w sobie myśli mo-
jej pracą... Co ja będę robił, kiedy czuję, że po-
prostu ginę z tęsknoty do niej...

«Strandem» abbazyjskim nad morzem, w po-
godny przedwieczór majowy, siedł Rdzawicz
powoli, strącając skówką laski kamyki na ście-
żce, obok niego zaś szła panna Kamilla Na-
borowska z Królestwa, lat około dwudziestu
dwóch, dosyć pełna szatynka, o różowej twarzy
i piwnych, bystrych, inteligentnych, nerwowych
oczach.

— Właściwie, co ty o mnie myślisz? — mó-
wiła.

— Że jesteś bardzo rozumną kobietą — od-
parł Rdzawicz.

— To dobrze. Z początku bałam się, że
mnie nie zrozumiesz. Życie jest krótkie i trzeba
żyć, trzeba go użyć. O ileżby było mniej smu-
tku na świecie, gdyby ludzie szli za swojemi
naturalnemi instynktami, nie jak zwierzęta, jak
się to mówi, ale jak ludzie, którymi są. Ale co
jest najzabawniejsze, to że na mnie rzucają się
zarówno ultrafeministki, któreby chciały, abyśmy
się zupełnie obywały bez mężczyzn, jak i, jak
ja je nazywam, maskulinistki, które znowu

chciałyby być tem, czem są mężczyźni. Jedne śmieszne, drugie głupie. Jestem kobietą i czuję naturalnie zupełnie naturalny pociąg do mężczyzny; jestem człowiekiem i chcę mieć takie prawa, jak wszyscy, ale wiem doskonale, że mój ustrój fizyczny i umysłowy uniemożliwia mi mnóstwo rzeczy przystępnych dla mężczyzny. Wstrętny mi jest równie zanik lub zwyrodnienie instynktów, jak hipokryzyza i poza. No, a co do ciebie, zdaje mi się, że jesteś spokojniejszy teraz?

— Tak.

— Cieszę się. Zbliżyłam się do ciebie trochę z nudów, mówię ci zupełnie szczerze, a trochę z ciekawości. Ciekawa byłam, co może być w głowie i w duszy człowieka, któremu się wrażenia życiowe przelewają w marmur i w farby w plastyczny kształt. Ale teraz, kiedy cię poznałam, widzę, że ty się okropnie marnujesz.

— Dlaczego?

— Bo w tobie oprócz rzeźbiarza i malarza mógłby być jeszcze człowiek. Mógłbyś iść razem z nami, razem z tymi, którzy idziemy do czegoś, marzymy o czemś, chcemy czegoś — którym nie wystarcza dziś, którzy żyjemy jutrem. Tymczasem ty jesteś tylko artystą i niczem więcej. Ja kocham swoje idee, swoje ideały, kocham to jutro, które śni mi się, pracuję dla

niego, żyję niem — czy tobie wystarcza żyć poza modelki i plamami słońca?

— Powiedz mi: czy nie umrzesz ty dziś, następni jutro, pojutrze jeszcze inni?

— Trzeba kochać idee. Te platońsko-shellejowskie idee, unoszące się nad światem.

— Czy świat się nie skończy?

— No, więc nie jedz, nie pij, nie ubieraj się, bo na cóż to wszystko robić, skoro kiedyś umrzesz?

— Często mi też do głowy przychodzi, że właściwie nie warto nic robić, ponieważ się umrze.

— Ależ niepodobna żyć tylko śmiercią... Zresztą ja nie będę z tobą dysputowała. Jestem młoda, kocham życie, chcę go; jestem silna i odważna, chcę walki — poprostu potrzebuję żyć i walczyć. To jest we mnie tak naturalne, jak w młodej lwicy. Kiedyś tam umrę, ale nim umrę, chcę życia dla samej mojej namiętności do niego, i chcę tworzyć życie! nowe życie! Każde młode drzewo przez to, że wzrasta na starych pniach, tworzy nowe życie. I ciebie dla niego zdobędę!

— Nie zdobędziesz. Nie jesteś pierwsza.

— Już była taka kobieta?

— Była. Ty chcesz mnie wywieść na nowe życie ducha; ona chciała mnie wywieść na nowe życie serca. Runąłem u jej nóg w ataku sza-

leństwa, rozbijając młotem głowę własnej mojej rzeźbie.

— Aniołowi śmierci?

— Tak. Rozbiłem głowę aniołowi śmierci, jednak ciosem tym nie wylupałem okna w jakimś murze, który mnie otacza. Przede mną jest jakieś zatracenie.

— Straszno słowa użyłeś.

— Straszno. Nie mam wiary w nic. Nie jest to już sceptycyzm, to jest nihilizm umysłu.

— Oby wymarli tacy jak ty!

— Oby wymarli...

Szli w milczeniu nad morzem, które szumiało głucho i spokojnie.

— Dzwonią w kościele — rzekł Rdzawicz — Nabożeństwo majowe. Wejdzmy.

— Po co?

— Lubię. To ładne.

— Nie, to dla ciebie nie tylko jest ładne. Nie wierzysz, ale się poddajesz wrażeniu. Takich jest mnóstwo. Wejdzmy.

Rdzawicz zadrgał całym. Przeznaczenie, czy co? Niedaleko wejścia kościoła, oparta o ławkę, w której siedziała jej matka z Celiną, stała hrabianka Teresa Morska. Krew zbiegła tak do serca Rdzawiczowi, że doznał wprost bólu,

a uczył, że bieleje na twarzy. Spojrzał na pannę Naborowską: patrzyła w inną stronę.

Teresa nie widziała go również. Nagle oczy ich spotkały się. Głowa Teresy drgnęła a oczy otworzyły się w jednym mgnieniu szerzej, niż naturalnie. Rdzawicz skinął głową; odkloniła mu się i uśmiechnęła. To był ten sam uśmiech, ten sam uśmiech, który bardzo ładną twarz Teresy zamieniał w coś cudownego, w zjawisko piękności.

Spojrzeli na siebie jeszcze raz, a potem Rdzawicz widział, że ona zaczyna się modlić z myśli; książkę do nabożeństwa opuściła na dół.

Nabożeństwo, które się miało ku końcowi, skończyło się; panie Morskie modliły się jeszcze.

— Chodźmy się przejść nad morze — szepnęła panna Naborowska.

Rdzawicz wbił niecierpliwie paznogie w rękę.

— Zostańmy trochę. Miło tutaj.

Panna Naborowska spojrzała na niego.

— Coś ty taki czerwony?

— Nic. Duszno.

— W tej chwili panna Naborowska spostrzegła panią Morską i córki.

— Patrz-no — odezwała się dosyć głośno — jakaś bardzo przystojna panna z «towarzystwa» z matką i pewnie z siostrą. Twój rodzaj, bo się modli — dodała.

Rdzawicz silił się ukryć wrażenie i bąknął:

Tak, cokolwiek ja sam myślę, to jest bezwzruszająco artystycznie ładne.

— Ale rozumnie szkodliwe. Chodź. Co ci jest?

— Nic. Pójdę się przejść. Przyjdę do ciebie później.

— Jak chcesz.

Rdzawicz nie mógł w tej chwili znieść towarzystwa panny Naborowskiej, ale niespodziewany widok Teresy tak nim wstrząsnął, że czuł, iż nie potrafiłby się również zbliżyć do niej. Szedł nad morze, na które z wolna spadał przedwieczorny mrok. Szedł coraz prędzej, rozgorączkowany i rozdrażniony, czując, że robi wprost przeciwnie swojej woli: zamiast szukać, ucieka. I biegł coraz dalej, dalej bez myśli prawie, z obrazem Teresy w oczach, aż pod noc już stanął we drzwiach panny Naborowskiej.

— Kompromitujesz mnie — uśmiechnęła się — sama panna...

Miała na sobie żółty szlafrok przejrzysty z koronkami, wygorsowany, z szerokimi rękawami, zapięty wielkim szafirem, oprawnym w dyamenty na piersiach. Leżała z książką na szezlongu.

— Niemki z sąsiedztwa, z za drzwi, pomrą z oburzenia! — dodała. — Już odwracają twarz, kiedy mię spotykają na schodach, jak od dyabła. Cóżś robił?

— Chodziłem nad morzem — odparł Rdzawicz.

— Siądź. Co ci jest? Wyglądasz tak dziwnie!

— Nic mi nie jest.

Panna Naborowska usiadła prosto na szezlongu, wzięła Rdzawicza za ręce i popatrzała mu bystro w oczy:

— Ona?

Rdzawicz wzdrygnął się i opuścił głowę na piersi.

— Ona? Znowu ona? — powtórzyła panna Naborowska z naciskiem i dodała z niesmakiem: Erotoman.

Rdzawicz szarpnął się niecierpliwie, jakby chciał wstać i odejść; panna Naborowska przytrzymała mu ręce i udąa, że nie zauważyła jego ruchu.

— Ale zkąd ci się to tak nagle znowu wzięło? Zdawało mi się, żeś już zapomniał i że wydobyłam cię z tego moczaru, w którym tonąłeś, a ty znowu w nim brniesz? Jak dzieciak! No, wypowiedaj mi się: cóż ci ją znowu przypomniało, tę twoją «oną»?

I panna Naborowska śmiałym ruchem ręki poglaskała Rdzawicza po głowie.

No gadaj! Nagadałeś mi o niej tyle, możesz jeszcze. Gadaj.

— Widziałem ją.

— Gdzie?!

— I tyś ją widziała.

— Ja?!... Aha! Czy to może ta, co się modliła? Masz dyable kaftan! Tutaj ją musiało licho przynieść! Aleś się nie kłaniał przecie?

— Owszem. Nie uważałaś.

Panna Naborowska wstała z szezlongu i, jak to było jej zwyczajem, kiedy była podniecona, poczęła szybko chodzić po pokoju, wachlarzykiem, który wzięła ze stołu, uderzając raz po raz o nogę.

— Licho ją tu przyniosło! — mruczała.

Rdzawicz siedział z głową wciśniętą w dłoń i schyloną w dół i milczał; po chwili rzekł:

— Wiesz, Kamillo, że to, że ona tu przyjechała, to jest mój los. Ja teraz już nie odejdę od niej tak, jak rozstaliśmy się przed półtora miesiącem w Warszawie. To, że spotkaliśmy się tam, to było bardzo naturalne; mieszkaliśmy w jednym miejscu. To, że rozstaliśmy się tak, jak to się stało, było również naturalne: wszyscy wyjeżdżali i oni także. Miały jechać do krewnych na Wołyń. Gdybym był jej więcej nie widział, byłoby mi strasznie źle i może bardzo długo, ale byłbym żył, jak żyłem. Tu ją przywiódł mój zły los.

— Cóż ty teraz myślisz?

— Nie wiem, ale czuję, że się teraz coś w mojem życiu stanowczo załamie. Ja dotąd

marzyłem o niej, fantazowałem na jej temat, to nie była dla mnie kobieta z krwi i ciała. Jeżeli ją kochałem, to ją kochałem tylko moją wyobraźnią. A teraz, odkąd ją znów tu zobaczyłem, z tą cudną twarzą, z tym cudnym uśmiechem, taką, jak jest cała: teraz dopiero uświadomiło mi się, że ja ją kocham, ją samą, nie jej cień na ścianę rzucony, ani odbicie w zwierciadle; teraz dopiero widzę, wiem, czuję, że mi jej trzeba, jej, jej, nie żadnej innej, jej tylko i jedynie!

— Która to już z rzędu?

— Drwisz, a nie rozumiesz. Szukam tej inkarnacji kobiety mojej duszy i mojej krwi, mego mózgu i serca, tej mojej kobiety; szukam jej tak, jak się szuka drogi w lesie, tej drogi, która prowadzi po uciążliwej wędrowce do miejsca spoczynku. Wędrowcy błądzą, mogą, muszą się mylić, są ludźmi i pragną. Pragnienie oślepia właśnie dlatego, że jest pragnieniem.

— Jak ty ciągle jesteś igraszką swojej własnej wyobraźni! I ta wyobraźnia tak cię ludzi, że ty nie czujesz teraz, że ty znów przede wszystkim kochasz swój jakiś sen.

-- A jednak mogę zginąć dla tego snu.

— Od tego właśnie jesteś sobą. Ale cóż ty myślisz robić? Starać się? Wiesz doskonale, że ci jej nie dadzą, a prawdopodobnie domyślasz się, że ona by za ciebie nie poszła. Nie masz

dosyć pieniędzy, żeby ją kupić, więc cóż możesz zrobić?

— Nie mów tak!

— Boli cię, bo cię «pragnienie oślepia». Ponieważ się kochasz, więc naturalnie ona jest inna, jak wszystkie, a ręczę ci, że taka sama próżna, czcza, utylitarystka, chciwa pieniędzy, znaczenia i najordynarniejszego, najpospolitszego, najbanalniejszego blasku, jak ogół panien z arystokracji. Ale gdyby nawet była inna, to ci przecie na szyję sama nie skoczy, a ty po nią nie potrafisz rąk wyciągnąć, bo ich nie masz. Cóż zrobisz?

Rdzawicz milczał.

— No, to ja ci powiem, na coś ty, z twojem nazwiskiem artysty dla niej dobry: na ómę koło świecy, na to, żebyś się koło niej kręcił, na trabanta, ale nie na męża, może zresztą na kochanka, kiedy za mąż pójdzie. Proszę cię: cóż ty masz, co przemawia za tobą? Czy możesz wymagać, żeby panna z wielkiego świata, piękna i młoda, traciła pozycję, którą jej daje urodzenie, dlatego, żeś wykuł parę dobrych rzeźb, namalował parę dobrych obrazów i że ci się podoba ją kochać? Cóż ty masz? Gdzie jest twój powóz, twój kamerdyner, twój pałac? Do jakiego klubu należysz, oprócz bratniej pomocy artystów? Z jakimi wielkimi paniami jesteś w innym stosunku, jak tylko takim,

że ty chciałbyś im sprzedać, a oni mogą chcieć, albo mogą nie chcieć kupić? Porównaj pozycję hrabianki Morskiej dziś i wtedy, kiedyby była twoją żoną. No? Nie prawda?

Panna Naborowska poczęła znowu chodzić niecierpliwie po pokoju.

— Cóż zrobisz? — zapytała Rdzawicza. — Pójdiesz tam?

— Nie.

— Dobrze, że masz jeszcze ambycję. Chociaż u was mężczyzn, to co się nazywa ambycją, jest najczęściej tylko brakiem cywilnej odwagi i chuchaniem na swoją najdroższą miłość własną. A swoją drogą możeby i lepiej było, żebyś tam poszedł, żebyś się oświadczył, albo zaczął się starać, żeby cię tam porządnie zimną wodą zlali i żebyś może otrzeźwiał potem. Masz pragnienie kochać, być kochanym — od tego jesteś człowiekiem. Ale cóż za przeklęty los ciągnie cię tam do tych mamutów, do tych za-
bytków z epoki jurajskiej? Mówię bezintereso-
wnie. Cokolwiek między nami jest, wiesz, że cię nie kocham. Znasz moje pojęcie o równem prawie używania życia dla kobiety, jakie jest otwarte dla mężczyzny. Lubię cię jednak bardzo i życzę ci szczerze dobrze. Zastanów się: nie mówię, żebym ci w drogę wchodzić chciała, ale ja chciałam z tobą, wielkiego artysty, zrobić także człowieka, jak ja go rozumiem, a cóż może zro-

bić z ciebie taka hrabianka Morska, o ile ją znam z twych opowiadań? Przepraszam cię za wyrażenie, ale tylko durnia. I grozi ci to z każdej strony, bo jeżeli będziesz się kochał nie-szczęśliwie, to będziesz wyglądał jak dureń, a jeżeli jakimś wyjątkowym trafem szczęśliwie, to, jako człowiek, wlaższy w tę atmosferę, przepadłeś. Za słaby jesteś, abyś potrafił się oprzeć oportunistom, handlarstwu, kamerdynerstwu, czczości, jałowiznie i filisterstwu, które cię ogarną. Wyjątków tam jest za mało, abyś się o nie mógł oprzeć.

Panna Naborowska mówiła szorstko, ale w głosie jej drgał smutek.

— Cóż zrobisz, Romku?

— Zrobię, co zechce moje przeznaczenie.

— Fatum, wymówka dla ludzi bezsilnych, tchórzliwych i leniwych. Poddać się, jak wół pod nóż. Mówię ci szczerze, że mi cię żal... Nie, żebyś był moim typem, żebyś czuła, iż łącząc się z tobą, idę za jakimś prawem powinowactwa z doboru; nie, żebyś się bała samotności, bo ją znieść potrafię i zapełnić sobie mogę, żal mi cię, bo widzę, jak tam zginiesz, zwalisz się przez tę dziewczynę w przepaść na łeb na szyję, albo połamią cię, podepcą i pójdą dalej spokojnie, obojętnie, prawdopodobnie szczęśliwie, bo bezmyślność jest pierwszym warunkiem szczę-

ścia, a przecie takie panny mają co lepszego do roboty, niż myśleć.

— Takie jest moje przekonanie: iść za nią.

— Nie, taka jest twoja natura. Jesteś prostu erotomanem. Robię ci przykrość, kiedy to mówię, ale niemniej to jest prawda. Zginiesz przez to. To jest twoje zatracenie.

— Więc niech zginę.

Panna Naborowska wstrząsnęła niecierpliwie głową.

— Otóż to jest powiedzenie godne mężczyzny! Bez woli, bez panowania nad sobą, bez wewnętrznego imperatywu, bez władzy nad swoją materyą. Cóż ty jesteś? Żagiel, w który dmie wiatr. Wszystko rządzi tobą, ty niczem. Czy wszyscy artyści są tacy? I jaki dziwny kontrast w tym człowieku, który, kiedy tworzy, wydaje się prawie bohaterem, jeżeli można tego wyrazu tu użyć! Wykuleś potwornie wyzywającą wszelkie konwencyjonalne pojęcia i wszelkie dotychczasowe reguły sztuki «Salome», a widziałam cię, jak się bałeś przez dwa dni otworzyć listu z pisma, gdzie ją mieli reprodukować. A zgubą dla ciebie jest kobieta. Patrz, przecie ja mam także zmysły, polskie szczerę ryby wydają mi się czemś wstrętnem, bo przeciwnem naturze, a polską hipokryzyą zmysłów gardzę tak samo, jak wszystkim, co nie ma odwagi swojej prawdy;

czuję się stworzoną do życia z mężczyzną, ale przecie to nie wypełnia mi całej duszy, całego mózgu, żyję jeszcze oprócz tego czemś, chcę czegoś, kocham i nienawidzę, marzę o czemś, a ty? Cóż ty umiesz i coź ty robisz? Kujesz marmur, mieszasz farby i kochasz się. Oto cały pan Roman Rdzawicz.

— Czy myślisz, że ja tego nie wiem? Wiem to równie dobrze, jak ty. Ale czyż na świecie jest tylko samo zboże? Są także galezie świerkowe, które szumią, i słuchasz tego szumu, choć ci nic innego z tego nie przyjdzie, tylko żeś słuchała.

— Słuchaj — rzekła panna Naborowska — nie wiem który z tych malarzy był większy: Boecklin, czy Matejko, ale w każdym razie ja u nas oddałabym dziesięciu Boecklinów za jednego Matejkę. Może tak, w galerii wielkich malarzy, wielkich artystów, Boecklin miałby jedno z pierwszych miejsc, ale w jakimś panteonie wielkich ludzi, wielkich wodzów ducha ludzkiego, «królów-duchów», czy tam przyznajesz mu to prawo stać, jakie ma Matejko? Czy cudownie namalowany tryton jest tem samem, co cudownie namalowany Skarga, a «Wyspa umarłych» tem samem, czem Gruenwald?

— Ach, na ten temat dałoby się dużo mówić! W danym razie przyznaję ci słusność. Powiedz mi jednak, co Włochom, jakiebykolwiek

były ich koleje, przyjdzie z kaplicy sykstyńskiej Michała Anioła, oprócz największej na świecie chwały? Potrzeba każdej chwały, a Matejko nie tematami, ale geniuszem artystycznym wznosił się, gdzie stoi.

— Dobrze. Za geniusz się go podziwia, za duszę czci się go i kocha.

— Tak... Przekleństwem i zabójstwem jest dla artystów nie umieć się dostosować do warunków... Ludzie spragnieni i głodni chcą z każdej amfory przedewszystkiem pić, z każdego naczynia, choćby z kryształu, przedewszystkiem jeść. Zapewne, jeżeli te naczynia są piękne, wyżej je cenią, niż gliniane, ale przedewszystkiem chcą jeść i pić. Więc kto nie daje jeść i pić ludziom spragnionym i głodnym, taki niech idzie do ludzi sytych, albo niech idzie precz!

I Rdzawicz, porwawszy kapelusz, wybiegł z pokoju panny Naborowskiej.

Ach tam, tam! W tych spokojnych, cichych, szafirowych oczach, tam spokój, tam spoczynek! Tam nic, prócz wdzięku, prócz słodczy, prócz upojenia... Jeżeli los ją tu przywiódł dla jego zguby, niech będzie, niech się stanie!

Przez długą noc obraz Teresy przybliżał się ku Rdzawiczowi coraz więcej i więcej, aż w końcu wydawało mu się, że przyrósł mu do

piersi. I postanowił poddać się temu, co los zechce.

Wyszedłszy nazajutrz rano na «Strand» nad morzem, ujrzał zdaleka panią Morską z obiema córkami. Kolana zadrżały pod nim i ugięły się; ledwo owładnął sobą i źrenicami usiłował przebić to zalśnienie, które mu nagle spadło na oczy. Nim jednak zdążył zdjąć kapelusz, pani Morska skinęła ku niemu przyjaźnie głową i zawołała:

— Przecie jaka znajoma dusza! Dowiadujemy się, z Polaków prawie nikogo.

Rdzawicz, witając się, dostrzegł śliczny uśmiech Teresy.

— Mnie kazali na kilka tygodni gdzie nad morze jechać — mówiła hrabina Morska. — Wybrałam Abbazę, bo blisko. Ma pan tu znajomych?

— Prawie nikogo.

— No, to się musimy razem trzymać trochę. Pan tu zapewne dawniej, to pan trochę znać już musi okolicę. Pan tu zostaje jeszcze?

— Tak, zostaję.

Po twarzy Teresy przemknął znów miły uśmiech.

Poczem panny poszły naprzód, a hrabina Morska opowiadała o swoim zdrowiu, stosunkach w Poznańskim, o swoich synach i wypytywała o Abbazę.

I zeszło kilka dni, nieco chmurnych, na spa-

cerach nad morzem, podczas których Rdzawicz mało mówił z Teresą i nie czynił nic, aby się zbliżyć. Patrzył tylko, kiedy szła przodem z siostrą i usiłował sobie uświadomić to, jakie jest ogromne szczęście patrzeć na Teresę z tak blizka, tak swobodnie, uświadamiać, aby pamiętać, aby i czuć, i wiedzieć o tem, że się czuje, nic, nic nie stracić, objąć to i obejmować myślą, odczuciem i pojęciem.

Do panny Naborowskiej zachodził późnemi wieczorami, aby jej mówić o Teresie. Ona słuchała niecierpliwie i z niechęcią.

Aż po dniach chmurnych przyszedł piękny dzień słoneczny i hrabina Morska poprosiła Rdzawicza, aby im towarzyszył popołudniowym statkiem do Buccari.

Morze usposobiło hrabinę Morską sennie, ruchliwa zaś, ciekawa i śmiała Celinka kręciła się po całym statku, gadała do majtków, zaprzyjaźniła się z kapitanem i z małym pudlem kapitana. Rdzawicz pierwszy raz w życiu mógł być swobodnie mówić z Teresą. Jednakże nie zbliżył się pierwszy i stanął na dziobie statku.

Po chwili przyszła za nim Teresa.

— Cudowny dzień — odezwała się.

— Cudowny, jakby mogło być życie — odpowiedział Rdzawicz.

— Tak... Ja sobie wyobrażam, — podjęła po

chwili Teresa — jak pan to musi czuć więcej, silniej i pełniej, niż my wszyscy, zwykli ludzie! Niema nic większego na świecie jak sztuka. Chciałabym się pana o coś spytać, ale pan się będzie śmiał.

Mówiła zażenowana trochę i śliczna.

— Dawno mam na to ochotę, — dodała — ale to jest takie naiwne...

— Proszę, niech pani powie.

— Więc — jak to się tworzy? Na czym polega to, co my, zwykli ludzie, nazywamy artyzmem?

— Na czym u innych polega — odparł Rdzawicz — nie wiem. U mnie na odczuwaniu wrażeń. Czasem sztuka jest dla mnie poprostu klapą bezpieczeństwa.

— Jak to?

— Żeby kociel nie pękl. Czasem, żeby to, co się nazywa duszą, nie pękło, muszę to wyrzucić z siebie na zewnątrz. Gdybym spotkał na przykład grecką Charytę, prawdopodobnie musiałbym rzucać jej obraz na papier, czy płótno, żeby poprostu za silne wrażenie osłabić i uczynić możliwem do zniesienia i do wytrzymania.

Teresa spuściła znowu zażenowana oczy.

— Tylko — mówił dalej Rdzawicz — widać pani, moja energia wyładuje się przez to, następuje zmęczenie, a zarazem takie także zlanie się tego, co jest w moim mózgu, z tem,

co jest naprawdę żywe, że prawie przestaję odróżniać i zmęczony myślę, zamiast żyć. Niegdyś w Alpach cudowny zobaczyłem pejzaż i myślałem codzień tam wracać; cały następny dzień był deszcz, i cały ten dzień malowałem go z pamięci. Wziąłem potem za ten pejzaż z pamięci medal w Paryżu, ale więcej go już nie widziałem w naturze. Już nie miałem energii, żeby tam pójść. Wrażenie było niesłychanie silne, ale wylądowanie tego wrażenia zabójcze dla mojej woli.

— I żał panu?

Rdzawicz zaczął improwizować:

— Przyniosłem raz do domu cudowny uśmiech kobiety, o której wiedziałem, że musiałbym morza przelać, żeby mogła być moją. Mój ból, moja tęsknota zupełnie zabijały mi serce. Więc — więc zacząłem na drugi dzień rzucać na papier jakieś wizye. Rysowałem i rysowałem — aż przez klapę bezpieczeństwa wybuchnęła skłębiona para i — kociel nie pękł.

— I?

— I żyję dalej spokojnie.

— A ona? Ta kobieta?

— Zapewne nie pamięta, że się uśmiechnęła.

— A jeżeli pamięta?

— Nie wiem o tem, bo nie poszedłem się jej spytać. Nie miałem czasu — rysowałem.

Umilkli. Teresa schyliła głowę i zaczęła parasolką wiercić dołek w linie okrętowej.

Nagle Rdzawicz zapytał:

— Czy pani jest dobra?

— Jeżeli chodzi o kogoś, komu dobrze żyć: tak.

— Ale obojętnie — mogłaby się pani na przykład modlić za jakiegoś marynarza zbłąkanego na morzu?

— Jeżeli mu grozi niebezpieczeństwo — tak.

— A jeżeli on musi zginąć.

Teresa podniosła oczy na Rdzawicza.

— Niech walczy.

— A jeżeli morze jest silniejsze, niż jego łódź i wiosła?...

Teresa rzekła powoli:

— Niech ufa.

Znów umilkli. Po chwili Teresa podniosła głowę i spytała, jakby mimowoli poważniej, niż się zwykle mówi w rozmowie:

— A pan?

— Co?

— Gdyby pan widział jakąś biedną, uwięzioną kasztelanekę, do którejby się trzeba dostać po stromym murze, aby ją uwolnić, co by pan uczynił?

Rdzawiczowi uprzytomniła się nagle rozmowa z Naborowską i dwa jej wyrażenia, które

mu głównie utkwily w pamieci: trabant i du-reń — i odpowiedział zupełnie innym głosem, jak dotąd mówił:

— Albobym sobie poszedł dalej, pozostawiając jej los innym przechodniom, albo wylazlbym i uwolnił ją dla fantazyi.

W oczach Teresy odmalowały się zdziwienie i jakiś jakby żal.

— Alboby pan poszedł dalej, zostawiając ją jej losowi, albo uwolnił ją dla fantazyi? — powtórzyła.

— Tak.

— Chłodno się robi — rzekła Teresa, również zmienionym głosem, zwracając się ku zejściu. — Pan zostaje?

Rdzawicz skłonił się lekko na znak, że zostaje.

— Na trabanta bylbym ci bardzo dobry, prawda? — szepnął za nią. — Nie w smak ci, że nim nie będę tak od pierwszego zamachu?

Ale zarazem zapytał sam siebie: dlaczego to, co jest poprostu cudem, o czym marzyć nie mógł, a co się stało, że jest z Teresą, że mówi z nią, widzi ją, dlaczego psuje?

Widział, jak Teresa zesła na pokład i zatrzymała się przy poręczy.

Coś popchnęło Rdzawicza, żeby za nią iść: wahał się chwilę i poszedł. Zerwał się wiatr od północy.

— Chłodno panu? — zapytała obojętnie Teresa.

— Aha, wiatr...

Obojętny ton Teresy zmieszał Rdzawicza i podrażnił.

Uczuł żal za jej dawnym ciepłym głosem i potrzebę postawienia się znów w korzystnym świetle. Nieszczerym więc, nienaturalnym i przymuszonym głosem począł nagle mówić, robiąc przytem nienaturalne i nieszczere gesty:

— Ciekawym, czy możnaby wyrzeźbić wiatr? Możliwość zrobić człowieka z ogromnymi włosami, ze skrzydłami u ramion, z wyciągniętymi naprzód rękoma, w locie, uplastycznionym przez bieg nóg i przez ruch ciała. Trzeba by naturalnie dać odpowiedni wyraz twarzy i wydożyć złudzenie lotu...

— Tak, to byłoby oryginalne — przerwała mu sucho Teresa, i zwracając się ku nadchodzącej Celinie, zawołała:

Celinko! Czy mama w kajucie?

— Tak.

Odeszły. Rdzawicz został na pokładzie z ogromną urazą do Teresy i ogromną irytacją i nie-smakiem względem siebie.

Komeraże z panienkami — oto godne zajęcie człowieka, którego chce ze mnie zrobić Naborowska — szepnął sam do siebie. — Inni budują jutro świata, a ja się przekomarzam na

pokładzie statku. Dla kompletu ironii — nie na oceanie Spokojnym, czy Atlantyckim, tylko między Abbazją a Buccari. Tfu!

...Zostawiłby dalszym przechodniom, albo uwolniłby dla fantazyi...

Zebrało jej się tyle uczucia w duszy i sercu... Nie bacząc na nic, nie bacząc na to, że się tak mało znają, nie wiedząc, coby jej odpowiedział, chciała mu wyznać wszystko, wszystko powiedzieć... Zrozumiał ją, zrozumiał! Zrozumiał — i odpowiedział.

I Teresa zaciskała zęby, czując się upokorzoną, dotkniętą, kopniętą poprostu. Stała się względem Rdzawicza sztywna i zimna, o ile tylko nie musiałoby to zwrócić uwagi ogólnej.

Pani Morska poznała kilka osób i towarzystwo stało się liczniejsze.

Tymczasem Rdzawicz trzymał się od Teresy zdaleka, a oczy ich unikały się wzajemnie, ile razy zaś spotkały się, starały się przejść zimno, szybko i obojętnie, aby potem znów ukradkiem, nie wiedząc jedne o drugich i pilnując się jedne przed drugimi, zwracać się wzajem ku twarzom.

Te skryte spojrzenia Rdzawicza, pełne jakiegoś rozpaczliwego, gorączkowego rozdrażnie-

nia, i również skryte, krótkie, płochliwe, pełne smutku i goryczy spojrzenia Teresy, obserwowała staruszka przeszło sześćdziesięcioletnia, ale pełna życia i sił, baronowa Lewetzau, z domu księżniczka Ghika, Rumunka, wdowa po baronie kurlandzkim, osoba wysoka, okazała, ze sładami wielkiej piękności w rysach.

Pewnego wieczoru wzięła ona Teresę pod rękę, wyszła z nią na werandę willi, w której mieszkały, i sadzając ją na kozetce, odezwała się prosto:

Moja droga — daruj mi, że ci mówię «ty», ale stara jestem — dlaczego wy się tak dręczycie oboje?

Teresa drgnęła.

— Kto, proszę pani? — bąknęła zastraszona

— No: ty i ten artysta.

— Pani baronowa wybaczy — rzekła Teresa, czyniąc ruch, jakby się chciała podnieść z ławki, ale baronowa Lewetzau objęła ją ręką, przygarnęła ku sobie i pocałowała serdecznie kilka razy w czoło.

Teresa została i jakoś bezwładnie owisła na jej ramieniu.

— No, widzisz, duszeńko — mówiła pani Lewetzau — zostałam. Inaczej byłabyś poszła. Przepraszam, że ja się w to mieszam, ale ja nie mogę znieść, jak sobie ludzie bez po-

trzeby dokuczają. Tyle jest i tak biedy i złego na świecie.

Teresa tuliła czoło w rękaw pani Lewetzau. Ta mówiła dalej:

— Ja was obserwuję od samego mego przyjazdu. Ty wydałaś mi się bardzo sympatyczną; po nim widać, że to niepospolity człowiek. Odkąd sama przestałam żyć, żyję cudzemi sprawami. Czems się musi żyć. A widzisz, czasem to się niejedno lżej powie jakiejś starej, poczciwej przyjaciółce, a ja jestem poczciwa i pozwól mi być twoją przyjaciółką, niż własnej matce. Powiedz mi: co między wami jest?

Teresa drgnęła i milczała.

— Kochasz się? Że on się w tobie kocha, no, tego nie potrzeba ze świecą wypatrywać — ciągnęła dalej baronowa Lewetzau. — Ciebie to może razi, że tak poprostu mówię. Znam polskie towarzystwo i znam wasze obyczaje; ach! u nas to tak po hiszpańsku, nikt się nie wstydzi swego serca, jak się nie wstydzi swego nosa na wierzchu twarzy. Nie przeczysz, prawda?

Teresa czuła zupełnie zadławione gardło; przytem to, co mówiła baronowa Lewetzau, iż Rdzawicz miałby się w niej kochać, spadło na nią, jak załśnienie i oszłomiło ją.

— Ja tylko spostrzegłam jedno spojrzenie — mówiła baronowa — które on na ciebie rzucił,

zaraz pierwszego wieczoru, kiedym was poznała. Już byłam w domu. No, a i ty, kochanko, nie kazałaś na siebie długo czekać. Wy jeszcze nic sobie nie mówiliście, tak, prawda? A sytuacja jest taka: on niema pewnie nic — artyści nigdy nic nie miewają — i nie należy do twojego świata. Jest synem małego szlachcica ze wsi, adwokata, lekarza, może kupca, coś podobnego. Ty jesteś panną z arystokracji, notabene z polskiej, która jest jedną z najmniej kulturalnych na świecie. On ma lat około trzydziestu pięciu, ty dziewiętnaście. Różnica duża. On wie, że wszystko jest przeciwne, żeby mu ciebie nigdy nie dali; ty wiesz, że nigdyby ci nie pozwolili za niego wyjść. Czy nie tak, duszko?

Teresa milczała, wciskając twarz w ramię baronowej.

— Tak, tak, tak bywa. Kochasz go bardzo? Bo on ciebie kocha do szaleństwa. Wierz mi, znam się na tem. Zęby zjadłam na kochaniu. Przecie kobieta normalna tylko tem żyje. Przy najmniej za moich czasów tak było. No, kochasz go? bardzo?

Teresa zeszywniała.

— Dumna Polka! Hrabianka Morska. Hrabianka Morska nie przyzna się do swojego kochania, a ja jej powiem — tu baronowa Lewetzau wzięła głowę Teresy w obie ręce i całując ją serdecznie po czole, kończyła — że ona bardzo ko-

cha tego rzeźbiarza polskiego. I przeproszę ją za to, że chciałabym jej pomóc do szczęścia — i baronowa Lewetzau pocałowała Teresę w rękę.

Wtenczas Teresa wybuchnęła płaczem i schyliła twarz do jej kolan. Pani Lewetzau głaskała ją dłonią po włosach, mrużąc szeptem:

— Płacz... Wyplacz się... Płacz, dumna ty duszo... Oł, kasztelanka polska... Królewiatko...

Słuchaj, ja tobie opowiem historię. Noc ciepła, mama gra w pokiera, młodzi rozmawiają — i — widzisz — jego tam niema w salonie, wyszedł sam, widziałam. Posłuchaj.

Ja jestem księżniczka Ghika z domu, z wysokiego rodu, milionerka, baronowa Lewetzau teraz, Kurlandczyk był, biedak, umarł trzy lata temu, ale przedtem byłam panią Goupecu, *tout court*, madame Goupecu, synowa ekonoma.

Był u nas na wsi ekonom, Stefan Goupecu. Miał syna także Stefana, który się uczył na uniwersytecie w Berlinie za papy pieniądze. Chłopak był jak świeca, dębczak. Przyjechał na wakacye, zakochałam się. Miałam siedemnasty rok. On dwudziesty. Kocham Goupecu, pójdę za niego — mówię mamie.

Rwetes, krzyk! Sądny dzień. W skórę dostałam. Papa był dziki człowiek, jak się rozgniewał. Nie patrząc na mój siedemnasty rok i na to, że już na balu dworskim w Bukareszcie tańcowałam. Papa bil! Joj! Usta zacięłam, nie pisałam. Tak

i co? — myślę sobie — bij! A ja taki pójde za Stefana Stefanowicza Goupescu.

A chłopakowi do mnie aż oczy wylaziły na wierzch. Cośmy mogli, tośmy sobie już powiedzieli o naszej miłości. Sypialnia moja była na pierwszym piętrze w pałacu. Związałam prześcieradło z koldrą, rękoma i zębami się trzymałam. Wyszłam w nocy. Na folwark. Tam psy! Rzucił się jeden na mnie. Patrz.

Pani Lewetzau wzięła palce Teresy i dotknęła niemi głębokiej szramy na ręce niżej łokcia.

— Zostało. Ugryzł. Wiedziałam, że tam psy są, ale nie było rady. Wiedziałam, że papa na-
zajutrz każe Stefanowi wyjechać, że go wyśle do Anglii na resztę studyów. Nie było czasu. Byłyby mię psy zagryzły, gdyby mnie był nie uratował nocny stróż.

Kto taki? pyta się. Księżniczka ze dworu... Wszelki duch!... Pamiętam, jak dziś. Jest Stefan? Jest. Śpi. Prowadź mnie do niego. Leżał w łóżku. Spał. Wchodzę. Zerwał się, siadł na łóżku pod koldrą, oczy przeciera: Święty Mikołaju! Nastka?! Tu?! Ja. Zbieraj się. Uciekajmy.

I uciekliśmy. Rękę tylko przewiązałam ręcznikiem mokrym.

Niedalekośmy uciekli. Nad ranem nas złapali. On ledwo żywy wyszedł z pod batów, mnie

oddali do klasztoru. Ej, goląbeczko, kasztelanko polska! Aleśmy się już umówili. On pojechał do Anglii, jak miał, ale już bez pieniędzy papy. Poszłam tam. O żebranym chlebie przeszłam Francję do morza. Księżniczka Ghika. Mój ojciec miał milion guldenów renty. Znalazłam go w Londynie. Tyle dobrze, że po angielsku mnie nauczyli mówić. Pięć lat jedliśmy suchy chleb. Ach! Co to była za nędza! Co za nędza!... Nikt nie wiedział gdzie jestem. Zostawiłam list, że się idę topić. Rzuciłam kapelusz i mantylkę do rzeki i to znaleźli. On też nie wracał do domu, a o mnie nie pisał nic.

Po pięciu latach wróciliśmy. On, jako majster kotlarski, ja, jako prasowuczka, z dwojgiem dzieci. Papa już nie żył. Cóż było robić? Mama przyjęła nas. Wzięliśmy ślub. Zostałam panią Stefanową Goupescu, ekonomczukową, z domu księżniczką Ghika. I byłam panią Goupescu czternaście lat, aż do śmierci Stefana... Co ty robisz, duszko?

Teresa osunęła się do nóg baronowej Lewetzau i całowała ją po kolanach.

Robił się cichy brzask. Na wschodzie poczęła już powstawać delikatna, ledwo widna biel poranna. Morze, jeszcze zupełnie ciemne, od wschodu zamajaczyło światłem, znikomem i po-

wietrzniem. Gwiazdy przygasły już, mniej licznie świecąc, mniej złote i iskrzące. Od morza szedł lekki, ciepły wiatr, wartki i szumiący.

Teresa stała w oknie. Nie mogła spać. Oświadczenie, że Rdzawicz kocha ją, wprost, nagle, niespodziewanie jej powiedziane, zasypało jej oczy jakby piaskiem i zapelniło jej mózg jakąś jakby chmurą gęstą, ciężką i błyszczącą. To, co jej nigdy nawet nie powstało w myśli...

Stała przy oknie i czuła, że jest jak gdyby nie tą samą, którą była dotychczas... Nowy świat, nowa istota... A choć mówiła sobie, że to nieprawda, że tak nie jest i zkadby mogło być, ani nigdy nie będzie, choć nie wierzyła baronowej Lewetzau: jakieś olbrzymie szczęście, zupełnie jej nieznane i niepodobne do niczego, co wogóle czuła w życiu, rodziło się jej w piersi.

I poczęła szeptać:

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Boże! Boże! Daj mu wszystko najlepsze, daj mu szczęście, czuwaj nad nim, strzeż go! Daj mu wiarę gorącą i miłość Ciebie, niech on Ciebie kocha nad wszystko i żyje tak, abys Ty mógł go nagrodzić i błogosławił mu. Weź moje własne szczęście, jeśli tego potrzeba, i daj je jemu!...

Kocham go, widzisz, Ty, Ojcze niebieski, kocham go. To nie jest żaden grzech — prawda? Wolno jest tak kochać. Ale gdyby i niewolno

było — kochałabym go! Boże — ja Ci to wyznaję: kochałabym go..

Niech on będzie piękny, niech on będzie wielki, niech on będzie szlachetny... Niech wszystkie głowy chylą się przed jego geniuszem, przed jego charakterem, przed jego przewagą i pięknnością duchową... I daj mu szczęście! daj mu szczęście! Daj mu żonę dobrą, kochającą, piękną, czystą... Niech ją kocha, niech ją czci, niech ona osładza mu wszelkie gorycze, wszelkie zawody i cierpienia... Niech on będzie jej bohaterem, jej snem cudownym, jej marzeniem, które zstąpiło z obłoków na ziemię...

I Teresa urwała swoją modlitwę, czując, że jej modlitwa o szczęście dla Rdzawicza staje się modlitwą o szczęście dla niej samej.

Ku ulicy, na którą wychodziły okna Teresy, szło dwoje ludzi. Rdzawicz wracał z nocnej wycieczki z Naborowską, dumny, zuchwały, szczęśliwy. Trzymali się za ręce, a Naborowska nuciła na głos:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, tobie morze
Śpiewa w wielkim wiecznym ruchu:
Twórz i pracuj ludzki duchu!

— Chodź, chodź! — mówił nerwowo Rdzawicz, — Chodź pod jej okno.

— Spi, ale jeśliby usłyszała, zgorszy się. Przecie to dla niej bluźnierstwo.

— To też właśnie! Chodź, chodź! Zaśpiewaj jej pod oknem, głośno! Niech usłyszy! Chodź!

— Dzieciaku!

— Chodź! Wściekłość mnie bierze! Ona może myśli, że ja się w niej zakochałem, może że się Kocham! W takiej lali wykrygowanej! Ja!

O mało nie powiedział, że pali go wstyd wskutek zakończenia rozmowy na statku i że nie może znieść, że poprostu kocha się w kobiecie, wobec której okazał się niezgrabnym i śmiesznym i która względem niego jest taką, jaką jej się podoba być, ujmującą lub sztywną.

— Romku — odezwała się panna Naborowska — jedno jej spojrzenie zwali cię z nóg.

— Nie, nie! Dziękuję ci! Przez tę jedną noc nad morzem otrząsnąłem się jakby z całego swojego dotychczasowego życia. Cała twórczość moja dotychczasowa była czczą, pustą, bezpożyteczną. Co u nas komu po widmach i upiorach? Co kogo u nas obchodzić mogą psychiczne symbole i zagadki?! Sfinksy jakieś i obrazy wyobraźni, myśli i uczuć ludzkich?! Tak, tak! Masz słuszość! U nas niema czasu na wizye i fantazyje! Zegnę się! Nałamię się! Siedzę w swojej sztuce, jak w wieży z kości słoniowej! Zmuszę się pracować ze społeczeństwem,

dla społeczeństwa! Zmuszę się czuć instynkt gromadzki, wspólnie myśleć, wspólnie czuć, wspólnie działać. Wyklnę z siebie artystę, stanę się obywatelem, który pracuje pędzlem i dłutem. Przestaną dbać o światową sławę. Będę robił tylko to, co jest konieczne, pożyteczne, potrzebne. Będę się starał oddziaływać na szeroki ogół, służyć mu. Precz z moim arystokratyzmem artystycznym! Jeżeli co umiem, to powinienem uczyć — nie trzech rzeźbiarzy i trzynastu malarzy, którzy mnie naśladowają. Wstydzę się całej mojej dotychczasowej działalności artystycznej. Głupstwo są wszystkie «Wyspy umarłych», fauny, wizye śmierci i symbole życia. Ludzie przedewszystkiem jedzą i żyją. Głupstwo jest wszelkie piękno, wszelkie sztuki dla sztuki!

— Mówisz tak — przerwała mu Naborowska — bo tak zaczynasz czuć, czy bo cię czemś dotknęła hrabianka Morska?

Rdzawicz zatrzymał ją za rękę.

— Jak możesz tak mówić? — rzekł z urazą i żalem w głosie. — Odrodziłaś mnie! Ty świeży, młody duchu! Idę z tobą!

— Na nowe życie?

— Na nowe życie! — powtórzył Rdzawicz.

Wówczas Naborowska rzuciła mu rękę na szyję i ucałowała go usta w usta.

— Chodź! Będę twoją siostrą, kochanką, żoną, czem chcesz. Hura! Zdobyłam Romana

Rdzawicza! Samego Romana Rdzawicza! Wielkiego artystę zrobię człowiekiem! Ach! Zdaje mi się, że mogłabym cię kochać! Powiedziałam, że będę twoją siostrą, kochanką, żoną, czem chcesz — i takby było! Dokonaj czynu, nie w marmurze, nie na płótnie, czynu, życie twórz, a jeśli zechcesz, będę u stóp twoich. Czemże jest Fidyasz, Tycyan, Beethoven, czy Szekspir wobec Waszyngtona, wobec Grakchów rzymskich, wobec Buddy i jego filantropii? Zechcesz: odejdę dumna i szczęśliwa i nie zobaczysz mnie więcej. Nie mówi przeze mnie kobieta — mówi przeze mnie człowiek!

Na niebie poczęło świtać. Jasny blask wschodzącego słońca uderzył w niebo, jak złoty miecz w ciemną tarczę i pękła. Wylamało się światło.

Wówczas Naborowska upojona tą nocą zdobywczą i tym wschodem wstającym, ujęła Rdzawicza za obie ręce i zaczęła z nim tańczyć kolek.

Nagle Rdzawicz chwycił ją w objęcia i podniósł do góry, a ona zawołała:

Niech żyje wolna miłość! Precz z ołtarzem i stulą. Precz ze wszystkim, co jest zatraca-
niem życia!...

Wówczas z okna willi, pod którą się właśnie znajdowali, padł krótki, urwany i jakby wyrwany z piersi kobiecej krzyk:

Czy to pan?!

Rdzawicz wzdrygnął się, poznał głos Teresy Morskiej i, puszczając z ramion pannę Naborowską, spojrział w górę i przemagając się, odpowiedział wyzywająco:

Tak, to ja!

Nie widział, że Teresa pochyliła się i padła w tył na łóżko obok stojące, z dłońmi kurczowo zaciśniętymi na oczach.

— Kto to był? — zapytała Naborowska.

— Ona — odpowiedział Rdzawicz głucho.

Naborowska chwyciła go mocno za rękę, mówiąc:

Chodź! Chodź! Uciekaj!

I pociągnęła go gwałtem i biegli ku morzu. Na morzu kołysały się już rybackie łódki.

— Hej! — krzyknęła Naborowska. — Dużo spacer!

Jeden z rybaków podpłynął ku brzegowi.

— Daleko, daleko na morze! — powiedziała panna Naborowska, wstępując w łódź i wprowadzając w nią za sobą Rdzawicza.

Usiedli i Naborowska zasłoniła Rdzawiczowi uszy rękoma, mówiąc:

Odyseuszu, nie słysz Syrenyl..

On jednak odsunął jej ręce, położył twarz na jej kolanach i dał się wieść bez ruchu, bez słowa i bez spojrzenia.

— Czy to jest twój wychód na nowe życie? — spytała z bolesną goryczą Naborowska. Ale Rdzawicz nie odpowiedział. Wtenczas jakby wypłuła w przestrzeń słowo: Artysta!

Po południu Rdzawicz, wracając z morza do domu, z gorączką w sobie i w oczach, spotkał baronową Lewetzau, która go przywitała wiadomością, że panie Morskie wyjechały.

Przed Rdzawiczem ugięła się ziemia.

— Czemu? — zapytał.

— Panna Teresa zasłała w nocy. Lekarz znalazł, że ją morze rozstraja. Hrabina Morska już też kurację kończyła, więc nie czekając, zabrały się i pojechały. Hrabina poleciła pana pożegnać.

— Dziękuję pani — odrzekł Rdzawicz i, poszedłszy do domu, spakował rzeczy i bez jednego słowa wyjaśnienia do Naborowskiej, wyjechał najbliższym pociągiem do Szwajcaryi.

ROZDZIAŁ III.

Rdzawicz odebrał w Lucernie w połowie lipca list od swego kolegi i przyjaciela, Tężła, w którym Tężel pisał: «Jerzy jest teraz gorzej. Doktorzy nie odbierają stanowczo nadziei, ale nie rokują jej wiele. On dobrej myśli, jak zazwyczaj suchotnicy. Pani Laura miewa różne chwile, ale czasem chwile strasznej rozpacz. Moje pocziwe Róziątko dodaje jej sił i otuchy. Przyjechała także w tych dniach Ela. Cień tego, czem była niegdyś, ale coś tak duchowego ma w twarzy, że działa jak anioł pokoju na ludzi. Uważam, że się jej na ulicy ustępują, taki ma jakiś smutny majestat w sobie.

Przyjedź tu. Co się tam masz włóczyć po Alpach? Jerzy często pyta o ciebie, a pani Lora kazała cię prosić, abyś przyjechał. Onaby teraz chciała skupić wszystkich, w których życzliwość dla Jerzego wierzy; jakby my-

ślała, że gdy go przyjaciółmi otoczy, to trudniej będzie wziąć go z pomiędzy nas śmierci.

Jerzy całe dni spędza na werandzie. Wyobraź sobie, jak się ucieszył, kiedy przyjechał do Zakopanego Leon Morski, pamiętasz go? Ten hrabia, amator muzyk. Przywiózł z sobą Władysława Strzyżeckiego, którym teraz cały żyje.

«A to złodziej, co?» — powiada o nim. Strzyżeczki teraz układa sobie libretto do nowej opery i naradza się nad tem z Jerzym. Grywają wiele na cztery ręce z Morskim na fortepianie pani Laury, a czasem Strzyżeczki improwizuje — bajecznie. Wogóle to jest dobry chłop, światowiec, *viveur* i, jak Morski o nim powiada: schumanista, chopinista i szampanista. Zastaniesz tu także dawnego znajomego, Staszka Łanowskiego, który tu teraz stale mieszka i maluje.

Gdyby Jerzy był zdrow, czy mogłoby być milej, niż w takiej paczce?

Cóż, kiedy to nieszczęście... Straszna rzecz... Aż się cierpnie na samą myśl. My oboje z Rózią modlimy się codzień specjalnie za zdrowie Jerzego, a nawet mój mały Rom i maleńka Lorcja mówią za niego pacierz, który zresztą u Lorci składa się z następujących wyrazów: «...ziu aj owie nu emu» — ponieważ dotąd nic na świecie nie może jej skłonić do wymawiania początkowych liter. Uczy ją tego Morski. Wy-

braź sobie, jak to robi. Mimo całego tragizmu chwili, pękamy czasem ze śmiechu. Siedzą na przeciw siebie, to jest ona u niego na kolanach, i Morski mówi jej: «Powiedz: Leon hrabia Morski, stary dureń», — a ona odpowiada: «owie bia ti aly leń». To się powtarza dopóty, póki ich oboje Różia nie wypędzi z pokoju. Przyjedź, mój drogi! Ucieszymy się wszyscy z całego serca, dawnośmy się i nie widzieli, że dwa lata, a Jerzego może i ostatni raz już zobaczysz.

Ściskam Cię serdecznie

Twój

stary Jędrak.

Zakopane d. 17/VII».

— Podła natura ludzka! — pomyślał Rdzawicz, kładąc list na stole hotelowym. — Właściwie przedewszystkiem tknęło mnie to, że tam jest ktoś, co się nazywa Morski..

Podła, albo tylko może *ludzka*.

Rdzawicz nie wiedział, co się dzieje z Teresą. Od pani Lewetzau dowiedział się tylko tyle, że te panie pojechały do Wiednia: tam dopiero miało się zdecydować, gdzie resztę lata spędzą.

Mieszały się w nim w dziwny sposób żal z wiarą, tęsknota z niechęcią, rozrzewnienie z gniewem. Gdyby był spotkał Teresę, nie wie-

działby, czy paść jej do nóg, czy ją odepchnąć. O pannie Kamili Naborowskiej starał się nie myśleć; czuł wyrzut sumienia względem siebie samego, żal nad samym sobą, wstyd i bezsilność.

Główną jednak myślą, która błędziła i wirowała po jego głowie, był nagły wyjazd pań Morskich z Abbazyi. Tego był pewny, że spowodowała go Teresa. Więc co?...

To co kłuło mu poprostu mózg.

I chwilami przychodziło mu do głowy: «kocha mnie» — ale tę myśl wypędzały natychmiast inne, rozumne, trzeźwe, grube i brutalne.

Dlaczego jednak Teresa chciała wyjechać? — wytłómaczyć nie umiały.

Zaczął się więc zastanawiać, z kąd ona się wzięła przy oknie. Niewątpliwie była zdolna podpatrywać ludzi, ale nie mogła wiedzieć, że tamtędy on z Naborowską będą przechodzili. Zatem nie mogła spać. Prawdopodobnie jadła za dużo na kolację i nie mogła spać. Cuda się dzieją na świecie i być może, że byli sobie ostatecznie przeznaczeni, ale jakiś tłusty kawał pekeflejszu z *purée* grochowem sprawił, że się sobie nie dostaną. Gdyby była się nie objadła i spała, toby była nie widziała go tańczącego z Naborowską i trzymającego ją w objęciach.

Dlaczego krzyknęła z okna? Krzyknęła, żeby go skompromitować.

Widziała doskonale, że to on, ale niby nie mogła przypuścić, żeby człowiek, który bywa w ich towarzystwie, który jest dopuszczony do ich towarzystwa, który ma zaszczyt bywać w ich towarzystwie...

Rdzawicza ogarniał gniew i ciskał przedmiotami na ziemię.

Gdy chciał odpisać na list od Tęźła, doznał wzruszenia i odpisał czule i długo, ale niosąc list na pocztę, uwidoczniał sobie coraz bardziej, że jego wzruszenie jest daleko więcej spowodowane nazwiskiem Leona Morskiego, niż wezwaniem do chorego kuzyna i współczuciem z jego żoną. Nie chciał być nieuczciwym: podarł list i zatelegrafował jeden wyraz: «Przyjadę».

Jeżeli będą mu dziękowali, jeżeli będą mu wdzięczni, to w żadnym razie on tych dziękowań nie wywoła, nie podszyje się pod fałszywą cnotę, nie skłamię.

Był słoneczny lipcowy poranek, kiedy Rdzawicz wjeżdżał do Zakopanego. Przedewszystkiem nozdrza jego wciągały ostry żywiczny zapach smreków i świeżego drzewa z nowo zbudowanych i z nowo budujących się chałup, a oczy napawał rzeźwy, jasny blask powietrza. Góry stały w złocistej sześodze błękitnej, wysokie i dalekie, milczące i spokojne, podobne do

zjawiska. Na stromych, siwych ścianach świecił słoneczny blask, na zielonych kopach i upłazach przemykały ruchliwe, płonące światła i lotne, przezrocze cienie, rzucane od wędrownych, małych, białoniebieskich obłoków. Górale, których nie widział lat kilka, bawili jego oczy białym strojem i lekkimi ruchami; snuło się także wiele kobiet miejskich, ładnie ubranych, ożywionych i wesołych. Rdzawicz spoglądał na lewo i na prawo, rozweselony i dobrze usposobiony. Zapomniał o chorobie Jerzego, przyćmiło mu się nawet wrażenie Teresy. Ta część duszy ludzkiej, która chce żyć, chce być wesołą, chce używać, chce być szczęśliwą mimo wszystko i wbrew wszystkiemu, nie cierpi smutku, zgryzoty, troski i jest tą wątłą rośliną, która się czasem tylko, wskutek wyjątkowego powiewu wiatru, potrafi wydrzeć z pod gęstwy chwastów, łopuchów i splątanych ciernistych krzewów i spojrzeć w niebo: wołała o swoje prawa.

Wtem zdaleka ujrzał dwoje małych dzieci: czteroletniego chłopczyka i mniej niż trzyletnią dziewczynkę ze służącą, za nimi Teżła z żoną i panią Laurą.

— Idziemy naprzeciwko pana! — wołała pani Różia Teżłowa.

— Jakże Jerzy? — spytał Rdzawicz, wyskakując z powozu.

— Ach, chwała Bogu! Lepiej — odparła pani Laura. — Od wczoraj rana.

— Nawet pani Laura mogła odejść, Ela jest przy nim — rzekł Tężel.

— A to dzieci! Dziewczynka była taka małeńka, kiedy ją widziałem!

— Miała dopiero kilka miesięcy.

— Siadajcie państwo do powozu, pomieścimy się jako.

— Jerzy się bardzo ucieszył z depezy, że pan przyjeżdża.

— Może jeszcze wszystko będzie dobrze, droga pani — rzekł Rdzawicz, całując w rękę panią Laurę.

Pani Laura rozplakała się.

— A Łanowski? Zawsze chory na dżięsła?

— Ach, nieszczęśliwy człowiek! — rzekła pani Różia. — To jest nieuleczalne.

— Straszna rzecz!

— Całe życie zabite...

— Robi co?

— Maluje. Same pejzaże.

— Bardzo dobre — ozwał się Tężel.

— No, a ty?

— Chciałeś powiedzieć po dawnemu: stara małpo?

— Jak się masz?

— Ot, tak sobie. Żeby Jerzy tylko prędko

wyzdrowiał, toby wszystko było dobrze. No, ale ja myślę, że będzie!

— Tężeł, pamiętasz, jakem ci mówił: farbuj swój żółty łeb, bo ideał pani Rózi miał być, jak książ Birkudź, «brunet i dumny». Pamiętasz?

— Ot, a pan zawsze jednaki! — odcięła się pani Rózia Tężłowa. — Zajadliwy i dokuczny. At!

— A panna Ela? Zdrowa?

— Zobacz ją pan. Ile to lat państwo się nie widzieli?

— Ośm.

— Kawał czasu. To ja wtedy miałam dopiero szesnaście lat! — rzekła pani Rózia Tężłowa.

— A teraz ma pani już czteroletniego syna.

— Ot nasz dom — rzekła pani Laura. — Widzę, że na werandzie są wszyscy nasi panowie. Strzyżęcki, Morski, Łanowski. Widzi pan? Jerzy leży na szezlongu. A to Ela, tam, przy drzwiach.

Jakże to dawno... Jakże dawno... Ela Rosieńska miała lat ośmnaście, on dwadzieścia siedm... Miała szaro-niebieskie oczy, duże i głębokie, w które można było iść, jak w las; nos miała trochę orli, trochę podobny do nosa Teresy Morskiej, i przepyszne, wiśniowej, ciemnej barwy usta. Twarz jej bladawa i wytworkna miała w sobie jakiś smutek, jakąś w wyrazie myśli

tęskną i pragnącą a tajoną, i ten wyraz był przedewszystkiem wymową jej twarzy...

Tak dawno... tak dawno...

Tak dawno, kiedy przysła do niego tam, do pracowni, gdzie stał wykuty w marmurze anioł śmierci, tak dawno, kiedy spytał: «Elu, dokąd idziemy? Czy na nowe życie?» — a jej twarz uczyniła się jak cudowny mistyczny kwiat, niczemu niepodobny... Tak dawno, kiedy zdruzgotał młotem głowę «Aniela śmierci» i padł bez przytomności na długo, na długo... Tak dawno...

To — Ela?

Stała przed nim wysoka, chuda osoba z wielkimi i ślicznymi, ale wpadłymi i jakby przygasłymi oczyma, cery bladej, przy której tem jaskrawiej uwidoczniły się niezmatowane, ale obojętne i nic nie mówiące wiśniowe usta. Czarno była ubrana. Smutna, żalobna, z woli pochodząca pogoda wiała od niej. Rdzawicz z trudem opanowywał wrażenie. Ona zaś wyciągnęła ku niemu rękę ze spokojnym uśmiechem.

— Panno Elu — mówił Rdzawicz, kiedy szli wieczorem całą gromadką polami ku reglom — panno Elu, jak ja się cieszę, że panią widzę!

— I ja się cieszę. Zmęźniał pan.

— Zestarzałem się.

— Wszyscyśmy to zrobili.

Tężel wygląda młodziej.

Bardzo im dobrze. Lora miała tym razem szczęśliwą rękę.

Umilkli.

— Niech pan ze mną będzie spokojny — odozwala się. — Jestem dawno po drugiej stronie życia.

— Mieszka pani na wsi, wiem; gospodaruje pani i zakłada ochronki.

— Tak, po śmierci ojca i mamy wzięłam cały zarząd majątku na siebie. Gospodaruję i zajmuję się dziećmi wiejskimi.

— I..

— Czy mi dobrze? Dobrze. — Panna Rosieńska dotknęła łagodnie ręki Rdzawicza. — Proszę mi wierzyć. Tak być musiało — dodała po chwili.

— Musiało — powtórzył Rdzawicz.

— Jakże to dawno!..

Milczeli znowu.

— Pamięta pan wówczas Rózię? «Mignon», jakeśmy ją nazywali?

— Pamiętam.

— A u pana co słyhać?

— Nic.

— Stał się pan wielkim artystą, sławnym.

— Cóż z tego?

— Żle panu, jak było?

— Mnie zawsze musi być źle.

— Musi — powtórzyła z przyciskiem panna Rosieńska. — To w panu jest.

— Gdybyśmy wtenczas byli wyszli — na nowe życie...

— Nie było przeznaczone... Dlaczego się pan nie ożenił? Szkoda, pan powinien był się ożenić.

Rdzawicz spojrział na pannę Rosieńską; uśmiechnęła się łagodnie.

— To wszystko przeszło — mówiła dalej — jakby nigdy nie było. Widzi pan, jak o tem mówię: spokojnie i bez żalu. Chciałbyś się pan zapytać: czy cierpiałam? Człowiek jest zawsze ciekawszy, czy kto cierpiał przez niego, niż czy był szczęśliwy, bo to pochlebia więcej jego dumie i jest bardziej interesujące. Więc powiem panu: cierpiałam strasznie. Możliwy powiedzieć: nieludzko, choć nie wiem, gdzie jest kres ludzkiego cierpienia.

Ja pana kochałam tak głęboko i tak naprawdę, jak pana nikt nigdy nie kochał, nie wiem, czy kochać będzie. A w jakież okropny sposób traciłam pana!... W ataku furji, skrępowanego sznurami, zawieźli pana do domu zdrowia, z kądem nikt nie przypuszczał, że pan kiedykolwiek wyjdzie... Wyobraź pan sobie, co się dzieje w sercu młodej dziewczyny, która na początku życia

taką rzecz przechodzi... Wyobraź pan sobie, co się działo ze mną, kiedy odniesiona z twojej pracowni do domu, odzyskałam przytomność... Nic, nic, tylko widok, jak uderzasz młotem w głowę swego «Anioła śmierci», jak się zataczasz w tył, straszny, z pianą na ustach... Przed chwilą byłeś taki jasny, mieliśmy iść na nowe życie — daleko ztamtąd... Wyobraź pan sobie, co się ze mną działo, gdym czekała na wiadomość o tobie... Mniejsza, że byłam skompromitowana, że możesz sobie pan wystawić, co mówili, jak bezczęścili moje przyjście do twojej pracowni... Wiem to... Naturalnie, byłam twoją kochanką, panną z uczciwego, dobrego domu, nie uszanowałam siwych włosów swego ojca, choroby swojej matki... naturalnie... Cóż innego mogli mówić? Cóż innego mogli myśleć i chcieli myśleć? Byłam ładna, majątna, robiłam konkurencję... Ach! z jakąż rozkoszą grzebano moją opinię! jak pluto na mnie! jak mnie kopano! W całym mieście było takie zadowolenie, jak gdyby się dowiedziano o czyimś niesłychanie szlachetnym czynie. Kilka głosów odezwało się w mojej obronie, ba! mieli zapewne powód bronić mię ci, co bronili. Byłam kochanką rzeźbiarza, tak samo mogłam być kochanką adwokata, lekarza, czy pisarza... A ja przecie, wiedziona jakimś przeczuciem, bom cię kochała nad życie, przyszłam bronić pana od śmierci... Trzy-

małeś rewolwer w ręku, kiedy drzwi twojej pracowni otwarłam...

Wyjechałeś pan za granicę. Nie było cię długo. Myślałam, że wrócisz do mnie. Nie wróciłeś. Czekałam. Szedł rok za rokiem. Czekałam ciągle, zamknięta na wsi, nie widując nikogo, patrząc na nieustanną zgryzotę rodziców, którzy wiedzieli, że jestem uczciwa, ale których zabijała poprostu opinia, jaką mi zrobiono w mgnieniu oka w Warszawie. Nie wątpię, ani na chwilę nie wątpię, że to przyczyniło się do przyspieszenia śmierci obojga. Czuli swój stary, zacny dom skompromitowanym, i to tak! I bez możliwości obrony. Znalezione mnie przecie w twojem mieszkaniu... Czekałam na pana. Myślałam: on to wszystko wie, on to wszystko czuje, wróci, musi wrócić. Ręce moje i nogi całował — wróci. Ale pan nie wróciłeś. Owszem, po kilku latach — aby mieć romans z panią Mery Czorsztyńską. To był pierwszy twój krok po powrocie do kraju. I z kim! Z taką panią Mery Czorsztyńską! Czekałam jeszcze. Kochałam cię i wierzyłam w ciebie i w siłę, w moc szlachetnego, obowiązującego uczucia, a takim było moje. Wierzyłam w to, jak w Boga na niebie. Tak kochałam, tak całą siebie poświęciłam... musi być przecie coś, co nagradza. Ale nic takiego niema. Uciekłeś pan od tej Żydówki do Włoch i znów pana długo nie było. Ale już

teraz nie czekałam na ciebie. Zrozumiałam, że życiem nie rządzi to, co ludzie sobie wyobrażają, że niem rządzić powinno. Zrozumiałam to. I oto po ośmiu latach spotykamy się, kiedy z całej duszy mojej pozostało mi tylko jedno, ale najlepsze, najdroższe, najcenniejsze: zupełna obojętność na wszystko. Patrz, to jest na mojej twarzy wykute.

I zwróciła ku niemu bladą, jakby woskową twarz, na której nawet dłuższe mówienie nie wywołało zmiany. Rdzawicz pochylił czoło.

— Bądź pan spokojny — mówiła dalej Ela Rosieńska — nie mówię tego wszystkiego, abyś pan czuł wyrzuty jakies; mówię to właśnie dla spokoju pana. Nie wyrzucaj pan sobie nic. Ja już nic nie pamiętam, nic nie wiem. Ból, żal, wstyd, zgryzota, rozpacz wyżarły mi duszę i same się strawiły w sobie, jak płonące węgle, które palą wszystko i spopielają się same. Zaczęło się dla mnie nowe życie — życie martwoty. I tak mi jest dobrze.

— Nowe życie — powtórzył głucho Rdzawicz, wbijając zamglone oczy w ziemię.

I to ja uczyniłem — rzekł po chwili.

— Nie ty. Uczyniła wola losu. Rozumiem to, zrozumiałam, i nic mię już ani zdziwić, ani zabołec nie może. Jesteśmy wiórem na morzu i niczem więcej. Ale ty, ale pan... panu coś jest. Czuję to. Pana coś gnębi.

— Rdzawicz nic nie odpowiedział.

— Nie odpowiadaj mi pan. Gdybym panu powiedziała, że masz pan we mnie przyjaciółkę, to powiedziałabym nieprawdę. Nikt nie ma we mnie nic, tylko dzieci wiejskie opiekunkę i nauczycielkę. Jestem automatyczną siostrą, automatyczną ciotką, automatyczną przyjaciółką Lory. To, co przeszłam, było za silne.

— Ela Rosieńska — szepnął Rdzawicz jakby do siebie.

— Tak, Ela Rosieńska. Pamięta pan tę drogę pełną u nas na wsi, wtedy, na wiosnę, kiedy pan u nas bawił? Ja wszystko pamiętam. I tę scenę w nocy, na ganku, wieczór, kiedyś pan uczynił, czego nie byłabym nikomu nigdy przebaczyła... prócz ciebie, prócz pana! Bądź pan spokojny tak, jak ja, kiedy panu to mówię, że cierpiałam. Ale oddałeś mi pan może wielką przysługę, jak lekarz, który okrutnie bolesną amputacją zabezpiecza na zawsze od dalszej choroby. Ja już nie mogę cierpieć i jest mi dobrze.

Mówiła bezdźwięcznie, matowo, obojętnie.

Rdzawiczem wstrząsnął nerwowo dreszcz. Ela Rosieńska uśmiechnęła się.

— Masz pan wrażenie, że siedzisz koło trupa, prawda?

— Niech pani nie mówi tak; to jest straszne — szepnął Rdzawicz.

— Ja chcę, żeby pan miał jasno w oczach — odparła panna Rosieńska. — Chcę, żeby pan był spokojny, tak, jak ja jestem spokojna. Niech pan sobie wyobrazi, że umarlam, a to, to jest kto inny, osoba obca panu i nieznana, nosząca tylko to samo nazwisko. Tak było przeznaczone — zatracenie mojej miłości i mojego życia.

Leon hrabia Morski siedział przy fortepianie pani Laury i grał żydowski majufes, balansując swoją długą, chudą figurę w tył, naprzód i na boki i wykrzywając się w najrozmaitsze sposoby z uroczystą powagą. Lekarz znalazł Jerzego lepiej, i otucha wstąpiła w dom. Pani Laura uśmiechała się do wszystkich i sama do siebie.

— Władku, lubisz «majufes?» — spytał Morski Strzyżeckiego, fałszując karkołomne akordy.

Strzyżeczki roześmiał się, Morski zaś zmienił melodyę i zaczął mruczeć z akcentem żydowskim:

Du hast Diamanten und Perlen,
Hast alles, was Menschenb:gehr,
Und hast zwelwe bis dreizehne Millionen Rubel,
O Graefin Mery Czorsztyńska, geborene Miednica, was
[willst du mehr?...

— Jesteś zawsze pauper — rzekł Strzyżeczki.

— Możesz nawet dodać: ordynarny i niesmaczny pauper, ale to mnie nic nie obrazi. Nie potrafisz dojrzeć, gdzie się kończy i gdzie zaczyna delikatna demarkacyjna linia między trywialnością i złym smakiem, a arystokratyczną swobodą. Na twoim ostatnim koncercie w Warszawie na galeryi kaszłał i pluł w chustkę krawiec, pan Krupa, i to było ordynarnie, a w pierwszym rzędzie foteli gadał na cały głos i ziewał Jan hrabia Wyczewski i to było swobodnie. Ostatecznie pana Krupę wyprosił woźny, a na ciebie się cały *beau monde* obraził, żeś przestał grać, aż hrabia Wyczewski skończy ziewać.

Und hast zwelwe bis dretzehne Milionen Rubel,
O Mery, was wiilist du mehr?... was wiilist du mehr?..

— Nie drzyj się tak, bo ludzi pobudzisz.

W tej chwili wszedł Tężel, który odprowadził żonę do domu.

— Cudne niebo — ozwał się Łanowski, patrząc przez okno.

— Takie cudne, że aż żal pomyśleć, że się go kiedyś nie zobaczy — rzekł Jerzy.

— Będzie pan na nie jeszcze patrzył sto lat! — zawołał Morski.

— Tam zresztą, kto wie, tam może jest jeszcze piękniej — odezwał się Strzyżeczki.

— Tam? Tam najprawdopodobniej niema nic — powiedział Rdzawicz.

Nie gniewaj się — zwrócił się do Tęźła z uśmiechem.

— Tobo było straszne — rzekł Łanowski.

— Tak, toby było straszne. Bo po co, na co ta wiedza, ta mądrość, to doświadczenie, które tu zdobywamy? Co z tej rozkoszy i z tego bólu, których tu doznajemy? Na co to całe życie? Jeżeliby tam nie było nic, to tu wszystko jest bez celu, bez przyczyny, bez wytłómaczenia. Co z tego przyjdzie? — mówił Rdzawicz.

— Trzeba wierzyć tak, jak kościół uczy — rzekł Tęźel. — Dogmat wszystko tłómaczy.

— Tak, ale trzeba także mieć dar wiary, jak mówił święty Augustyn. Zresztą ja nie chciałbym wierzyć, mnie nie braknie wiary, tylko wiedzy. Jabyłm chciał wiedzieć. Nie wiem, nie wiem i nie wiem. Nie wiem nic. Być wiecznie tą rybą w basenie, która się za każdym ruchem naprzód uderza o szklaną szybę, za którą widzi tylko jakieś fantastyczne przedmioty, nie do zbadania, nie do poznania, nie do przekouania się o ich prawdzie: to jest straszne. Przeczujemy — i cóż my przeczuwamy? To, co nam nasze zmysły ludzkie przeczuwać każą. Ale nasze zmysły ludzkie ze śmiercią się kończą.

— Więc trzeba wierzyć tak, jak kościół uczy — powtórzył Tężel. — Trzeba być pokornym.

— Błogosławieni cisi i pokornego serca, ale ja nie jestem pokorny. Gdybym mógł sprężyć całą siłę swojego ducha, całą jego energię: wtedy chciałbym świat cały przeciąć na dwoje, jak mieczem, aby się przekonać o nim, aby go zobaczyć, jakim jest. Czy wy nie doznajecie czasem uczucia, że się tak twardo, ciężko podnoszą ręce w górę, ale z tak straszną siłą, że zdaje się, iż możnaby Alpy rozłamać na połowę, rozeprzeć we dwie strony świata? Nie doznajecie tego?

Strzyżeczki, który siadł z kolei przy fortepianie i pukał lekko palcami w klawisze, uderzył akord. Rdzawicz przestał mówić i zwrócił się ku niemu. Strzyżeczki zaczął improwizować. Przez mózg Rdzawicza poczęły się sunąć obrazy.

Zielone, ciche łąki, dziewczyny po nich chodzą, w białych muślinowych gazach, z kwiatami we włosach... Biorą się za ręce i tańczą kołem... Wolno, rytmicznie... Tańczą kołem koło sadzawki na łące, czystej i kryształowej, na której kwitną lilie wodne, kielichy na powierzchni wody... Wtem ze źródła wynurza się głowa węża... Czerwone, jak karbunkuly, oczy zaczynają świecić ku dziewczynom... Pierzchył z krzykiem... Została tylko jedna, najmłodsza... Wąż wpił w nią swoje oczy... Milczący, straszny,

wynurza się coraz więcej... Już potworne jego ciało zabłysło barwną łuską nad wodą... Ile barw!... Mieni się w słońcu, gra, polyskuje stubarwną, złocistą skórą... Czerwone, jak karbunkuły, oczy wpijają się w dziewczynę... Cicho, smutno, rozpaczliwie smutno, lka jej dusza przez usta milczące... To jest labędzia pieśń jej życia... Możeby mogła uciec tak, jak inne?... Dlaczego nie ucieka?... Stoi nad wodą, biała, pochylona ku niej, tak, jak się pochylila w tańcu, ciekawa, kiedy pierwsze kręgi i pierwsze barwy łusek lba pokazały się na wodzie... Wkoło są łąki ciche i zielone...

Wąż okręcił jej stopy... Nie drgnęła... Stoi urzeczona, z żywymi zastygłemi oczyma... Wąż wije się coraz wyżej, wyżej... Dosięga piersi... Z pomiędzy piersi dziewczyny zaczyna się sączyć krew... Splywa strumykami na jej białą gazę, na różowe stopy, czerwieni wodę... W okręgu węża stoi nieruchoma, pochylona ku źródłu... Twarz jej bieleje coraz więcej, coraz więcej... Staje się podobną do marmuru; już tylko oczy patrzące i widzące świadczą, że żyje... Wąż nie pije krwi, on tylko źródło swoje, zimne i bezbarwne, zaczerwienil jej krwią gorącą... Odwija swoje skręty... Powoli zsuwa się, wpływa w wodę, zanurza... Znikł w czerwonym, gorącym źródle... Ona stoi bez kropli krwi nad wodą, nieruchoma, biała, jak statua... Zabarwiła, roz-

grzała źródło... Dlaczego nie uciekła, jak inne?... Może mogła uciec... Wkoło są łąki ciche i zielone...

Jej twarz jest podobna do twarzy Eli Rosieńskiej — powoli przeistacza się w twarz Teresy Morskiej..

Rdzawicz uczył na ramieniu dłoń Tęźła i usłyszał jego głos:

— Romku, obudź się. Spisz z otwartymi oczyma. Pan Władysław dawno już nie gra.

— O czym pan myślał? — spytał Łanowski.

— Nic, zmęczony jestem drogą, chodźmy już... Późno.

Woda huczała w lesie, czarno było i ciemno.

— Tak, tak, — mówił Łanowski, rozgorączkowany wypitym w restauracji szampanem — to jest coś strasznego... Jakże ja mogę przyjść i powiedzieć tej kobiecie: «Kocham ją» — kiedy mi dąsła za życia gniją!... Jakże mogę?! Mam trzydzieści jeden lat... Nie pocałowałem nigdy nikogo... Ile razy miałem rewolwer i truciznę w ręku... Boję się, boję się... Jestem podły, nikczemny, nędzny tchórz...

— Pan Bóg ci to wynagrodzi — ozwał się Tężel z przekonaniem.

— Cóż za życie! Cóż za życie! — mówił

dalej Łanowski. — Każdy dzień się z tem budzić, każdą noc z tem zasypiać... Nigdy swobodnego, radosnego, spokojnego obudzenia się, nigdy spokojnego, miłego zaśnięcia. Zawsze, wiecznie to jedno uczucie, ta jedna myśl, ten jeden wieczny, wstrętny, nieustanny ból, to jedno cierpienie, wiecznie, zawsze, bez ustanku... I każde zetknięcie się z ludźmi, i każdy krok, każdy ruch, każda chęć, każde pragnienie... Zawsze i zawsze choroba. Ha! wszystkie męki piekła tej mojej nie zrównoważą!... Nakoniec zrezygnowałem. Myślę sobie: już będę cały tylko sztuką żył. Nie mam wielkiego talentu, ale mam na szczęście byt niezależny, nie potrzebuję z tego żyć, będę malował, bo będę chciał, byle tylko się zgłuszyć. Nie — musi przyjechać tu panna Ela Rosieńska... I..

— Zastanów się pan — rzekł Rdzawicz. — Spójrzysz pan tylko na pannę Rosieńską. Przecież ta kobieta nie żyje.

— Ja się też tylko z trupem mogę ożenić! — odparł gorączkowo Łanowski. — Pomyślcie! Pomyślcie! Trzydzieści jeden lat i nigdy nie pocałowałem kobiety! I za co? I dlaczego? Kto mnie przeklął? Co komu z tego przyjdzie, że ja się męczę, że ja waryuję z bólu, z żalu, z męczarni? Co komu z tego przyjdzie? Kto przez to co zyska?

— Boże! Boże! — jęczał Tężel. — Stasiu, uspokój się...

— Uspokoić się?! Ty! Idź do domu! Tam twoja żona czeka na ciebie, tam czekają twoje dzieci. Upieść swoją śliczną, młodą żonę, uściskaj swoje dzieci! Ty się nie potrzebujesz uspokajać! Ale ja! ja! Pustka, samotnia, kainowe piętno! O żeby mi kto wydarł te gnijące dziąsła z ust! Paryas! Paryas jestem! O! żeby mnie już raz dyabli porwali! żeby mnie już raz ziemia pochłonęła!

Rdzawicz stał i patrzył dokoła: las wydawał się jeszcze spokojniejszy, niż zwykle.

W Łanowskim wino poczęło działać.

— Oszaleję! — krzyknął. — Oszaleję! Kocham ją! Niech mnie tu ziemia pochłonie!

Rzucił się na ziemię. Słysząc było, że uderza twarzą o kamienie i sęki.

— Tak, tak! — rzeźił — Tak, tak, wydrzyjcie mi z ust te dziąsła kamienie, wyszarpcie mi je, sęki!... Tak, tak... Płyn, ty krwi zatruta, przekłeta!... Płyn!... Ciecz, jucho!... Tocz się z tego ścierwa żywego, jakim ja jestem... Tocz się, płyn!...

Miotał się i ciskał po ziemi.

Z trudem i z wysiłkiem dźwignęli go Tężel z Morskim, ujmując pod ręce. Dygotał całym ciałem.

— Odprowadźmy go do domu — rzekł Strzyżeczki drżącym ze wzruszenia głosem.

— Odprowadźcie mnie do domu! — krzyknął Łanowski. — Odprowadźcie mnie do mojego pustego, głuchego domu! Rzućcie mnie do mojego pustego, zimnego łóżka! Odprowadźcie mnie do mojego grobu! Połóżcie mnie w tę trumnę, która się mojem łóżkiem nazywa! Rozbierzcie mnie! Zdejmijcie mi buty, ubranie! Oprzyjcie mi głowę na poduszce, przykryjcie mnie kołdrą, żeby mi było wygodnie leżeć! Ha! ha! ha! Wygodnie! A ty, Tężel, idź potem do swojej żony, idź do swoich dzieci! Ha!

Skręcił się w rękach Tężłowi i Morskiemu i chciał znów paść na ziemię; ledwo go utrzymali. Zwrócili się na ścieżkę ku drodze. Strzyżeczki szedł za nimi. Rdzawicz pozostał w lesie. Zdaleka słyhać było głos Łanowskiego:

— O męko! męko! męko!...

Naokoło stał las, jeszcze spokojniejszy, niż zwykle.

Pewnego dnia, kiedy Roman Rdzawicz z Morskim szli od Jerzego, którego polepszenie trwało ciągle, na obiad ku wsi, Morski rzekł:

— Chcę panu coś zaproponować. Siedzisz pan ciągle na Skibówce i nic nie wiesz, co się w Zakopanem dzieje. Od dziesięciu dni są tu

bardzo ładne moje kuzynki, panny Morskie, z matką. Jerzy jest o tyle lepiej, że teraz nie jesteśmy przywiązani do Zakopanego. Chcę panu zaproponować, abys się wybrał jutro z nami do Morskiego Oka. Jerzy mi poradził, żeby iść koło jakichś Ciemnosmreczyńskich Stawów, przez Wrotka, czy Bramkę Chałubińskiego. Ma być śliczna droga. Mybyśmy poszli piechotą, to jest ja, kładę się na pierwszym miejscu, jako główna osoba, moja kuzynka Bela Kmitowa, bardzo poczciwe stworzenie, jako opiekunka panny, i jakieś jeszcze kilka osób obojej płci, a mama Morska przyjedzie powozem *vis-à-vis* nas. Chcesz pan iść? Nic tam nie mówiłem jeszcze, żeby pana nie wprowadzać w ambaras, gdybyś pan nie miał ochoty, ale moje kuzynki znają pana z Abbazyi i bardzo mile pana wspominają. Teresa mówi, że pan bardzo ładnie umie mówić o sztuce i morzu.

Rdzawicza oblało gorąco: usiłował pokryć zmieszanie, zapalając cygaro i udając, że nie chce ciągnąć.

— Rzuć pan. Dam panu inne.

— Nie, dziękuję. Musi się rozpalić.

Dziesięć dni tu jest — myślał — dziesięć dni tu jest i nie widziałem jej jeszcze...

O sztuce i morzu!... Zatem mówi spokojnie...

Jestem już dla niej niczem... Jeżeli zresztą kiedykolwiek czemkolwiek byłem... Zatem wszystko skończone... Skończone?... Właściwie nic nie było zaczęte... Głupi jestem! Co się miało kończyć?! Śni mi się, czy co?

— Pójdzie pan? — spytał Morski.

Błyskawicznie biegły przez głowę Rdzawicza myśli:

Nie powiedziała nic. Gdyby była powiedziała, Morski nie mógłby mnie prosić... Pani Morska nie pozwoliłaby mi bywać u siebie... Cokolwiekbądź, mogę ją zobaczyć... Widzieć ją, mówić... Cokolwiekbądź...

Przez duszę Rdzawicza biegła także jakaś nieokreślona, bezcelowa nadzieja, jakieś nieokreślone spodziewanie niewiadomo czego...

— Pójdę — odparł. — Dziękuję panu.

— Doskonale! Zaraz im dam znać. Albo chociaż pan tam ze mną teraz.

— Tak?

— Ech — w Zakopanem.

— Nie, wolę przyjść jutro rano. O której?

— O piątej u nich — hotel z cukiernią.

— Ale czy te panie nic nie będą miały przeciwko temu?

— Zapewniam pana, że będą bardzo szczęśliwe. Mój panie! Już mniejsza o to, że pan ła-

dnie mówisz o morzu i o sztuce, ale do licha, przecie się pan nazywasz Roman Rdzawicz! Pierwszą rzecz, którą opowiedzą w Poznaniu, czy w Warszawie, to że były z panem przy Morskiem Oku. Nie bądź pan więcej naiwny, niż jesteś.

Rdzawicz wymusił z siebie uśmiech.

— No, idziemy?

— Nie, jutro już przyjdę. O piątej. Potem złożę wizytę. Wytłómacz mię pan, że muszę być u Jerzego.

Rdzawicz uczuł dziwną, przykrą nieśmiałość; nadto przyszło mu odrazu do głowy, że o piątej rano, w turystycznym kostiumie, w fantastycznej pelerynie na ramionach i w fantastycznym tyrolskim kapeluszu na głowie, zwłaszcza jeżeli się ma za sobą dosyć omawiane życie, kilkanaście sławnych rzeźb i kilkadziesiąt sławnych obrazów: można się lepiej wydać, niż w granatowej kurtce i zwykłym letnim kapeluszu o godzinie drugiej po południu. Przytem trzeba było pokazać się tak, aby zatrzeć taniec pod oknem. Zacząć o nim mówić i wyśmiać go?... Rdzawicz mimowoli z uszanowaniem pochylił głowę przed wspomnieniem Kamilli Naborowskiej.

Rano dobrze się sobie przyjrzał przed lustrem i kilka razy zmieniał położenie kapelusza. W końcu wybrał jedno, wsiadł w furkę i pod-

jechał pod hotel. Postanowił być zimny, obojętny, w dobrym humorze, ze wszystkimi jednakowy i wogóle nieco złośliwy, tak, aby się wydawało, że to jest i wrodzone w nim i że to jest trochę świadoma lekka ironia człowieka, który bądź co bądź stoi umysłowo wyżej od ogółu. Ale w miarę, jak się zbliżał ku hotelowi, zapominał o wszystkim, a ogarniał go wzmian niepokój, połączony z zupełnie gorączkowym onieśmieniem. Bał się spotkania.

— Wolałbym, żeby jeszcze nie była gotowa — myślał, podjeżdżając przed werandę.

Jednak właśnie pierwsza osoba, którą spotkał, była ona. Stała przy balustradzie.

Miała sukienkę turystowską, ciemnozieloną, dosyć krótką, obnażoną szyję, czerwony serdaczek i duży jasny kapelusz na głowie. Była śliczna.

Uśmiechnęła się z obojętną, światową grzecznością i podała Rdzawiczowi rękę tak, jak się ją podaje komuś mało znajomemu.

Rdzawicza, który właściwie nic sobie nie wyobrażał, ale czegoś czekał: ten sposób powitania zbił z tropu. Czuł, że się kłania, jakby był obrażony, i wydał się sam sobie śmiesznym.

— Niema jeszcze nikogo? — bąknął. — Chciałem pani Morskiej podziękować...

— Zaraz wszyscy przyjdą.

— Panie tu już od dziesięciu dni?

— Tak — rzekła Teresa obojętnie, spoglądając za jakąś furką.

Rdzawicz przestał mówić. Zdawało mu się, że schwycił jedno spojrzenie Teresy, rzucone ku sobie, ale nie był tego pewny.

— Ładne rano — rzekł, żeby coś powiedzieć.

— Ładne.

— Będziemy mieli piękną wycieczkę.

— Niezawodnie.

— Pozwoli pani zapalić przy sobie?

— Proszę.

Rdzawicz udał, że nie widzi zapalek na stole i przeszedł po nie do otwartej sali restauracyjnej.

Burza, która złapała idących pod Walentkówną, zatrzymała ich długo. Górale powynajdywali kamienie, pod które się można było jako tako powciskać i zakryć trochę od deszczu. W straszliwą ulewę iść było niepodobna.

Nagle ustał deszcz. Prawie w mgnieniu oka zrobiło się pięknie. Chmury pierzchły gdzieś i nad głowami zjawilo się niebo, już ciemniejące. Natychmiast ruszono dalej.

Rdzawicz, który znalazł tę drogę i dobrze chodził po górach, szedł przed towarzystwem.

Jestem więc znowu z nim... W Tatrach... Jestem tak, jakem marzyła tyle, tyle razy... Od dziecka prawie.. W Tatrach z takim człowiekiem, którego bym kochała... I jestem tak... O! jakże, jakże ja bym cię mogła kochać!... Któż ty jednak jesteś?! Z pijaną ulicznicą, śpiewającą świętokradzką parodyę świętej pieśni, tańczysz po nocy pod mojem oknem, ściskasz ją... Umyślnie!... Umyślnie tam?!... A jeśli i nieumyślnie, bo wątpię, że bym czem była dla ciebie, to i tak kimże ty jesteś?!... O jakże inaczej ja sobie ciebie wyobrażałam! Kiedy patrzyłam na twój «Chrystusa nad światem», wydawałeś mi się olbrzymim, natchnionym prorokiem; kiedy patrzyłam na twoją «Duszę po śmierci», wydawałeś mi się apostołem miłosierdzia i uczuć najświętszych; kiedy patrzyłam na twój «Prometeusza», wydawałeś mi się bohaterem, który ze z posad poruszy; kiedy patrzyłam na twoje «Upojenie», wydawałeś mi się wcieloną miłością. Wydawało mi się, że powietrze, którem ty oddychasz, musi być inne, że ci nad głową szumią skrzydła, że gdzie ty przyjdiesz, gdzie staniesz, tam się słyszy szum wichru... I kimże ty jesteś?! Snobem, dobierającym do twarzy kolor krawatów, i tancerzem pijanych, bluźnierczych ulicznic... A jednak — czy ja cię nie krzywdzę?... Człowiek jesteś, musisz być takim, jak ludzie... Czyż możesz być innym?... Nie, nie mo-

żesz... Gdybyś był geniuszem, jak Michał Anioł, dobrym, jak święty Marcin, bohaterskim, jak Leonidas, to i tak musiałbyś być człowiekiem.. Cóż zrobiłeś tak złego? Czy istotnie więcej mnie zabolął twój taniec z tą dziewczką, czy to, że nie chciałeś zrozumieć i odpowiedzieć godnie na moją apelację do twoich uczuć, apelację nieproszoną i niepytaną... Cóż ciebie to obchodzi, że ja się kocham w tobie od pierwszej chwili, od pierwszego spotkania i mimo wszystko? Cóż ciebie to obchodzi? I kimże ty jesteś, a kim ja? Ty jesteś wielki, sławny człowiek, a ja pierwsza z brzegu panna, która powinna być kontenta, że do niej raczysz mówić... Ej nie, Teresiu, ej nie, to ty jesteś więcej winna, niż pan Roman Rdzawicz... A kto wie, gdybyś się była nie obraziła... nie wyjeżdżała wskutek głupstwa...

Boże! Boże! Zapomniałam! Co on sobie mógł pomyśleć wtedy, kiedy krzyknęłam z okna: «Pan?!» Boże, Boże!

Co sobie mógł pomyśleć? Że albo stałam przypadkiem przy oknie, albo że go szpiegowałam... Nie — gdybym go szpiegowała, nie byłabym krzyknęła, albo byłabym, krzyżąc umyślnie, krzyknęła inaczej... Za co on jednak wziął mój wykrzyk?... Dlaczego krzyknęłam?... Z oburzenia?... Czy...

Może się domyślił — może się domyślił, że mnie to tak strasznie, tak strasznie zabolalo...

On i pijana dziewczka!... Jeżeli się domyślił, w takim razie wie — w takim razie niema dla niego tajemnicy... W takim razie wie wszystko...

Ale nikt inny nie wie nic... Nie zdradziłam się jednym rumieńcem, jednym zblednięciem, jednym zadrżeniem głosu... Jakies dobre bóstwo dopomaga mi w tem... Jak umiałam spowodować wyjazd z Abbazyi, tak umiałam przyjąć wiadomość, że on tu jest, że pójdzie z nami na wycieczkę. Nikt nie wie nic.

Może i on nie wie? Mógł wziąć mój krzyk ot tak, za taki krzyk... Mogłam się przełęknać... Któż tańczy w nocy po ulicach?... Potem byłam już rozdrażniona, musiałam już być chora. Rozchorowałam się zupełnie niezależnie, przypadkiem... Chora byłam i dlatego nie spałam...

Idzie sam, sam naprzód; taki smutny... Usiłował mówić ze wszystkimi, usiłował być wesoły, dowcipny, zabawny... Jest nim, kiedy chce, ale dziś to wszystko było sztuczne, wymuszone... Prawie ciągle albo rozmawia z Góralami, albo idzie sam z tyłu, lub naprzód... Jak dobrze chodzi po górach... Jak zręcznie i pewno.... Wszyscy się potykają, gramolą, on idzie, jak po równej drodze... Mógłby prowadzić w złych miejscach... Ach!... Powierzyłabym mu się... Tylko — możeby on nie chciał mi podać ręki?... Tak wyzywająco, tak niechętnie, tak nienawistnie rzucił mi wtedy: «Tak, to ja!» Nienawidzi mnie.

Nienawidzi się zawsze osób, które się narzucają z uczuciami — to się czuje...

Idzie sam naprzód — taki smutny... Może przeze mnie?... Cóż znowu... Zarozumiała jesteś, Teresiu... Cóż ty?... Zkąd?... Ach! Gdzie on już! Jak daleko przed nami!... Jest coś w tym człowieku, co go od nas odrywa, przed nami niesie... Poleciałabym za nim — gdybym miała skrzydła... Jak daleko... jak wysoko... jaki mały się zdaje... tam na przełęczy... Ach! znikł!...

Rdzawicz na przełęczy Zaworów, na którą się wyspinał naprzód przed towarzystwem, nie zatrzymał się, ale odrazu począł biec po trawiastej uboczności w dół. Biegł pędem. Wiedział, gdzie droga zakręca na lewo ku Ciemnosmreczyńskim Stawom, ale minął ją. Biegł ku lasowi w Ciemne Smreczyny, w dolinę.

Niebawem wpadł w kosodrzewinowe krzaki, iglaste, smolne, elastyczne i trudne do przebycia. Darł się przez nie, nie bacząc na pór. Minął suchą czerwoną limbę i zniżył się w olbrzymie płatownisko dzikich, potwornie wyrosłych szczawiów, lopuchów i zielsk ogromnych. Wszystko to mokre od deszczu, biło w niego wodą, tak, że wkrótce poczęła ona ciec z jego ubrania i sztylp skórzanych. Zanurzył się cały w mokrych, dziwnie, dziko pachnących ziołach, rosnących

w pustce śródleśnej, na polanie. Trafił na zbudowane kłody dawno zwałonego śniegami szalasu. Doznał dziwnej rozkoszy osamotnienia, skrycia się przed ludźmi w naturze dzikiej, nieujarzmionej, odrębnej od świata. Wkoło stał stary, obity konarami do ziemi, odwieczny, głuchy, ciemny smrekowy las. Niebo zapalało już gwiazdy.

Był sam. Tam, w tyle, daleko poza nim, zostali wszyscy. Szli powoli, gdzieś przepadli w mroku, niewidoczni... Cała gromada... On tu był sam... Sam jeden... On i góry i las... Odbiegł wszystkich... Uczuł jakąś dumę w sobie, jakąś moc... Rozprężył ramiona, rozprężył pierś, podniósł głowę... Sam, sam jeden!... góry i las...

Nie potrzeba mu tu nikogo... Oparł nogę na głazie... Pustka, milczenie... Czuł w sobie siłę, że mógłby tę pustkę zdobywać dalej, dalej, dalej... Het tam, popod Hruby Wierch, ku Krzywaniowi. Nic to, że noc... Jego nogi nie znają trudu, jego oczy nie znają ciemności, jego zmysły lęku... Częścią natury jest, tak odcięta od świata, jak ona, tak twórczą, jak ona...

Boże!

Nie potrzeba mu tu nikogo. Sława? Dają ją ludzie. Ludzie? Odepchnął ich od siebie. Miłość? Wyzwolił się! Ha! ramiona rozeprzeć między te skały! Nie płacz się tu, cieniu kobiety! ni! kły, wąty cieniu! Nie ściskaj piersi palącym

tchem namiętności, tu, gdzie się pierś od wierchu do wierchu rozszerza!...

Sam, sam!... Zdaleka od wszystkiego, co jest złe. Zdaleka od własnego wstydu wobec nędz swojej duszy i od wstydu za nie przed ludźmi... Zdaleka od wszystkiego, co rani dumę, co przynosi upokorzenie, co wprowadza gorycz i gorzki smutek... Zdaleka od poczucia tych niższości, które są nie do przewalczenia, i od gorzkiego poczucia tych wyższości, które są pogardy godne... Zdaleka od wiedzy i niemożności przełamania i ukrycia swoich brzydot, wad i wstrętów fizycznych. Zdaleka od męczących, wściekłych faktów... Zdaleka od istotnego stanu rzeczy, którego znajomość i wobec którego bezsilność może popchnąć do samobójstwa... Zdaleka od wszystkiego, co jest: zawsze i wszędzie...

Sam, sam!... Może mu się wydawać, że jest orłem, może mu się wydawać, że jest smrekiem, może mu się wydawać, że jest szumem leśnym... Sam, sam, więc może odepchnąć od siebie swoje ciało i swoją duszę... zostawić tylko swoją wyobraźnię... Sam, sam, więc może stworzyć cały świat swojego życia tak, jakby żył, będąc orłem, będąc smrekiem, będąc szumem leśnym... O! jakże nie cierpi, jakże nienawidzi ziemi!... Ona to okuła jego jestestwo ciałem! ona wszczepiła mu duszę!... A on przecież jest cząstką żywio-

łów, istniał w nich przed swoim człowieczeństwem, wróci do nich po ludzkiej śmierci...

Już niema nic, nic... Wir, chaos olbrzymiego ruchu... Gwiazdy snują się koło głowy, śpiewające i świecące... Nic, nic!... Otchłań, bezdeń wszechświata...

Precz, precz, nikły, wąty cieniu kobiety!... Jedna myśl zawisała na tobie, jedna krótka, nikła, wąta myśl, jedno maleńkie pióro, wylatując z olbrzymich orlich skrzydeł, musnęło twoją twarz i odleciało gdzieś uronione daleko...

Precz! precz!

Co za rozkosz nie czuć tu tego obniżenia swojego ja, swojego mózgu, swojej myśli, swoich uczuć i instynktów, które się zawsze w zetknięciu z ludźmi uczuwa. Jest się tu sobą, takim, jakim się jest, tym «poetą zamkniętym w swoich czterech ścianach...» tylko, że ściany tu: to góry, to bór, a poezya — to wicher duszy, w bezmiar lecący...

Nagle usłyszał wołanie: to Górale wołali na niego.

— Niel niel nie pójdeł!...

Wołano znowu.

Rdzawicz stał oparty na ciupadze, wdychając w pierś samotne powietrze. Las począł szumieć lekkim wiatrem.

Wtem ozwał się w pomroku dźwięczny głos — poznał go — to głos Teresy.

Zadrzało mu coś w piersi.
Głos powtórzył się w echu.
— To ty! ty!

Wydało mu się, że głos ten ma w sobie jakąś tęsknotę, że woła... Począł iść ku niemu, bezwładnie.

Od rana rozmawiał mało z Teresą, raczej prawie nie rozmawiali; odzywał się do niej tyle, aby nie wyglądało tak, jakby jej unikał, lub ona jego. Z początku zbliżał się do różnych osób, na lewo i na prawo; ale nudziło go to i mężczyło. W końcu oddzielił się od towarzystwa i szedł sam.

W Teresie nie mógł spostrzec nic, coby cokolwiek mówiło. Była równa ze wszystkimi, ani za wesola, ani smutna, swobodna, uprzejma i pełna wdzięku, jak zawsze.

Hukanie powtarzało się. Krzyczeli i Górale i panie i panowie. Głos Teresy już się nie powtórzył. Ale on szedł za tym głosem. Pamiętał, z kąd przyplłynął; szedł, jakby za światłem, zupełnie i nagle bezwładny.

Skacząc z glazu na glaz, dotarł Rdzawicz do grupy ludzi, stojących pod ścianą skalną. Górale zapalali pochodnie.

— Haweście?! Myślelimé, ze was gacopiérz porwał! — zaśmiał się przewodnik.

— Przepraszam. Czy państwo czekali?

— Nie, chwilkę zatrzymaliśmy się, — odparł

ktos — żeby zapalić pochodnie. Wołaliśmy tylko, żeby pan wiedział, gdzie jesteśmy. Czy pan zbłądził?

— Nie. Tak poszedłem. Tam jest cudowny las.

— Ciemnosmreczyński? Ten, o którym Jerzy lubi mówić? — spytał Morski.

— Ten. Stary, wiekuisty las. Puszcza zupełnie.

— Szkoda, że tamtędy nie idziemy — rzekła Teresa.

— E dy ta i haw nie jaśniej, jak w lesie — ozwał się któryś z Górali.

— Hm, hm, hm, niema mody ozpalić, zamokło --- mrucał przewodnik, bijąc obuszkiem głowę pochodni.

— Panie Romanie, — rzekł, zapaliwszy — wiem, że droge wiećcie, weźcie téz ten pochodnie i icie poprzodku, bo jo powiedem paniom hrabine, a Wojtek Ciulac bedzie świecił z tyłu.

Rdzawicz wziął pochodnię, podniósł ją w górę i ruszył naprzód.

— Jak mu ładnie... Idzie przed nami, jak wódz — myślała Teresa. — Ach! Jakbym chętnie szła przy nim, mówiła z nim... I dlaczego nie mam tego zrobić?... Tak samo wtenczas wybrałam go w mazurze...

Jednak nie zbliżyła się. Szła obok Celinki i Leona Morskiego.

— Pochodnie się nam skończą, nim wyjdziemy na Wrotka — zwrócił się Rdzawicz do przewodnika.

— Bedzie miesioncek świecił. Dy jus wysel za grani.

Istotnie księżyc wypłynął z za skał, duży, prawie w pełni. Woda w Ciemnosmreczyńskich Stawach zaszklila się. Padło na nią srebrzyste, okrągłe światło, które poczęło się wydłużać w ogromny, cichy, srebrzysty słup blasku.

Wraz ciemne, olbrzymio nastyrmane zwały gór poczęły ścianami wewnętrznymi bieleć i jaśnieć. Powoli przestrzeń stawała się coraz widniejszą. Już pod czarnymi grzbietami skał rozciągały się wielkie, białe fosforyzujące płaszczyzny. Słupy światła na obu stawach, górnym i dolnym, rozlewały się szeroko i ogromnie.

Nagle poczęły one drgać i mienić się, a jednocześnie poczęła zaciemniać się i przejaśniać fosforyczna biel rozwidnionych ścian skalnych; albowiem na niebo wybiegały obłoki, przygaszające i rozpalające księżyc. Szafirowe, błękitne, złotorude, żółtomodre i srebrnozielone barwy grały zmiennie koło niego, szybko lecąc. Czasem wchodził on za ciemną chmurę i gasł, a wtedy stawało się zupełnie ciemno. Czasem niki prawie cały, świecąc tylko świetnie złotem odcięciem kręgu. Czasem granatowo-złoty toczył się i migał w obłokach. To znów wypły-

wał na zupełnie czyste niebo, i wtedy na chwilę padały znów na czarną głębinę stawów olbrzymie, szerokie, rozpromienione kolumny blasku, a ściany skalne brały na siebie martwą, żółtawą białość. I szła nowa gra barw. Złotoruda, w błękitno-żółtą sześogę rozprószona otęcz księżycza gasła i płonęła.

W powietrzu panowało milczenie niewypowiedziane. Jeden tylko wodospad z niżniego stawu huczał i szumiał, ale tak wtopionym w przestrzeń szumem, iż wydawał się częścią milczenia. Przed głowami pięły się wysokie turnie, zębate, strzelne w strop i wiszące w otchłani. Nagle księżyc wświetlił się w Piarżystą Dolinę, w skały. Rum kamienny i śniegi zaśniły. Otwarła się kotlina śródskalna, tajemnicza i przepastna, zamknięta w urwiska i szczyty.

— Jakże tutaj cudownie! — szepnęła Teresa, opierając się plecami o nagi głaz, gdy stanęli dla wypoczynku.

— Gdzie było piękniej? Nad morzem, czy tutaj? — spytał Rdzawicz, stając obok i chwając pochodnię za kamień, aby płomieniem nie razila.

Teresa nie odpowiedziała na razie; zacisnęło jej się gardło.

— Tutaj — rzekła po chwili.

— Podźmė! Podźmė! — wołali Górale.

Poczęto się piąć na trawiasty upłaz, ku Wrotkom. Noc już była w całej pełni.

Teresa szła za Rdzawiczem, który świecił resztką pochodni. Niezadługo musiał ją rzucić; druga, trzymana przez chłopą, wypaliła się również.

— Prawie nom wystarczyły — rzekł przewodnik.

— Coby sie ino nie kciało zahmurać, bo sie cosi mrocy — rzekł inny Góral.

I istotnie, powoli, poczęło się ściemniać. Księżyc jaśniał coraz rzadziej, coraz mglej, aż znikł zupełnie za cieniłą warstwą chmur, ale ta warstwa jęła grubieć i rósć.

Pomagano sobie nawzajem po drodze, jak kto mógł. Teresa szła sama; Rdzawicz po oddechu jej poznawał, że idzie z trudem. Kilka razy wstrzymała się, jakby nie wiedząc, gdzie postawić nogę.

— Można pani podać rękę? — spytał jej Rdzawicz, siłąc się na obojętną grzeczność.

— Owszem, proszę pana — odrzekła Teresa cicho. — Jestem już zmęczona.

Podala mu dłoń, którą on ujął lekko i delikatnie. Nie mówili do siebie. Teresa oddechała ciężko i dłoń jej coraz mocniej opierała się na dłoni Rdzawicza.

— Czy wysoko jeszcze? — zapytała.

— Nie — już tam. Trochę widać.

— A potem?

— Na dół.

— Już Morskie Oko?

— O nie. Jeszcze ogromny kawał.

— Boże! Jakże ja przejdę! — krzyknęła Teresa.

— Pozwoli pani, że ją poprowadzę? Dobrze?

Powiedział teraz miękko i prawie prosząco. Teresa uczuła ochotę skłonić mu głowę ku ramieniu i oprzeć się na niem. Odpowiedziała mu cicho:

— Dobrze.

I serce, bijące mocno i prędko, uderzyło jej jeszcze gwałtowniej, bo usłyszała całą miękkość, całą kobiecość swego głosu w tej chwili; zdało się jej także, że poczuła ledwo wyczuwalny uścisk dłoni Rdzawicza.

I on go jej rzeczywiście dał, myśląc, że ona nie dostrzeże.

Wyszli na przełęcz Wrotek pierwsi. Przed nimi była zupełna otchłań. Czarne, nieprzenikliwe chmury zawlekły niebo. Była noc nieprzejrzana. Na przełęczy wiał wiatr, wiejący górą od północy.

— Niech się pani okryje — rzekł Rdzawicz, otulając jej szal koło ciała.

Pierwszy raz delikatnie, lekko, uczuł jej kształt; pierwszy raz ona poczuła jego ręce na

sobie. Ogarnęło ją drżenie. Czuli się sama z nim.

— Czy idą tamci? — spytała.

— Są tuż.

— Co jest przed nami teraz? Widzę tylko czarną otchłań.

— Będziemy schodzili.

— Tam?

Teresa uczyła trwogę. Zawisła gdzieś, jak ptak, w ciemnościach, w obcym, nieznanym, świetle, wśród grozy, trudów, niebezpieczeństw, gdzieś na wysokości pod chłodnym, wartkim, świszczącym wichrem.

-- Sprowadzi mnie pan? — rzekła, nie bacząc na nic w tej chwili.

— O tak! — odparł Rdzawicz i wysunął ku niej rękę, ale ją wstrzymał, nim jej dłoń ująć zdążyła. Teresa dostrzegła ten ruch i pochyliła się na mgnienie oka mimowolnie ku Rdzawiczowi.

Pani Kmitowa, mimo zmęczenia, nie pozwoliła zatrzymywać się długo na Wrotkach; le-dwo wythnęli.

— Pozaziębiacie się! Pozaziębiacie się! — wołała. — W imię Boże chodźmy naprzód! Przewodniku! No, dalej!

Rdzawicz ujął znów dłoń Teresy i szepnął:

— Zostańmy z tyłu; boję się, żeby kamień na panią nie spadł komu z pod nóg.

— Ale to my możemy zrzucić?

— Będziemy się starali nie zrzucić. Nie dam pani iść naprzód. Przepraszam, ale muszę panią wziąć po przewodniku.

Zawiesił ciupagę na lewej ręce i ujął ją obu rękami pod łokieć i za dłoń, tak, że wygodnie, mocno mogła się oprzeć.

Dziwne, dziwne uczucie... Oto schodzi w jakąś przepaść, czarną, nieznaną, urwistem zboczem, po którym usuwają się jej z pod nóg kamienie, i wszystko zda się w tę czarną, nieznaną przepaść z pod nóg uciekać... Jest oparta na rękę Rdzawicza, i on ją raczej znosi na swojej ręce, niż ona idzie sama... Wicher ze świszczącym szumem przelata jej czasem nad głową, czasem uderza o jej stopy i kolana, czasem hu-czy gdzieś w dole, straszliwie nisko, to wyje gdzieś wysoko ponad głowami, w jakichś niebotycznych, ciemnych, ledwo widocznych skalach. Groza jest straszna. Całe życie dotychczasowe poczyna się Teresie w tej chwili wydawać jak jakiś sen... Nieslychanie, nadludzko potężna jakaś rzeczywistość ogarnęła ją, wtłoczyła w siebie jej całą istotę. Groza i moc jej obecnego życia jest tak wielka, że Teresa nie może jej objąć i zapanować nad świadomością. Czuje coś, żyje, ale nie włada swoim życiem.

Jest jak łódź na morzu podczas przypływu; łódź ma żagle, wiosła, ster, wszystko, ale ostatecznie niesie ją tylko fala w tym kierunku, w którym sama dąży. Teresa jest bezwładna, oszołomiona energią życia, która na nią runęła i której nigdy w takiej sile nie doświadczała, nie przeczuwała nawet.

Wstrząsa nią dreszcz.

— Boi się pani? — pyta Rdzawicz.

Jego głos jest jakiś zupełnie inny, jak zwykle. Jest to głos cichy i głęboki jakiegoś silnego ducha, który ją raczej niesie, niż wie dzie, i który niezawodnie ma skrzydła, w tej chwili szumiące mu z wiatrem nad głową i utrzymujące go nad przepaścią.

— Boi się pani?

— Nie — odpowiada Teresa, widząc, jakby się straszliwie czuła bezradną, gdyby nie ten duch skrzydlaty koło niej.

— Nie? — powtarza głos obok, jak ciche echo, tak drżący i tak wzruszony, jak gdyby tem słowem zamykał cały skarbiec nieprzebrany słów innych.

— Pan mnie tak dobrze prowadzi — mówi Teresa, uświadamiając sobie zupełnie, że te słowa znaczą: skrzydła twoje niosą mnie nad otchłań nieznaną...

Teresa czuje jakiś ruch koło siebie, który wstrząsa nią całą i wywoływa w niej gorący

dreszcz, choć trwał tylko jedną sekundę i ledwo dał się odgadnąć; ten sam ruch powtarza, jakby zamagnetyzowane, jej ciało.

Wówczas Teresa czuje, iż staje... moc ją jakaś wstrzymała. To zatrzymanie się trwa jedną krótką chwilę. Nagle stanęli oboje... Teresa czuje, że stało się to dlatego, ponieważ w jednym momencie zabrakło Rdzawiczowi sił, aby krok uczynić, ale jej również sił zabrakło, aby go pociągnąć za sobą naprzód.

I słyszy ledwo, ledwo słyszalny szept Rdzawicza: «Teraz niech przyjdzie śmierć.» Słyszy doskonale, ale szepce: Co?

A Rdzawicz wyraźnie, jasno, iskrząco w tę czarną otchłań i noc powtarza swój szept: Teraz niech przyjdzie śmierć...

Wówczas Teresą owłada jakaś bezmoc silniejsza, niż wszystko, i opiera ją na ramieniu Rdzawicza ramieniem; wówczas czuje, że jest przezeń objęta i że tak wisi w bezdni górskiej przez niewypowiedzianie krótki czas.

Potem znów kroczą naprzód, a Teresa czuje, że dłoń jej podnosi się do góry, czuje doskonale, jak mija szyję Rdzawicza, jak mija jego usta, zatrzymaną jest na jego oczach i wilgnie, więc przyciska ją do tych oczu mocno i tę wilgoć przyjmuje na rękę. Wówczas uczuwa, że jej ręka zsuwa się od oczu Rdzawicza ku ustom i zatrzymaną jest na ustach, które przyciskają

się do niej tak mocno, jak ona przyciskała ją do jego oczu.

Wtenczas głowa jej się chyli w tył...

I słyszy wyraźny, choć cichy, bezbrzeźnie bolesny szept: I to wszystko...

O nie! O nie! Nagle poczyna w niej tak coś brzmieć, w piersi jakby zadrzemane instrumenty muzyczne w niej się ocknęły, harfy i liry. Nie! Nie!...

I ona wtenczas przystaje na chwilę, chwytając Rdzawicza ręce w obie swoje dłonie i ścisną je mocno, mocno, mocno...

Staje się coś niewysłowionego... Zdaje jej się, że są jedną istotą, przez zespolone dłonie. Obie jej ręce, stulone, ze stulonymi palcami wznoszą się ku ustom Rdzawicza.

— Kocham — słyszy jego szept, tak cichy, że zda się rozplynięty w czarną noc, w otchłań, w skały na ciemnościach.

— Kocham — odpowiada Teresa, nie uświadamiając sobie tego słowa.

Wtenczas brak im znów na jedną sekundę sił: stają i głowy ich pochylają się ku sobie, tak, że skroń dotyka skroni. Wszystko to trwało sekundy, czy wieki?...

W maleńkim pokoiku schroniska Celinka na drugim łóżku na szczęście śpi; Teresa więc

przeżywa wszystko po raz drugi. Już po tem świętem słowie nie mówili więcej do siebie. Za-trzymywali się jeszcze, odpoczywali, szli jeszcze długie godziny, on prowadził ją ciągle, ale już mówili tylko z ludźmi, trzymali się ludzi, do siebie odzywali się w rozmowie ogólnej. Tamto zostało za nimi, rzucone w czarną noc i otchłań. Zostało i grało nad głową Teresy bez ustanku, bez ustanku... O czemkolwiek mówiła, czego-kolwiek słuchała: podwójny dźwięk: *kocham* dźwięczał ponad nią. Jakieś szczęście, ale i ja-kiś wstyd weszły pomiędzy nich. Coś ciągnęło i coś oddalało wzajemnie... Ręce rwały się ku sobie, a ciała jakby odsuwały się od siebie; Rdzawicz jakby ten wstyd jej odczuwał i jakby go oszczędzał. Była mu tak wdzięczna za to...

Już nie mówili do siebie nic. Nic nie zepsuło tej melodyi. Bo choćby przyszły były najpiękniejsze, nie mogła być żadna piękniejsza. Było to tak, jak pierwszy pacierz dziecka, które zrozumiało, co szeptce.

I Teresa w zupełnej nieświadomości i z zupełną prostotą powtarzała, leżąc na wązkim łóżku schroniska: Boże, Boże! Dzięki Ci, że mi dałeś takie czyste życie...

Ona to wie, ona to wie, że się stało tak, jakby na nieruszaną nigdy ziemię padło ziarno i wyrósł kwiat. Ma całą dumę, całą wspaniałą, pyszną dumę swojej czystości. Nic, nic nie trzeba

było usuwać przed tem świętem słowem, niczego się pozbywać, nic kryć, nic wypędzać ze swojej duszy. Ziemia leżała świeża, gotowa, nie-
tknięta — padło ziarno i wyrósł kwiat. A stało się to tak nagle, tak bezwiednie, tak niespodzianie...

— Boże, Boże! — myśli Teresa napół już we śnie. Boże! Daj mu szczęście... daj... nam szczęście... daj... za moje jemu, jeśli taka wola Twoja.... Boże mój... Boże...

Sto barw płonęło na szkle jeziora. Złote i dyamentowe iskry wypryskały z ciemnej toni, przejrzystej, przelewającej się w fioletową czerwień, w szmaragdowy szafir, w turkusową zieleń. Cicha, spokojna toń. Na niebie, rannem i świeżem, słońce, wielkie, promienne boskie.

I niebo nad górami czyste, błękitne. Zieloność gór iskrzy się młodem światłem, które niedawno wstało, pełnem świeżych sił; szare turnie i skały lśnią w jasności tryumfalnej dnia. Królewski majestat pogody rozpiął się nad światem. Pięknie jest.

— Takie to rano wita miłość moją i moje nowe życie — myśli Teresa, stając na wzgórzu nad wodą.

Idzie Rdzawicz. W ręku ma gałązki z limby odłamane.

Idzie od gór. Zobaczył ją... Boże! jak gdyby się wahał: czy ku niej iść?

Czy można się wahać w czemkolwiek na świecie?!...

Cóż prostszego: zerwać się, polecieć ku niemu... Poleci ku niemu...

Ale w tej chwili ogarnia ją jakiś wstyd, jakaś nieśmiałość... Jak gdyby się cały ogromny świat zakolysał... zawahał...

Rdzawicz zbliża się, już jest tuż. Kłania się. Zmieszany jest. — No, mów! — niech słowa twoje dalej brzmią, jak ta cudna melodia — niech grają... Znów jesteśmy sami i nikogo niema oprócz nas.. Boże! Dlaczego trzeba się kryć?... A jednak.. tak słodko, tak upajająco słodko, że nie wie nikt oprócz nas...

Rdzawicz patrzy na nią tak, jakby się jej bał.

O! Nie! Nie!... — Teresa idzie ku niemu... nie, to jej się tylko zdawało, że zaczęła iść — ona stoi w miejscu.

— Dzień dobry pani. Przyniosłem trochę limby, którą pani chciała mieć — odzywa się Rdzawicz zmieszany i niepewny.

— Dzień dobry panu. Dziękuję. Jaki pan dobry!

Wtedy on podnosi na nią oczy. Te oczy są wilgotne. Zwykły ich stalowy blask i śmił się i rozelśnił razem za wilgotną mgłą. Patrzy na nią, do góry, bo ona stoi wyżej nieco. Jest

w tych oczach i tyle pokory zamglonej i trwożnej, i tyle świetnej dumy razem... Czy tak wyglądały wczoraj? Czy były takie same?... Te oczy o stalowej barwie...

Stoi taki nieśmiały, taki cichy, a tak gotów swoją wilgotną mgłą pokory i obawy przelśnić, zgasić jednym błysnięciem dumy. Stoi blisko, tak gotów się cofnąć, odejść — precz..

Wówczas Teresa uprzytomnia sobie w jednej błyskawicy myśli swoją uczciwość, swoją czystość. Schodzi krok ku Rdzawiczowi, ujmuje jego dłoń dłonią, mocno, i pokazując mu szerokim ruchem świat, który jest piękny i pełen pogody, mówi głośno i wyraźnie:

Tak się zaczyna nasz dzień, nasze życie...

To *nasze* wymawia z przyciskiem.

Są sami i zasłania ich kosodrzewina. Rdzawicz nie odpowiada, tylko zniża się do jej nóg, klęka przed nią na jedno kolano i przyciska do jej kolan usta. Ona nie broni się, nie cofa; w tej chwili nie czuje nawet wstydu. Ma takie wrażenie, jakby brała ślub. I rozumie go i odgaduje i odczuwa; więc mówi, co on myśli:

Pan myślał, że to już nie ja? To tylko dzień po nocy...

Jakże go rozumie i jak kocha jego dumę, jego ambicję, jego miłość własną, jego obawę! jak wybacza mu wszystko, wszystko! jak ro-

zumie wszystko!.. Cóż to jest?... Oto jej uczucie jest jak rześny wiosenny deszcz, który splókał z tych skał brudny śnieg i zimny lód. Są takie, jakby co dopiero powstałe na ziemi. Takim jest teraz i on.

Czuje się tak dumną, tak szczęśliwą, tak wszechwładną i mocną — czuje się odradzającą wiosną, różgą oliwy, niosącą pokój i wybaczenie.

— Więc to naprawdę? — szepce on, kłęcząc.

— Naprawdę — odpowiada Teresa.

— Będzie pani moją... moją żoną?

— Przysięgam panu na te góry, na ten świat, na ..

Coś zdławiło ją w gardle. Odsuwa się, cofa, odchodzi, bo inaczej padłaby mu ramionami na szyję.

Jedna chwila... Jedna chwila... Jedna chwila dokazała czegoś zupełnie niepojętego... Oto jest od dziś po słowie z Rdzawiczem, z nim, jest jego narzeczoną, jest narzeczoną... Jedna chwila... Snadź Bóg chciał tego... Jak się to stało?... Co się stało?..

I Teresa zakrywa sobie oczy, i myśli, i przypomina sobie, i chce przypomnieć sobie wszystko, wszystko, wszystko... I nie pojmuje, i nie wie-

rzy, i budzi się ze snu, aby się przekonać, że nie śpi i nie śni.

I Rdzawicz jest jak rażony jakimś światłem niebieskiem. Coś tam, w nocy, na urwisku, wyrzuciło mu z piersi, z ust, ten wyraz: kocham... Czuł, że wszystko jest niczem i że to jest wszystkim... Ale pojąć i zrozumieć nie może, jak się to stało?... I ona, ona, odpowiedziała tym samym wyrazem... Już nie ważył swojej dumy, swojej miłości własnej — powiedział — i ona odpowiedziała tym samym wyrazem...

Przerażenie wprost ogarnia Rdzawicza. To nie może być! nie może być! To sen! Jak to? Tak nagle? Tak łatwo? Tak prosto? To, co się wydawało niemożliwym, niepodobnym!... Nie! Nie! To się nie stało, tego nie ma!

I musi rękoma o skronie uderzać, aby się przekonać, że nie śni i że to prawda. Prawda...

— Tak, teraz jeszcze nie będziemy mówili nic nikomu — mówi Teresa, kiedy już zbliżają się z Waksmundzkiej ku Jaszczurówce z powrotem — nie dlatego, żeby nie można, ale, że to jest tak słodką naszą tajemnicą.

— Naprawdę, naprawdę, pani mnie nie nie-lubi?

Teresa ma różne chwile: szalonych nieśmia-

łości i szalonych zuchwalstw. Teraz jest zuchwała... Mówi więc:

— Ja pana przecież Kocham.

Rdzawicz nie może nic odpowiedzieć.

— Kocham pana.

— Kocha mnie pani?... Kocha?

— Tak, oddawna, od początku naszej znajomości... od pierwszego spotkania.

Teresa wie, że Rdzawicz myśli w tej chwili o tańcu pod jej oknem; wybaczyła wszystko, bo wszystko rozumie. Jak można czego nie rozumieć na świecie? A jeszcze więcej nie wybaczyć? A zarazem powtarza mu, że go Kocha, bo jest uczciwą, bo jest czystą, i on musi w to uwierzyć, że ona musi Kochać, skoro o Kochaniu swoim mówi i o Kochaniu siebie słucha.

Zresztą, wszystko wydaje się jej takie łatwe, takie proste, takie wykonalne, a zarazem dziwi się, jak może być na świecie jaki płacz, jaki ból, jakie zło, jaka nędza, jaki żal i jaka rozpacz...

— Panno Tereso... — mówił Rdzawicz na odchodnym, kiedy się żegnają — Gdyby to nawet miało być wszystko: dziękuję pani.

— Kocham pana -- szepce, drżąc Teresa, i czuje się tak słabą, tak smutną, tak nieszczęśliwą, że on odchodzi.

Nie mógł jej pocałować w rękę, widziała to,

nie było sposobu. Teresa ma takie wrażenie, jakby ostry zgrzyt drzwi obudził ją ze snu.

...Więc kocha go... Kocha go ta dziewczyna biała, cudowna, piękna i słodka... Kocha... Wszystkie jego nędze, wszystkie jego cierpienia, wszystkie jego wewnętrzne zbrodnie moralne, które on sobie tak doskonale uświadamia, wszystkie jego braki fizyczne i ułomności, które, jako rzeźbiarz, widzi z taką pogardą, wszystko kocha w nim i z nim ta biała, cudna dziewczyna...

Szczęście! Zwodne, straszne, okrutne szczęście. Czy i to będzie tylko chwilą snu, aby potem przyszła klęska, zatracenie i najstraszliwsze ze słów — słowo: nigdy?..

ROZDZIAŁ IV.

Smierć..

Od kilku godzin słowo to wypełniło sobą dom na Skibówce. Wchodziło ono tam powoli i spokojnie, ale z tak absolutną i nieodpartą siłą, jak się wlewa podczas powodzi woda z rzeki do leżących u brzegu zabudowań ludzkich. Wszelkie tamy nic nie pomagają, i ludzie tamują razem z głupim, machinalnem uporem nadziei i z najzupełniejszym, rozumnem przeświadczeniem, że się to na nic nie zda. Nikt nie wątpił, że Jerzy wkrótce musi umrzeć, i nikt nie przestawał mieć nadziei, że się go zdoła uratować.

Leżał na poduszce biały, jak płótno. Przyknięte miał powieki ze zmęczenia po nocnym krwotoku. Co pewien czas podnosił je i poglądał po obecnych.

Godzina była ranna, koło ósmej; dzień chwilami chmurny, chwilami słoneczny.

Nagle przybyło Jerzemu na twarz nieco kolo-

rów; może wskutek wypitego bardzo mocnego wina. Wydało się, że mu przybyło nieco sił. Pani Laura wyszła z pokoju coś zarządzić, a może płakać.

Przy Jerzym siedzieli Rdzawicz, Tężel, Łanowski i Ela Rosieńska.

Jerzy powiódł po nich oczyma pełnemi straszliwego, przeraźliwego, choć wolą krępowanego przed wybuchem niepokoju, i zapytał półgłosem:

Czy wy myślicie, że ja już muszę umrzeć?

Wszyscy poczuli, jak strasznie, jak rozpaczliwie źle człowiek przygotowany jest do śmierci. Cóż prostszego, cóż naturalniejszego niż to, że się musi umrzeć, jeżeli śmierć nadeszła...

Tak, Jerzy musiał umrzeć, ale rozumnemu, intelligentnemu człowiekowi tego nie można powiedzieć przez litość, kurtuazyę i zasady dobrego wychowania, więc Ela Rosieńska powiedziała miękko i słodko:

Niech pan się nie rozdrażnia, proszę..

A Tężel poruszył się na krześle i prawie krzyknął:

Ale cóż, cóż znowu! Zmęczyło cię trochę i nic — i urwał, ponieważ nie mógł więcej mówić i nie umiał zmyślać.

— Niech pan się napije jeszcze wina — rzekła Ela Rosieńska.

Jerzy napił się; podniósł źrenice w górę, jakby myślał o czem.

Romanie, — rzekł po chwili — pamiętasz ty, jakęs rzucił krzesłem na twego «Anioła życia» i rozbił go?

— Wszystkie moje anioły porozbijałem — uśmiechnął się Rdzawicz — i anioła życia, i...

Nie skończył; straszne, wchodzące w dom na Skibówce słowo zatrzymał w ustach.

Jerzy zrozumiał i znowu zbladł; wino jednak działało i rozgrzewało w nim krew.

Tak, widzisz, — mówił — rozbiłeś go i myślałeś, że nie będziesz żył i żyjesz; potem rozbiłeś swojego »Anioła śmierci« i znowu myślałeś, że nie będziesz żył, i żyjesz. Ale ja...

— Panie Jerzy — szepnęła Ela.

— Powiedźcie mi: co mówił doktor?

— Co zawsze, co zawsze: że jeszcze będziesz długo chory, ale że jesteś na drodze ku wyleczeniu — rzekł Tęzel.

Blask radości przeświecił oczy Jerzego. Doktor mówił mu to dwa razy na dzień, przy każdym pożegnaniu, powtarzano mu to w dzień, w nocy, ile razy zapytał, mówiono bez zapytania, mówili wszyscy: i zawsze czekał tej odpowiedzi, tego frazesu z jednakową chciwą niecierpliwością, z jednakową błogą, gorącą pewnością, że go usłyszy. Byłby chciał, żeby mu to mówiono ciągle, ciągle...

— Tak powiedział?

... Tak.

— A jednak czuję się dziś gorzej, niż zwykle — rzekł, chcąc, aby mu zaprzeczono i aby mu wytłómaczono wbrew całej jego świadomości, wbrew całej jego inteligencji i zdolności sądu, że tak nie jest.

— To chwilowe, to chwilowe — rzekł Teżel.

— Otwórzcie drugie okno — poprosił Jerzy. Rdzawicz z Łanowskim podeszli ku oknu.

— Straszne jest to oszustwo śmierci — szepnął Łanowski.

— Nie może inaczej być — odparł Rdzawicz. — Od dwóch tysięcy lat straszą nas dyabłami. Cała nasza kultura duchowa oparta jest na strachu przed śmiercią. Genialne jest zdanie Darwina, że co się przez tysiące lat wkręcało w ludzki mózg, to potrzebuje drugich tysięcy lat, aby się z niego wykręcić.

— Coś okropnego jest choroba — mówił Jerzy. — I ta bezsilność wobec niej. Wszystko się kruszy, wszystko rwie, wszystko kończy... Dopiero się widzi, jaką zabawką jest to, co się nazywa duszą ludzką, w stosunku do materii. Bo niechże tu przyjdą wszystkie geniusze świata, niech się dzieją wszystkie największe sprawy świata w jednym momencie i niech sprawią, żeby przez ten jeden moment, przez tę jedną sekundę dusza moja nie podlegała uciskowi fizycznej choroby... I tyle moich nadziei... Jakim byłem pisarzem, to byłem, mogłem być zupełnie

średnim talentem, przecie jednak zrobiłem coś, mogłem jeszcze coś zrobić... I to dziecko, na które się tyle lat czekało... Powiedzcie: wszak Teresa nie ma skłonności do suchot? Co sądzi o niej doktor? Zdrowa jest? Prawda?

— Niech pan nie mówi tak wiele — przerwała mu Ela Rosieńska.

Jerzy opadł zupełnie bezwładnie głową na poduszkę. Nagle na gościńcu zaturkotał wózek. Jerzy ożywił się i jakby pilnie zaczął słuchać.

Lekarz — rzekł po chwili.

Poznawał turkot, który był dla niego teraz jedyną wytyczną dnia. Wszedł lekarz, tęgi i młody.

— No, jakże tam? Wypoczęliśmy od rana? — mówił, zbliżając się ku łóżku.

Jerzemu ze wzruszenia zabrakło głosu; poruszył tylko lekko głowę i patrzył na lekarza radosnymi, a niespokojnie pytającymi oczyma.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze — mruzczał lekarz, siedząc na łóżku i badając puls.

— Dobrze? — wypowiedział nieśmiało Jerzy

— Zaraz. No, a teraz jeszcze trochę tak.

Lekarz rozpoczął badanie.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze — powtórzył, trochę przymuszając głos.

Baczone, wyostrzone ucho Jerzego dostrzegło przymus głosu; zerwał się głową z poduszki i spojrział na lekarza szeroko rozwartymi źreni-

cami, w których w jednej chwili odgłębiła się cała otchłań przerażenia.

— Co? — szepnął, jakby dusząc się i nie wiedząc, jakie właściwie słowo z ust wysyła.

— Spokojnie, drogi panie, spokojnie, wszystko będzie dobrze — rzekł lekarz, opanowawszy już zupełnie głos. -- Zajadę jeszcze w kilka miejsc, zjem obiad i po południu wpadnę do pana.

Na twarzy Jerzego odmalowała się cała gorycz rozczarowania i zawodu: zje obiad, kiedy on się pyta, czy będzie żył... ten człowiek, który przecież jeden tylko naprawdę może mu odpowiedzieć...

Uśmiechnął się, aby zatrzeć wrażenie, aby nie zrazić do siebie.

— No, do widzenia — rzekł lekarz, ściskając rękę Jerzemu.

— Będzie pan po południu? Koło drugiej?

— Trochę później, koło czwartej. Wcześniej nie zdążę.

Twarcz Jerzego zasmuciła się, znowu jednak wywołał z siebie uśmiech, podobny do tego, jak się uśmiecha kochanek, który zaczyna czuć, że już nie każda godzina do niego należy.

Lekarza wyprowadzili ku koniom Tężel i Rdzawicz.

— Tu niema dwóch zdań — ozwał się do nich — trzeba posłać po księdza.

— Jezus Marya! — jęknął Tężel, blednąc.

— Może się przewlec do jutra, ale może się skończyć i dziś, za kilka godzin — mówił lekarz, wsiadając.

Rdzawicz uczył mróz, przechodzący przez kości.

— Do widzenia! Będę koło czwartej! Gdyby gwałtownie było potrzeba, proszę przysłać. O drugiej jestem u siebie na obiedzie. Do widzenia.

Tężel zwrócił ku Rdzawiczowi swoją uczciwą, grubą, z chłopską ciosaną twarzą:

— Jakże ja to powiem pani Laurze?

— Powiedz Eli.

— Nie pójde tam teraz — pozna. I ty nie chodź. Zmieniony jesteś.

— Więc co? Czekaj. Każę zawołać Elę.

Skinął na gospodynię, która stała przed ganikiem.

— Idźcie do pana Jerzego i powiedźcie panie Elizie, żeby tu przyszła, bo jest kobieta z poziomkami.

Za chwilę wyszła Ela.

— Co powiedział? Że bardzo źle?

— Tak. Kazał posłać po księdza — odpowiedział Tężel.

Przez twarz Eli Rosieńskiej przeleciał tyk nerwowy, wstrząsający, ale opanowała wzruszeniem.

— Powiedz Lorze.

— Dobrze. Idź do Jerzego, niepokoi się. Niech pan pójdzie ze mną, panie Romanie.

Pani Laura była w swoim pokoju; Ela i Rdzawicz zastali ją śpiącą. Siedziała na krześle obok kołyski Teresi, trzymając jej rączkę w dłoni i widocznie ze znużenia zasnęła, oparta plecami o poręcz. Jakiś słodki, pełen szczęścia uśmiech błyszczał jej na ustach.

— Mówi coś przez sen — szepnął Rdzawicz.

Z niewyraźnego szeptu pani Laury dały się odróżnić słowa:

W taką to noc letnią
Piękna Jessyka... ¹⁾

Ela Rosieńska zadrżała i cofnęła się ku drzwiom.

A pani Laura szemrała znów przez sen:
Będziemy chodzili tylko we dwoje... prawda?..
Spać mi się chce..

— Biedactwo — szepnęła Ela Rosieńska.

— Musi mieć gorączkę.

— Ze znużenia. Nie mam odwagi jej obudzić.

— Poczekaj.. wkrótce
Spocziesz i ty... ²⁾

— szemrała pani Laura, uśmiechając się ciągle i ściskając rączkę córeczki.

¹⁾ Shakespeare.

²⁾ Goethe.

— Coś jej się śni.

— Coś pewno przypomina.

Rdzawicz odezwał się głośniej. Pani Laura ocknęła się, słodki uśmiech nie znikł jeszcze z jej ust, i w napół zbudzonych oczach coś kwitło jeszcze ze snu; nagle oczy jej roztwarły się raptownie:

— Jerzy? Co? — zapytała, prostując się na krześle.

Ela Rosieńska postąpiła ku niej; wtedy pani Laura porwała się z krzesła ze stłumionym krzykiem:

— Co?! Co?!

Ela Rosieńska, spokojna i milcząca, położyła jej dłoń na ramieniu.

— Co?! — pytała nerwowo pani Laura, chwytając ją ręką za rękę.

— Moja biedna Loro... — powiedziała Ela, obejmując ją nerwowo w pół, jakby się obawiała, że może paść — moja biedna Loro... trzeba Jerzego przygotować...

Pani Laura nic nie odpowiedziała: oczy wystąpiły jej prawie z orbit, otworzyła usta, a twarz zbieleła jej w mgnieniu oka do trupiej prawie barwy; z piersi dobywał się krótki, urwany oddech.

Stała tak chwilę i poczęła się w objęciu Eli chwiać; to chwanie stawało się coraz silniejsze,

jakby konwulsyjne. Oddech rwał się coraz krótszy, coraz głębszy i gwałtowniejszy; przeszedł w dławiące lkanie, w targany, duszący jęk, coraz głośniejszy, ale ani jedna łza nie zaszklila się w rozwartych, nieruchomych oczach.

Wówczas Ela Rosieńska, czując, jak straszliwie bije serce w niemej piersi pani Laury, krzyknęła rozkazująco:

Placz!

Ale pani Laura nie mogła się rozplakać; całe jej ciało poczęło dygotać, oczy widocznie straciły władzę wzroku, patrzyły w przestrzeń, a jęk, który się wydobywał z jej piersi, począł się zamieniać w dławione wycie. Spazm stał się potworny.

Wtedy Ela Rosieńska krzyknęła na niańkę, która wbiegła do pokoju przestraszona:

Dziecko!

Niańka zrozumiała, wyjęła szybko małą Teresę z kołyski i podniosła ją ku twarzy pani Laury; dziecko rozplakało się. Nieprzytomne oczy pani Laury spojrzwały, schwyciła dziecko z rąk niańki i, osuwając się w dół, runęła na kolana ze straszliwym płaczem. Ela Rosieńska trzymała ją pod ramiona.

— Pan Jerzy coś słyszy... Co się stało? — spytał przerażony Łanowski, wsuwając głowę przez drzwi.

— Niech pan powie gaździnie, żeby poszła

po księdza proboszcza z Sakramentem — rzekła Ela.

Łanowski przeraził się jeszcze więcej, zamamrotał coś pod nosem i cofnął głowę.

— Nie płacz... Jerzy słyszy — szepnęła Ela.

Ale pani Laura sama to już musiała pojąć, tłumiała bowiem szlochanie.

— Pan panią prosi — powiedziała służąca, wsuwając się podobnie, jak przedtem Łanowski

Pani Laura zdusiła w sobie płacz; zrobiła wrażenie, jakby z gardła wepchnęła sobie w piersi rozpalone żelazo.

— Zaraz. Daj mi wody.

Przemyśla oczy i twarz.

— Nie mów może lepiej nic, aż ksiądz przyjdzie — rzekła Ela. — Czekanie byłoby straszne...

— Płakałaś — ozwał się Jerzy, kiedy weszły.

— Nie... trochę... Sniło mi się coś...

— Słyszałem, żeś płakała... — i na twarzy Jerzego odmalowały się pełne trwogi nieufność i podejrzenie. — Czy lekarz mówił co?...

— Znalazł pana dobrze, ale... — ozwała się Ela.

- Co ale?

— Ale Lorcia tak się lęka... Teresa jakaś niespokojna...

— Teresa? Pokażcie mi ją... Ale ostrożnie,

ostrożnie... z daleka... Tak się boję, żeby się nie zaraziła ode mnie... Wszak ona nie ma skłonności do suchot? Lekarze nic nie mówią?

Popatrzył po wszystkich obecnych.

— Pomyśleć... Miesiące, miesiące całe nie pocałowałem mojego dziecka... boję się...

Mimowoli spojrzął na Łanowskiego, który stał przy oknie.

— Panie Jerzy, możeby się pan jeszcze napił — rzekła nieśmiało Ela Rosieńska.

— Zaraz, zaraz... duszno mi...

Pot kroplisty począł występować Jerzemu na czoło.

Wszyscy skupili się przy łóżku.

— Poślej po lekarza — szepnął wystraszony Tężeł do Łanowskiego. — To wygląda źle...

Jerzy uczuł ulgę po chwilowym ataku duszności; spróbował się uśmiechnąć.

Poczęto mówić. Wszyscy starali się mówić spokojnie, naturalnie, zwyczajnie. Rdzawicz czuł, że oni chcą odwlec chwilę przybycia księdza, a zarazem chcieliby mimowolnie, aby przybył jaknajprędzej, aby skończyła się ta męka udawania, aby w tym strasznym bezruchu stało się coś nowego, aby się cokolwiek stało.

Niańka stała u drzwi z dzieckiem na ręku.

— Teresa — szepnął Jerzy.

— Teresa — powtórzył za nim w myśli Rdzawicz, widząc przed sobą w tej chwili tak

jasno, tak wyraźnie bladą, matową, śliczną twarz Teresy Morskiej, której imię przypadkiem nosiło to dziecko.

Wtem — nikt nie dosłyszał, ale Jerzy dosłyszał: dzwonek — rzekł. — Ksiądz jedzie do kogoś. Pewnie w Kościeliskach ktoś chory.

Dech zaparł się w piersiach obecnych.

Dzwonek nie powtórzył się, ale dał się słyszeć turkot.

— Ktoś jedzie. Doktor dopiero koło czwartej obiecał...

Wózek zatrzymał się.

Pani Laura nie wytrzymała wówczas; padła na kolana przy łóżku męża i przyciskając usta do jego chudej, trupiej już prawie ręki, wybuchnęła jękiem: «Jerzy! Jerzy!...»

Jerzy pochylił ku niej głowę wzruszony, ale nie rozumiejąc; nagle zapukał ktoś do drzwi i wszedł naprzód człowiek ze światłem w rękę, ubrany w komżę, a za nim ksiądz również w komży i w stule, ze słowami:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Nikt mu nie odpowiedział, nikt nie potrafił.

Na widok ten Jerzy wstrząsnął się cały, siadł na łóżku, jakby prądem elektrycznym przeżyty. W jego oczach zawidniał taki strach, jakiego się dwa razy w życiu nie przechodzi. Wyciągnął przed siebie ręce i chwytając w usta

braknący oddech, począł jakby odpychać kogoś z głuchym, chrapliwym krzykiem:

Nie! Nie! Nie chcę!... Jeszcze nie!... Jeszcze nie!...

Potem oczy jego poczęły błyskawicą biec dookoła po twarzach obecnych, jakby wzywając ratunku, zasłony; nakoniec uderzyły, jak ogniem, w głowę pani Laury, przytulonej do jego pocieli twarzą. Pani Laura musiała uczuć to spojrzenie przez włosy, bo podniosła twarz i popatrzyła na męża, a wtedy straszne, potężne, piorunujące, pełne niewysłowionego wyrzutu spojrzenie męża rzuciło jej w oczy:

Skazujesz mnie na śmierć? Ty?!...

Pani Laura znieruchomiała pod temi oczami.

Nikt nie mógł znieść wzroku Jerzego. Strach, nieludzki i przechodzący miarę człowieczych uczuć, błyszczał w nim wespół z jakąś jakby nienawiścią ku tym, co go otaczali, co przed nim postawili śmierć, co ją wywołali przed niego, i z tą dumą jakąś, która budzi się w każdym osamotnieniu, nawet nędzy, nawet śmierci. Siedział na łóżku i gniótł obecnych przeraźliwymi oczyma. Nagle z ust jego buchnęła krew. Pani Laura zerwała się z ziemi. Ksiądz przysunął się z wiatykiem. Jerzy krztusił się i krew z płuc wyrzucał.

Kiedy kaszel ustał, biały i do trupa podobny,

bez żadnych już sił, dysząc, począł patrzeć na żonę, która zbliżyć się ku niemu nie śmiała; wyciągnął ku niej z trudem rękę, przyciągnął ją ku łóżku i dłoń jej przyłożył do swego czoła, jakby nie chcąc do swoich suchotniczych ust; potem puścił ją i skinął ręką na wszystkich, aby wyszli.

Do łóżka przystąpił ksiądz z wiatykiem.

Po wyjściu księdza, wyczerpany i bezsilny, trzymając rękę żony, Jerzy począł szeptać:

Dla ciebie... dla ciebie... Dobrześ zrobiła... Trzeba było... Dziękuję ci... Loro... Loro moja... Każ tu jeszcze przynieść Teresię... Dotknę jej czółka... tylko czółka... Umyjcie ją potem wodą z karbolem... Umyjcie jej czółko... całą ją umyćcie...

Pani Laura, zanosząc się od płaczu, wyszła po dziecko. Podsunięto je pod dłoń Jerzego. Dziecko było dziwnie ciche, jakby rozumne. Jerzy trzymał końce palców na czole córeczki.

— Niech ją odniosą. Umyjcie ją... Umyjcie... Wodę z karbolem... Całą...

Nagle zarzęziło mu coś w piersiach. Chwycił dłoń pani Laury. Z ust wydarł mu się zgłuszony, chrapliwy krzyk:

Ratujcie mnie! Ratujcie! Ja nie chcę umierać!... Nie chcę!... Nie chcę!... Boję się!...

Ręce jego poczęły wykonywać ruchy, jak u człowieka, który tonie: rozpostarte palce jakby chciały uchwycić się czegoś, złapać czegoś... Błagał spojrzeniem o ratunek. Drżał i potem ociekał. Uchwycił obu rękoma ręce pani Laury, potem puścił jedną z nich i chwycił konwulsyjnie rękę Teźła, jakby dlatego, że była ona tęga, duża i mocna.

— Ratujcie mnie! Ratujcie mnie! — powtarzał. — Nie chcę! Nie chcę umierać! Nie! Nie! Nie!...

Rzęzenie przeszło, oddech stał się lżejszy i równiejszy. Chwilę milczał, potem odezwał się głosem czystszy i wyraźniejszy, jakby mówił do kogoś nie z pomiędzy obecnych:

A jeśli oni za wcześnie spodziewali się, że umrę... Jeśli będę żył...

I gorzki, bolesny, pełen jakiejś głębokiej wzdargi wyraz wystąpił mu na wargi; oczy przymknął.

Pani Laura zatoczyła się z jękiem w tył na ręce Eli Rosieńskiej i Teźła.

Jerzy wznosił powieki, spojrział i odwrócił twarz ku ścianie.

— Jerzy — jęknęła pani Laura.

Ale Jerzy nie zwrócił ku niej twarzy.

— Jerzy!... Dwanaście lat!... Jerzy!...

Pani Laura osunęła się na kolana przy łóżku, z załamanemi przy czole rękoma. Nagle

z ust Jerzego wydobyło się chrapanie i charkot, drgnął kilka razy, poruszył ręką, głowa opadła mu bezwładnie twarzą z poduszki ku ścianie i całe ciało wyprężyło się z westchnieniem.

— Jezu! — krzyknął Teżel, chwytając głowę Jerzego i dźwigając ją na poduszkę. Piana, zabarwiona nieco krwią, toczyła się z ust Jerzego. Już nie żył. W głowie leżącej w rękach Teżła na wznak na poduszce, świeciło dwoje otwartych oczu, w których został zamrożony i zlodowociał okropny strach. I nic nie widniało w tych oczach martwego człowieka, prócz zlodniałego strachu.

Pani Laura spojrzała i nie wierzyła, że mąż nie żyje. Chwyciła go za ręce z krzykiem:

— Jerzy!... Spójrzyj!... Dwanaście lat!... Jerzy!...

Ale nic nie widniało w oczach martwego człowieka, prócz zlodniałego strachu.

Wówczas pani Laura puściła ręce męża, pochyliła się i uderzyła z twardym łoskotem czołem o krawędź łóżka.

W piersi jej zamarł głos.

Rdzawicz wyszedł na dwór; ból, ciężki i dojmujący, nie dający się określić, ból, gniótł mu serce. Rdzawicz wiedział doskonale, że nie jest to ani żal za Jerzym, ani żal nad panią Laurą. Był to jakiś ból ludzki, jakaś rozpacz, jakiś zawód, jakiś wewnętrzny, rozdzierający krzyk.

Przed dom zajechał lekarz.

— Spotkałem księdza wracającego. Żle? — zapytał.

— Już... — odparł Rdzawicz.

— Umarł?! Biedna kobieta! Tam nie było już czem oddychać...

Nerwowo a bezświadomie wyjął papierosa i zaczął zapalać, mówiąc:

— Gdybym był zdążył, można było jeszcze eterem... Pożegnał się?... Gdybym jednak był zdążył...

— Nie, nie pożegnał.

— Nie? Stracił przytomność?

— Zdaje mi się, że nie, ale mu się zdawało, że będzie żył i... — Rdzawicz nie mógł mówić.

— Aha! Biedna, biedna kobieta!... Hm... Gdybym był jeszcze zdążył... Co za szkoda!... Byłbym eterem przeciągnął może o kwadrans, może o pół godziny... Dziwna rzecz ta dusza: można ją eterem zatrzymać przez jakiś czas... Hm... Biedna kobieta... Każda śmierć da się łatwiej przenieść, niż wtedy, kiedy ludzie są młodzi i żyją z sobą. Och! Jakże ona to odczuje!... Niczem śmierć rodziców, niczem śmierć dziecka. Wejdę tam pożegnać go na wieczne dobranoc — i jej się może przydam... Nie prawda, żeby nie można patrzeć prosto w słońce, ale trzeba patrzeć pod pewnym kątem. I śmierć tak samo... No, ale tu musiała nastąpić...

Mrucząc sam do siebie, wszedł do sieni, Rdzawicz zaś został chwilę przed domem w jakimś osłupieniu i z zupełnem zaćmieniem mózgu; potem, oprzytomniawszy, poszedł za lekarzem i skręcił się do pokoju, w którym stała kołyska z dzieckiem.

Dziecko było samo; nie spało, ale leżało cicho.

Rdzawicz zamknął drzwi, z kąd słychać było płacz pani Laury, służby i gaździny, która zawodziła przed domem, właściwie wcale nie płacząc, bardzo głośno i bez żadnego istotnego rozrzewnienia. W pokoju zrobiło się cicho. Rdzawicz usiadł nad kołyską i począł ją lekko chybotać nogą. Dziewczynka uśmiechnęła się.

Rdzawicz pochylił się nad nią, blisko, i patrząc w jej duże, niebieskie oczy, szepnął do niej słodko i mile: Teresiu!

Dziewczynka, nie przestając się uśmiechać, wyciągnęła ku niemu rączki.

Na katafalku, w pokoju, gdzie umarł, Jerzy leżał we fraku, z rękoma, na które siłą naciągnięto białe rękawiczki, które siłą złożono jak do modlitwy i w które siłą wciśnięto krzyż. Mnóstwo kwiatów leżało koło ciała w trumnie, wieńce z szarfami w nogach. Pod trumną postawiono miski z lodem, aby opóźnić rozkład ciała. Na szczęście dni były, choć w lecie, chłodne.

Obok katafalku paliły się świece, stary były spuszczone przed słońcem, tak, iż w pokoju pannaował przymrok. Było około pierwszej w południe; o trzeciej miał być pogrzeb.

Wszyscy od ciała chwilowo odeszli i Rdzawicz został sam. Stał on u drzwi z założonemi na piersiach rękoma i patrzył na twarz Jerzego. Twarz ta, zapadła już zresztą, sina i twarda, z zamkniętymi oczyma, miała w sobie zupełny spokój.

Niktby nie poznał, że ten człowiek męczył się straszliwie i tak straszliwie bał się śmierci.

Wszystko przeszło i ot co zostało...

I po szekspirowsku. Tragedya natychmiast zaczęła się mieszać z komedya. Umyto tego trupa i ubrano go we frak, prędko, jak gdyby się obawiał spóźnić na bal, lub na proszony obiad. Wdziano mu spodnie na sztywne nogi, wtłoczono lakierki, zapięto na guziki. O bieliźnie spodniej nie było mowy. Potem koszulę, białą, świeżą, nie zapominając ani o jednym guziku. Komicznie podnoszono trupowi ręce, aby wepchnąć je w rękawy, w koszulę, potem w otwory u kamizelki — z tem poszło łatwiej — nakoniec w rękawy od fraka. Były wązkie, modne. Na szczęście przyszli specjaliści, nie złamali ręki. Potem zawiązano białą krawatkę, raz krzywo, więc poprawiono, potem zrobiono rozdział na głowie, w środku, na dwie strony, choć Jerzy

nigdy tak nie nosił. Musiał przecie przyjmować teraz wizyty znajomych i ciekawych, musiał przyzwoicie wyglądać. Naczelnik specjalistów rzucił okiem na trupa, na katafalk, powiedział: «Dobrze!» — i był zadowolony.

Gdy w jednym pokoju mdlała i w konwulsyjnych spazmach tarzala się pani Laura, w drugim Jerzy machał w powietrzu wyprostowanymi nogami i rękoma, robiąc tualetę. Potrząsano mu korpusem, głową. To ciało, które tyle tysięcy razy tuliła ku sobie w upojeniu pani Laura, chybotalo się teraz bezwładnie na lewo i na prawo w rękach uprzejmej służby pogrzebowej. Służba była uprzejma, ponieważ Rdzawicz stał u drzwi i patrzył. Lokaje mówili nawet między sobą: «Wdziej nieboszczykowi but... trzeba nieboszczykowi przewiązać krawat.» A to dlatego, że kiedy jeden powiedział: «Skręć no mu te giczale w kupę!» — Rdzawicz mimowoli postąpił ku niemu krok, a jego stalowe oczy musiały źle błysnąć, bo się lokaj cofnął i poprawił prędko: «Złóż też nieboszczykowi nogi, żeby równo leżały.»

Rdzawiczowi wydawało się, że ma jakiś obowiązek pilnować należącego uszanowania dla tego trupa, który był jego krewnym, który był niegdyś pewnej miary człowiekiem. Stał i czuwał nad tem, aby nie wyrażano się ordynarnie i grubijańsko o człowieku, który myślał i czuł,

aby nie poniewierano ciała, które kochane i kochające kobiety posiadało i było wzajem przez nie obejmowane uściskiem, które nurzało się w krynicznej, świętej wodzie natury i które owiewał szczytowy święty wiatr... Ale razem odnosił wrażenie, że spełnia przy tym trupie wysoce donkiszotowską funkcję, że jest ze swoją czułością na punkcie honoru i uszanowania dla tego trupa wysoce śmieszny, i wobec lokajów, i sam dla siebie — i że w końcu ci lokaje i on sam to są zupełnie takie same trupy przyszłości.

Nakoniec zostawiono Jerzego spokojowi śmierci; wystrojony już był należycie.

Po cóż więc to wszystko? Jaki cel? Jaka pozostałość? Co na przykład z tej strasznej nocy, którą Jerzy przepędził, skaleczywszy się przypadkiem nożem, którym trupa krajano, kiedy ręka zaczęła puchnąć i zdawało się, że lada chwila wystąpi zabijające zakażenie krwi? Co na przykład z tej rozpaczy wewnętrznej, kiedy dzieło, po którym obiecywał sobie sławę, okazało się chybionem i tak nieudatnem, że dotychczasowe jego stanowisko podkopało i podcięło na zawsze? Co z odczuwania klęsk, krzywd, upokorzeń, których doznał? Cóż z tej straszliwej, zadrezczającej obawy przed nurtującą organizm chorobą? Cóż z tych dolegliwości życia, na które ustawiczna choroba skazywała? Co z tego,

czem się cieszył i martwił, co czuł i myślał? Co ze wszystkich nadziei i ze wszystkich zawodów, ze wszystkich zdobyczy i ze wszystkich klęsk, ze wszystkich tryumfów i hańb?

Jerzy leżał spokojny i było tak, jakby nie istniał nigdy. Więc po co istniał? Dokonał czegoś? spełnił jakieś zadanie? Po co, gdy wszystko, wszystko, wszystko ma ujście i zamknięcie w śmierci, w znicestwieniu, w niebycie?...

I Rdzawicz uczuł się jakby w olbrzymiej próżnej bani szklanej, z której wypompowano powietrze i w której, jak opilka z ołowiu, lata i krąży, bezwładny i bezwolny — w pustce. Jakiś straszliwy nihilizm przygniótł go, jak lawina śnieżna. Stał koło trupa z założonemi na piersi rękoma, z opuszczoną głową, aż bolesny, konwulsyjny uśmiech począł mu wykrzywiać usta. Jerzy nie przedstawiał dla niego przedmiotu strachu, jak niegdyś Drewski, tylko przedmiot niesłychanego, niewypowiedzianego smutku. Już nawet nie Ironia rozpościerała się nad głową Rdzawicza — to było olbrzymie, głuche, martwe, nieskończone Nic...

I począł iść czas zwykłym trybem, dowodnie i bezwzględnie okazując, jakim niczem dla ogólnego bytu jest znicestwienie poszczególnego życia, jakim niczem jest śmierć człowieka i jakim niczem dla ogólnego bytu jest strata i cios, jakie ta śmierć sprawia w pewnym

kole najbliższych osób. Tu zresztą działo się to, co się zawsze w takich razach dzieje. Pani Laura rzucała się na ciało, albo na ziemię w rozpacz, rwała włosy i wyla z płaczu, uspokajała się, modliła przy katafalku i znowu rzucała się na ciało, albo na ziemię, rwała włosy i wyla z płaczu, i znowu uspokajała się i modliła przy katafalku. Przychodziło wielu ludzi; bliżsi znajomi ciemno ubrani, dalsi nie, także zupełnie obcy. Przeżegnawali się, szeptali pacierz, niektórzy klękali, jedni modlili się dłużej, drudzy krócej, jedni czynili dokładny znak krzyża, inni tylko palcem wykonywali zygzak od twarzy ku piersiom, witali się z sobą, rozmawiali, żegnali. Przychodziły osoby z kondolencją do pani Laury. Siadały na werandzie, lub w pokoju. Były takie, które zaznaczały dobitnie wobec drugich, że są tu bliżej znajome, lepiej położone, niż inne, że mają prawo przejść od ciała do pokoju pani Laury, że mogą tu zostać dłużej, jeżeli chcą. Siedziały na werandzie i przypatrywały się obcym przychodniom z pewną pobłażliwą wyższością.

Ponieważ rozeszła się wieść, że Jerzy umarł jakoby w gniewie na żonę, więc kilka pań pytało, jakie były ostatnie chwile nieboszczyka, a jedna literatka pytała nawet o ostatnie słowa, gdyż «chciała je przytoczyć w korespondencji z Zakopanego».

— Gdybyś ty umarła... gdybyś ty umarła — myślał Rdzawicz o Teresie — a gdybym ja mimo to żył, i było to w mojej mocy: porwałbym cię i wyniósł w skały, aby cię tam tylko żegnały niebo i wiatr...

Rozpacz pani Laury była straszna. Po pierwszych wybuchach siedziała bez ruchu, bez wyrazu, kiedy niekiedy szepcąc tylko: «Bez jednego słowa... Bez ostatniego spojrzenia... Bez ostatniego uścisku... Dwanaście lat... Dwanaście lat...»

Dwanaście lat żyli z sobą.

W nocy napiła się trochę wina, na drugi dzień nad ranem kawy, którą jej podała Różia Teżłowa. Poczęła automatycznie żyć i straszliwie narzekać. Rozpaczwała nad śmiercią Jerzego i nad tem, że po dwunastu latach jednej wielkiej miłości, umarł z odwróconą od niej twarzą, a ostatnie jego spojrzenie dla niej było spojrzeniem żalu, bólu, urazy, wyrzutu...

— Bóg chyba jest okrutny! — wydarło jej się raz z piersi.

I nawet Teżel, który był głęboko religijny, potrafił na razie tylko głową jej zaprzeczyć, ale nie mógł wydostać z piersi ściśniętej współczuciem żadnej cytaty z Ewangelii; dopiero po kilku minutach pocieszył ją, że wyroki Boskie są niezbadane i że bez woli Bożej nikomu włos z głowy spaść nie może.

— Niech się pani z pokorą podda — rzekł.

— Ja się też poddam — jęknęła pani Laura, wybuchając spazmatycznym szlochaniem.

Rozpacz jej była straszna, prawdziwa, niezmierna i bezdenna, ale jednocześnie znać było, że już w tej rozpaczce wypoczywa zupełnie naturalnym biegiem rzeczy po długiej, męczącej, bolesnej, ciężkiej dla niej chorobie męża. Instynkty życiowe zaczęły brać górę nad śmiercią. Musiała jeść, musiała pić. Trzeciego dnia, w dzień pogrzebu, był normalny obiad. Pani Laura, której szczerą, wielką wiarą i pobożny Tężeł pomogli do ukojenia się i pełnej niewysłowionego smutku rezygnacyi, wypila filiżankę bulionu i zjadła kawałek pieczeni cielecej. Uśmiechnęła się nawet przez łzy do dziecka, które do niej wyciągało rączki z objąć niańki.

Tymczasem Jerzy gnął sobie powoli na katafalku i dawał się czuć, mimo coraz nowych kwiatów i ciągle odmienianego w miednicach lodu. Kiedy miano zamykać trumnę, pani Laura rzuciła się ku niej, widocznie aby paść na nią, jak to zazwyczaj powoduje boleść nadmierna, ale cofnęła się i zemdląła, tak, że ją ledwo chwyciono, nim na ziemię upadła.

Rdzawicz nie oddalał się ze Skibówki, tylko, aby się umyć i przebrać u siebie. Prawie nie spał przez ten czas. Do Jerzego był przywiązany, a zresztą lubił bardzo panią Laureę. Także

bał się, że w czasie jego nieobecności przyjdzie do ciała Teresa Morska. Ale nie przyszła.

Kiedy wychodzili z sieni za wynoszoną trumną, on, prowadząc pod rękę milczącą, jakby jej już jęku w piersiach i łez w oczach brakło, panią Laurę, wiedząc, że nikt mu w mózg spojrzeć nie może, ale czując jakiś wstyd przed ludźmi, czując, że czyni coś źle zastosowanego do chwili, do swojego wyglądu, do roli, jaką spełnia: rzucił okiem w tłum, ale nie zobaczył Teresy.

Leon Morski przychodził i siedział dużo, Rdzawicz jednak nie mógł się zdobyć na żadne pytanie, przez któreby się nawet najogólnikowiej mógł był zapytać o Teresę. Pewny był, że przyjdzie do ciała, a potem, że przyjdzie na pogrzeb — ale nie przyszła.

Idąc tuż za trumną, Rdzawicz myślał, że może po drodze przyłączyła się, że na cmentarzu ją zobaczy. Kiedy więc ziemię sypano na trumnę, a pani Laura wiała się w ramionach jego i Eli Rosieńskiej, oczyma rzucał on między tłum — ale Teresy nie było nigdzie. Zdjął go więc lęk i niepokój, które mu zajęły całkiem myśl.

Nie spostrzegł, że wszyscy stojący nad grobem rzucają grudki gliny; dopiero Teżel trącił go, mówiąc:

Opamiętaj się!

Wszyscy spojrzeli na Rdzawicza wzruszeni; zrozumiał, iż myślą, że zapamiętał się w żałobie nad śmiercią krewnego i nad bólem pani Laury. Uczuł potrzebę uciec ztamtąd, odetchnąć, być szczerym. Wobec myśli o Teresie niczem były dla niego śmierć Jerzego i boleść pani Laury, a zarazem czuł doskonale ohydę swojego egoizmu, którą sam przed sobą nazywał po imieniu. I zarazem czuł całą swoją niewinność wobec swojego usposobienia, swojej natury. Wszystko to tworzyło w nim wewnętrzny męczący chaos.

Kiedy panią Laurę, bezprzytomną prawie, wsadzono do powozu, aby ją odwieźć do domu, Rdzawicz posłał pierwszego z brzegu chłopaka góralskiego z zapytaniem do hotelu o hrabinę Morską. Chłopak wrócił i oznajmił, że hrabina Morska pojechała z pannami do Szczawnicy.

— Z rzeczami? — zapytał.

— Ze syćkiem. Pedział portyjer.

Rdzawiczowi załamał się dech w piersiach. Wsiadł w furkę i kazał się wieźć na Skibówkę. Czuł, że jest strasznie zmieniony na twarzy i znów spotykał wzruszone jego czułością spojrzenia. Nie wytrzymał i uciekł w las.

Nazajutrz zrana oddano mu list, w długiej wazkiej, szarej kopercie, angielskiem, kwadratem pismem adresowany. Szarpnął kopertę,

z listu wypadł pęczek niezapominajek. List był z Krakowa. Zaczął czytać:

«Panie Romanie!

Naprzód niech Pan przyjmie ode mnie najserdeczniejsze wyrazy współczucia. O śmierci kuzyna Pańskiego dopiero w Szczawnicy, na wyjeźdnie, dowiedziałyśmy się z gazet. Ogromnie mi żal Pana, bo Pan tę stratę krewnego i przyjaciela pewno bardzo głęboko czuje.

Przyznam się Panu, że nawet wahałam się do Pana pisać w tej chwili... Ale, jeżeli to jest niestosowne, to Pan wybaczy. Nie mogłam Panu dać znać, że wyjeżdżamy, nie wiedziałam jak... Ciocia Wyczewska napisała do Mamy, że Jęczeka w Krakowie, Mama chciała jeszcze zobaczyć Pieniny, w których była dawno dzieckiem, i tak nagle wyjechałyśmy. Nie mogę, nie mogę, powiedzieć, jak mi jest przykro, jak strasznie przykro, że nie pożegnałam się z Panem, że Go nie zobaczę prędko... Pan nie gniewa się na mnie? Prawda? Naprawdę — nic nie jestem winna. Tak mi strasznie przykro — je ne peux pas exprimer cette tristesse, qui remplit toute mon âme... Wszystko mi się wydaje, jak jakiś sen, un rêve doux et triste, enivrant et qui me rend toute inquiète... Powierzyłam wszystko Bogu i modłę się za Pana, za szczęście Pańskie, za nasze szczęście... Ja się nie modłę tak pierw-

szy raz — tylko pierwszy raz modłę się za nasze szczęście.

Ne m'en voulez pas, że piszę tak dziecinnie, może pozornie zimno, może źle. Ja pierwszy raz piszę list do kogoś, co nie jest z mojej najbliższej rodziny — i taki list! I do Pana! Pan przecież wie, że ja się przy Panu czuję taka mała, taka onieśmielona, taka jakaś — nic... Pan jest wielki artysta, wszyscy Pana podziwiają, chwają — a cóż ja? Une pauvre fillette, która jest kontenta, że się podpisać umie. Niech Pan także zważy, że ja pierwszy raz robię coś, już nie to, że bez wiedzy Mamy, ale Pan wie... Cierpnę na samą myśl! Mama z Celiną i z Ciocią poszły coś kupować; ja udałam, że mię głowa boli, żeby móc swobodnie pisać do Ciebie — ach! pardon! — do Pana. Zamknęłam drzwi na klucz i piszę. I zdaje mi się, że cały świat wie, że piszę i co piszę, i że wszyscy ten list czytać będą, choć wiem, że go czytać będzie tylko Pan i że go Pan nikomu nie pokaże. Jednak nie śmiem nic, nic napisać z tego, co czuję. Je suis toute entière jak sparaliżowana. Mais soyez sûr: Votre Thérèse Vous aime, Vous aime bien, de tout son coeur, de toute son âme, to za mało w stosunku do Pana: elle Vous adore!

Panie Romanie! Ja nie wiem, jakie jest Pańskie życzenie, ale przypuszczam, żeby Pan chciał mieć od czasu do czasu wiadomość o mnie, a ja

o Panu jakbym pragnęła! Niestety, to jest niemożliwe. Ten jeden list piszę, aby Panu wytłómaczyć nasz wyjazd, ale więcej nie mogę. Nie zdaje mi się, żeby to był grzech, w każdym razie jednak powiem o tem swojemu spowiednikowi. Nie mogę także odbierać od Pana listów. Musimy być cierpliwi, czekać. My przyjedziemy w listopadzie do Warszawy; Pan tam także będzie — prawda? Musi Pan być! Przepraszam, przepraszam za to, co powiem, ale Pan, Pan taki rozumny, taki mądry i doświadczony, Pan to zrozumie: Pan się musi o mnie w Warszawie «starać». Wstrętne, głupie słowo! Zdaje mi się, że ubliżam sama sobie, stosując to słowo do Pana — a jednak nie może być inaczej. Pan się nie będzie starał o mnie, Pan przecież wie, Pan się będzie starał o pannę Morską, córkę państwa Morskich. Są takie formy, których nie można ominąć. Pan także musi to akceptować, że ja przy ludziach będę musiała grać trochę komedyi, nawet przy rodzicach. Znam Pana i wiem, jak to Panu będzie trudno i niemile, ale postaram się wszystko sprowadzić do *minimum*, a potem nagrodzę, nagrodzę, jeżeli Pan tylko pozwoli, jeżeli to Panu tylko przyjemość zrobi. Je ne vis que pour Vous, que par Vous... Pan się oświadczy o mnie formalnie i zacznie się szczęście. Widzi Pan, jaka jestem śmiała, przedsiębiorcza dziewczyna. Czego ja Panu nie

wypisuję! Mais je Vous aime, kocham Pana od pierwszej chwili — et Vous?..

Pewien czas musi upłynąć; powiedzieliby, że się nie znamy prawie, i prawda, że się tak mało naprawdę znamy. Mais ensuite... nie chcę Pana nudzić powtarzaniem.

Jamais je n'aurais supposé, qu'un sentiment pareil existe au monde! C'est quelque chose qui surpasse les plus audacieuses de mes pensées — Vous avez déjà aimé, pas une fois, mais moi! C'est Vous qui êtes le premier maître de mon coeur... Wiem, że Pan kochał nieraz, wiem i smutno mi... Ale słyszałam, że każda nowa miłość odświeża serce. Et Vous m'aimez? N'est ce pas?

Pozdrawiam Pana z całej duszy, z całego serca — je Vous salue de loin i będę dni liczyła do naszego spotkania. Soyez bien heureux, soyez gai, travaillez beaucoup et faites des chef d'oeuvres et n'oubliez jamais Votre petite Thérèse, qui Vous aime tant! Bien à Vous

T. M.

Rdzawiczowi opadła z tym listem ręka na kolana.

Było w nim wszystko, czego chciał, a nie było w nim nic, czegoby się nie był spodziewał. Chciał miłości Teresy i ta miłość bila z każdej linii pisma... Że nie może jej zabrać po prostu,

że trzeba będzie starać się o nią, wiedział przecie doskonale. Wogóle, jeżeli mógł odebrać list, to ona lepszego, gorętszego, pocziwszego napisać nie mogła. Rdzawicz to czuł, a jednak nie podniósł listu do ust, nie przycisnął do nich, nie ucałował, jak się to zwykle robi i jak sam nieraz zrobił.

— Zapewne, zapewne — myślał — przecie rozumiem wszystko... Jestem rozumny, mądry i doświadczony...

A chcę?... Bardzo małej rzeczy: oto żeby panna Morska zatrzasnęła za sobą drzwi w hotelu, wpadła w pierwszy pociąg idący do Zakopanego, przypędziła tutaj, przyjechała galopem do mojego domu, wtargnęła, jak huragan, do mojego mieszkania i rzuciła mi się na szyję ze spazmatycznym z radości, wzruszenia i upojenia krzykiem: «jestem twoja! ty mój! ty jesteś mój najmojszy! ja jestem twoja najtwojsza! jesteśmy swoi najswoi! najty! najja! najmy!...» Tego tylko chcę i to jest istotnie bardzo niewiele. Od tego jestem mądry, rozumny i doświadczony, żebym takich rzeczy chciał i żebym się obrażał na list, który dyktowała miłość, a pisała pocziwość przyzwoitej dziewczyny.

Prawda, Ela Rosieńska, wychowana tak samo, jak Teresa, przyszła do niego, do pracowni kiedy siedział z rewolwerem w ręku, ale Ela Rosieńska przyszła jak w hallucynacji, wie-

dziona jakby mistycznym czuciem... no i *nota bene* przyszła z ulicy Żórawiej na ulicę Marszałkowską, a chociaż to było aż niedaleko Mokotowa, jednakże było znacznie bliżej, niż z hotelu w Krakowie do Zakopanego. Ponieważ jestem mądry i rozumny...

A jednak, a jednak przecie to jest najśłodsze, najcudniejsze, najlepsze, najmiłsze i najbarziej mi ukochane stworzenie!

Wydało mu się, że to ją widzi w kołysce, z wyciągniętymi ku sobie rączkami, jako dziecko...

Gdybym... gdybym zrobił taką rzeźbę?...

Nic podobnego jeszcze nie było...

Dałbym dziecku jej twarz — i siebiebym sportretował... Jej twarz odtworzyłbym, jako dziecko. Muszą być zresztą jej fotografie z dzieciństwa. Zrobię to!...

Nowa artystyczna myśl naturalnie zmieniła odrazu całe jego usposobienie.

Rdzawicz począł całować list, wstał z krzesła i zaczął się szybko poruszać. Nie zastanawiając się właściwie, dlaczego to robi, pełen sentymentu i wzruszenia wobec nowego dzieła, które, jak zawsze, wydawało mu się, że będzie najlepszym jego dziełem, wdział kapelusz, zarzucił pelerynkę i wziął ciupiagę w rękę, poczem wskoczył w furkę, widząc doskonale wzruszenie i wrażenie, jakie powszechnie wywoływać

będzie jego nowa rzeźba, w żółtawym marmurze.

Wyskoczył w Kuźnicach i ruszył w las.

Było wczesne popołudnie. Słońce piekło, wrząc deszcz.

Rdzawicz wszedł w las i szedł spiesznie naprzód. Wykonał on już swoją rzeźbę w najdrobniejszych szczegółach, do szwów na poduszce dziecka, do guzików u swoich butów. Upajał się sam, zachwycał wyrazem swojej twarzy, pięknoscią, jaką wydobędzie z twarzyczki Teresy... Z jakąż czułością będzie to robił!.. Jak ona będzie patrzyła na tę robotę i uśmiechała się.. Jak się będzie uśmiechała!.. Kto nie widział jej uśmiechu, ten nic nie widział!.. A kiedy będzie kończył tę rzecz, będą narzeczonymi...

Pięknie, zielono szumiał las ku Kalatówkom.

Minał szalasy.

Podniecona jego wyobraźnia pracowała. Jeszcze się nie wykluwał żaden kształt z jakiejś mgławicy twórczej, ale Rdzawicz czuł, że się w jego głowie rodzi coś, co jest daleko większe i wspanialsze, niż jego poza nad kołyską z Teresą. Już z mgławicy twórczej wysunęła się ku niemu jakaś olbrzymia pierś, bohatera i zbrojna, już jakieś wielkie rycerskie oczy mignęły mu przed duszą, gdy ujrzał na ścieżce przed sobą młodą dziewczynę Góralkę. Szła szybko w górę, odświętnie ubrana, jak zwykle na halę

chodzą, dosyć wysoka, smukła, o szerokich, typowych biodrach. Nie była od niego daleko.

Rdzawicza ogarnęła chęć zobaczenia twarzy tej dziewczyny; podwoił krok.

Widmo bohaterskiej, zbrojnej piersi i rycerskich oczu znikło.

Dziewczyna usłyszała jego chód i obejrzała się: była ładna, może nawet bardzo ładna. Uśmiechnęła się, a w uśmiechu pokazała białe, śliczne zęby i zmrużyła duże, siwo-niebieskie oczy; twarz miała różową i rasową. Oglądając się, uwidoczniła także wypukłą młodą pierś.

Rdzawiczowi szarpnęły się usta.

Przyspieszył jeszcze kroku, ale i dziewczyna uczyniła to samo.

— Stój! — krzyknął Rdzawicz. — Pójdziemy razem!

— Nie pytam! Pude sama! — odrzyknęła dziewczyna, niezbyt grzecznie, ale wesoło.

Głos był ostry, świeży, drażniący. Rdzawicz skoczył z kamienia na kamień, dziewczyna uczyniła to samo.

Wydało mu się, że smutny, zdziwiony, przerażony cień Teresy zabiega mu drogę z wyrzutem:

Co ty robisz?!..

Istotnie — co ja robię?!..

Ale dziewczyna, słysząc, że zwolnił, obejrzała się, zdyszana i zaczerwieniona, i rzuciła

mu uśmiech tryumfujący, szyderczy i wyzywający razem. Z tym uśmiechem, stojąc rozkraczona na głowach dwóch ogromnych kamieni miała w sobie coś lotnego, jakby z ptaka.

Rdzawicz zatrzymał się; zatrzymała się i dziewczyna.

Widmo leśne...

Obraz! Obraz!... Las, gęsty smrekowy las, paprocie... Ale wyobraźnię twórczą poczęła tłumić wyobraźnia zmysłowa... Nic, tylko listki we włosach...

Smutny, zdziwiony, przerażony cień Teresy zabiegł mu znowu przed oczyma.

Ale w tej chwili jakaś fala krwi rzuciła się Rdzawiczowi do piersi; zawrzało w niej, oczy zamroczyły się, nozdrzami przeszedł mu świst.

Puścił się naprzód. Dziewczyna, jak sarna spłoszona, uczyniła ruch z kamieni na ścieżkę.

Wtem z lasu, z niższa, z lewej strony dał się słyszeć jakiś dziwny, przeraźliwy, wstrząsający nerwy na pół śmiech, na pół krzyk:

Huksa! Huksa! Juks! Juks! Hallohiho! — i z gęstwy wypadł ku ścieżce człowiek, ubrany bardzo wytwornie, w ciemnej marynarce i jasnych spodniach, ze słomianym kapeluszem w rękę, z blond włosami, z brodą, lat około pięćdziesięciu, bardzo wysoki i niezmiernie chudy.

Miał spodnie zawinięte i żółte, wycięte trze-

wiki, i szedł, a raczej podbiegał prosto ku dziewczynie. Dziewczyna wrzasnęła z przestachu i skoczyła w bok ze ścieżki. Mężczyzna wstrzymał się na chwilę, spojrzął ku Rdzawiczowi, patrzył moment, krzyknął:

Juks! Juks! Juks! — i wybuchnął śmiechem, po którym Rdzawicz odrazu poznał waryata. Zadrżał i ścisnął ciupagę w rękę.

Waryat tymczasem zatoczył w powietrzu półkoliste linie rękoma, jakby modelował wypukłe, krągłe kształty, buchnął znowu śmiechem i skoczył ku dziewczynie; ta wrzasnęła cieżko i puściła się pędem pod górę. Rdzawicz doskonale zauważył, że waryat naśladuje jego ruchy, które musiał obserwować, pędząc za nimi.

— Huksa! Huksa! Juks! Juks! Juks! — krzyczał, śmiejąc się i trzepiąc rękoma.

Robił wrażenie szkieletu, uganianego się po lesie za kobietą, a szkielet ten wykonywał najdokładniej ruchy Rdzawicza. Strach, trwoga, wstręt ściśnęły Rdzawiczowi żyły.

Wtem dziewczyna schyliła się, i koło głowy waryata przeleciał spory kamień.

— Juks! Juks! — krzyknął waryat, i nie przestając się śmiać, uczynił rękoma naśladowanie nieprzyzwoitego ruchu.

— Świnia! — zawołała dziewczyna, śmigając drugim kamieniem.

— Huksa! Huksa! Juks! Juks! Hallihiho!

Pędził znowu w górę.

— Nie traf go! — zawołał Rdzawicz, lękając się, że waryat wpadnie w furię, i puszczając się w górę z zaciśniętą ciupagą na pomoc ściganej.

Na głos Rdzawicza waryat przystanął; wykonał znowu rękoma półkoliste ruchy, buchnął śmiechem i krzyknął:

Erotoman! Erotoman! Huksa! Huks! Huks! Huks!...

Niespodzianie uczynił krok ku Rdzawiczowi. Rdzawicz prawie bezwiednie skoczył w górę, w stronę Góralki, która, widocznie już bez tchu, stała pod drzewem, z jakimś znalezionym po drodze grubym patykiem w ręku.

— To głupi! Uciekajcie panie, bo wom co wyrządzi — wołała.

Waryat zbliżał się, podrygując i w jakichś jakby kontorsyach całego ciała, nie przestając przytem naśladować ruchów Rdzawicza.

Nagle przystanął i krzyknąwszy z potwornym wybuchem śmiechu:

Erotoman! Erotoman! — obrócił się ku niemu plecami i począł podrygując i podskakując schodzić w las. Jeszcze z gęstwy dobiegło ich:

Huksa! Huksa! Juks! Juks! Juks! — i śmiech przerażający.

Rdzawicz stał obok dziewczyny, która sapiała ciężko.

— Rany Boskie! Jagek się przelenkla! — szepnęła. — Jezus Maryjo!

— Waryat — szepnął Rdzawicz, nie mogąc złapać oddechu.

— Waryjok — powtórzyła dziewczyna. — Jezus Maryjo!

— Daleko idziesz?

— Zabralak sie w Kondratowom isć ku siostrze. Ale jus nie pudem, bo sie bojem.

— Pójdę z tobą.

— O! Jo hań nie pude! Ani dołu nie pude na Kalatówki, ba haw we wirk, bez Białe zlecem w Zokopane i hań stela du domu. Bojem sie.

— Zkądś?

— Z Poronina.

— Boisz się?

— Nie bałabyk sie?

— No, to chodź!

Objął ją wpół; nie bronila się.

— On haw jesce moze poleci za nami?

— A może — rzekł Rdzawicz naumyślnie.

Wówczas dziewczyna poczęła piąć się w górę, daleko od ludzi.

— Jak ci na imię?

— Marysia.

— Ile masz lat?

— Osiemności. Nie słyhno go?

— Niel

— Jezusie Przenojswiętsy! Jagek sie tys przelenkla!..

Szli znów pod górę. Rdzawicz zawiesił ciupagę koło łokcia i jedną z rąk obejmował dziewczynę w pól, drugą trzymał jej dłoń.

— Z Warsiawy som, cy zkad? — zapytała dziewczyna, patrząc mu w oczy.

— Nie.

— Z Krakowa?

— Nie. Siądźmy trochę.

— Dobrze. Tagek się zgrzała, co cud! Pięknie my sie zamordowali.

Rdzawicz siadł obok dziewczyny i począł ją powoli, łagodnie pieścić. Dziewczyna śmiała się, przekomarzała i broniła. Rdzawicza poczęła ogarniać głucha i niema namiętność, w której nic się nie słyszy, nic nie może mówić, a oddech w piersiach i całe ciało robią się dziwnie ciężkie.

Przerażony, zdziwiony, smutny cień Teresy zabiegł mu znowu przed oczy...

Ale Rdzawicz już nie myślał, nie czuł, nie patrzył. Słyszał tylko oddech Marysi urywany i świszczący przez nozdrza, widział jej różową twarz i czuł ją przy sobie...

Palce ręki Rdzawicza błędziły w długich, cienkich włosach dziewczyny, on zaś leżał na wznak, bezwładny, i patrzył w niebo, które prażyło ogniem.

— Juks! Juks! Huksa! Huksa! Hallohiho! Erotoman! — tętniło mu w uszach.

Jednak to przecie u niego było tak naturalne, jak mimowolna wola życia u pani Laury po śmierci męża. Życie, póki jest, wykonywa swoje prawo bezwzględnie, podobnie bezwzględnie, jak swoje prawa wykonywa natura. Co obchodzi powódź kościoły i chaty, co obchodzi fizyczne pędy, siły i instynkty w człowieku myśl i uczucie duszy? One pragną swego wyładowania, jak powódź swojej drogi.

Zapewne... powódź ograniczają brzegi wysokie, instynktami kieruje umysł... tak, ale nie mniej powódź naprzód się rwie i naprzód rwał się instynkty.

Zresztą cóż, cóż Teresa traci? jaką szkodę odnosi?... Jednak... jednak... gdyby widziała tę gonitwę... gdyby widziała tę gonitwę uciekającej dziewczyny i za nią jego... i za nim ten szkielet ludzki, udający jego ruchy i krzyczący ku niemu:

Juks! Huksa! Erotoman!... Gdyby Teresa to widziała!... Ach!...

— Podźmé — rzekła miękko dziewczyna.

— Już ci się nic nie stanie. Na dole jest pełno ludzi w dolinie — słyszysz? Wolają na echo.

— Słyszę. Ostaniecie haw?

— Zostanę.

ZATMOCZENIE.

Dziewczyna przeciągnęła się i spojrzała na niego pociągłe, łasząco.

Ale w Rdzawiczu zamarła już krew.

— Nie idziecie?

— Nie.

— No, to... ostańcie z Panem Bogem.

Podala mu rękę.

— Leć prędko.

Dziewczyna postąpiła parę kroków w dół, zatrzymała się i obejrzała ku niemu.

Ale Rdzawicz zawołał:

— Leć! leć!

Więc odwróciła się ze spuszczoną głową i zanurzyła w gęstwinie młodych smreczków, a wkrótce wydarł się z nich ostry, przenikający śpiew rozdrażnionej tylko kobiety.

Rdzawicz leżał na wznak, patrząc w niebo. Puścił dziewczynę, bo kochał Teresę, albo, bo miał na razie dosyć Marysi... Wstał z ziemi i uderzając toporzyskiem o głazy, począł iść przed siebie w górę. Erotomanem nazwała go niedawno Kamilla Naborowska, a w głosie jej były smutek i niechęć. «Erotoman» — krzyczał na niego ten waryat, naśladując jego ruchy. I Rdzawicz szedł naprzód w gąszcze leśne, jakby się chciał kryć, myśląc, że są takie przeklęte natury, które muszą uciekać przed ludźmi i jak gdyby od siebie samych, a są tylko takie, jakie są...

ROZDZIAŁ V.

I dotąd nie wiem, jak się wszystko stało,
Alem ją tu czuł na mych rękach białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach... ¹⁾

...Alem ją tu czuł na mych rękach białą, sercem bijącą, brylantową w oczach...

Teresa zakłada ręce za tył głowy, opiera się plecami o poręcz krzesła, na którym siedzi przy biurku w pokoju hotelowym w Krakowie i myśli. Jest późny wieczór; mama, ciocia Wyczewska i Celinka poszły do teatru, ją ciągle «głowa boli». Od jednej różowej lampy panuje w pokoju półmrok.

...Alem ją tu czuł na mych rękach... białą...

Dziwne uczucia owładają Teresą. Członki jej obejmuje jakaś bezwładność, chciałaby się gdzieś położyć, oddać pod coś, czego ani dokładnie wyobrazić sobie, ani nazwać nie umie. Coś, coby ją ogarnęło, owionęło sobą... Coś, coby jej

¹⁾ Słowacki.

zasłoniło sobą to hotelowe lustro, ten sufit z niebieskim szlakiem, światło tej różowej lampy... Coś, coby jej zagłuszyło sobą turkot uliczny... Coś, coby zaćmiło ten księżyc, który znać na storze okiennej... Coś, coby zasunęło za siebie cały świat...

...Sercem bijąca, brylantowa w oczach...

Teresa przewiesza w tył głowę; włosy rozpuszczone spadają ku ziemi. Słodocy, słodocy jakiejś chce jej pierś, chcą jej usta, jej całe ciało. Jakichś dreszczów, które przenikną jej żyły, zadrgają w jej kościach, zadrżą w nerwie każdym. Zdaje jej się, że usypia, szepcąc: słodocy... słodocy...

Nie zna nic, ale przeczuwa wszystko. Nie jest to plastyczny kształt, który się przedstawia jej oczom, nie jest to reprodukcja widzianego, ale jest to wizja nieokreślona, dzieło czystej wyobraźni, niesłychanie potężna i napierająca gwałtownie...

...Słodocy... słodocy... — zaczynają naprawdę szeptać usta Teresy.

Chwila przeżywa.

Nagle pochyla się ku biurku, chwytą za pióro i na ćwiartce papieru leżącej przed nią zaczyna pisać prędko i porywczo:

O moje złoto! o kochanie moje!

Ja dotąd nie wiem, jak się wszystko stało!

Zkąd przyszły do mnie dumne oczy twoje?
Zkąd ty przyszedłeś i wziąłeś mię całą?

Chciałabym wiatrem być, co w polu lata,
By zawsze lecieć za twą drogą głową,
Od wszystkich bólów, od wszystkich trosk świata
Osłaniać ciebie osłoną tęczową.

Gdybym ja słońcem na niebiosach była,
Zlałabym na cię wszystkie blaski moje,
Jak matka w dziecko w ciebiebym patrzyła,
W twe smutne oczy i na czoło twoje.

Gdybyś zapragnął, jabym duszę dała,
Aby pragnienie twoje zaspokoić;
Gdybyś zażądał: życiebym oddała,
Aby spełnienie żądania podwoić.

Gdybyś był wesół, mnieby się zdawało,
Że się świat cały kolo mnie raduje;
Gdybyś był smutny — ach! niech moje ciało
I duszę moją srogi ból przejmuję,
Byleś ty tylko nie cierpiał, o drogi!...

Teresa zatrzymała się; inspiracya pierzchła.
I dotąd nie wiem, jak się wszystko stało...
Oto tam, w górach, w nocy... Co było w gó-
rach, w nocy?... Sen?... Szli razem, ręka przy
ręce, nieledwie skroń przy skroni... Cyt!... Co
było w górach, w nocy?... Otchłań czarna...
Przepaść pod nogami, nieznaną, przeraźliwą...
Jego ramię, mocne, pewne... Kocham... Ko-
cham...

Potem rano jasne, błękitne... Jasne, błękitne rano nad jeziorem. Przysięgam być żoną twoją na te góry, na ten świat, na...

Tak, pamięta doskonale, nie dokończyła swojej przysięgi...

Chciała powiedzieć — strasznego, strasznego chciała użyć zaklęcia: na Boga — i zacisnęło jej się gardło...

Lęk jakiś, jakaś groza zacisnęły jej gardło.

Jednak tak! tak! na Boga przysięgła, na Boga przysięgła być jego żoną!...

Nie wymówiła tego słowa, ale wymawia je teraz, głośno, wyraźnie: na Boga przysięgam być żoną Romana Rdzawicza...

Jest to myśl, ale powiedziana głośno, wyraźnie.

Potem — co się dalej stało?

Potem szli z sobą wiele, tak wiele, ile tylko było można, aby ludzkiej uwagi nie zwrócić, ach! ale tego było tak mało naprawdę! Naprawdę niewiele sami z sobą szli z powrotem do Zakopanego i niewiele sami z sobą mówić mogli. Powiedzieli sobie jednak wszystko, wytłumaczyli sobie wszystko. Myśleli o sobie, odkąd się ujrzeni... Poczęli sobie wyznawać, że się kochają, po powiedzeniu sobie o tem. Poczęli sobie opowiadać i tłumaczyć, a w miarę, jak sobie opowiadali, Teresa zaczęła się coraz więcej zachwycać Rdzawiczem i czuła, że on

się nią zachwyca. To ją zupełnie upajało. Wszystko stało się jasne i proste. O tańcu z pijaną ulicznicą pod jej oknem Rdzawicz naturalnie nie wspomniał, a jej się to nawet zaczęło podobać, taka pustota i swawola w tak wielkim i genialnym człowieku. Czytała, że Byron, Heine i Musset wiele sobie pozwalali, co nie przeszkadzało im być geniuszami; Rafael był sławny lampart, tak samo Grottger... Wykazali sobie jasno, że wszystko musiało ich do tego doprowadzić, że sobie powiedzieli, iż się kochają.

I to się stało tak cudownie, tak słodko, tak nadzwyczajnie, tak upajająco...

I te ich głosy własne, ta miękka muzyka ich własnych głosów...

Niech się rozmaici panowie oświadczają rozmaitym pannom w tańcu, podczas kolacyi, na konnych spacerach — Roman Rdzawicz oświadczył się w górach, w czarną noc...

Czy niema w tem trochę teatru i oleodruku?

O nie! Ani w tem, co się stało, ani w tem, co ona o tem myśli, niema teatru. Tak mogłoby wyglądać dla kogoś, nie było dla nich. Było przecież takie proste, takie naturalne, tako samo z siebie idące, tak konieczne.

Ach! Jak smutno, jak smutno on powiedział: «i to wszystko»...

O nie! nie wszystko! nie wszystko! Oto teraz ona jest jego na zawsze, na wieczność...

Dlaczego on powiedział: «i to wszystko»?

Bo nie widział, bo nie wiedział, że ona go kocha...

A jakie straszne, jakie strasznie bolesne były te słowa: «teraz niech przyjdzie śmierć»...

Wtenczas ona zrozumiała, wchłonęła to w siebie, że on ją kocha i jak ją kocha. Nie przeczuwał, że ona mu powie: «tak» — więc chciał śmierci...

O drogie, jedyne, kochane słońce moje! O drogi, jedyny, kochany on, on!

Teresa zamyśliła się.

Tak, trudności pewne będą... Niewątpliwie on rozumny i doświadczony, przewiduje je tak samo, jak ona, jest na nie przygotowany i na każde *przeciw* ma swoje nieodparte, absolutnie zwyciężające *sa*. Przedewszystkiem wiadomość i myśl o niej zaskoczy rodziców bardzo niespodzianie. Nigdy nie przechodziło nawet przez głowę nikomu w domu, i jej samej również nie, aby wyjść za mąż w innej sferze, jak tylko w tej, do której się należy z urodzenia. Następnie, co jest zupełnie zrozumiałe, rodzice życzyliby sobie mariażu jak najświetniejszego. No, ale w danym razie wyjątek od ogólnej reguły jest zgoła nadzwyczajny. Artyzm, znakomite nazwisko w sztuce, mają swoje wy-

jątkowe przywileje. Karol V podniósł pendzel Tycyanowi. Rodzicom chodzi bardzo o blask. Zapewne, że gdyby wyszła za którego z hrabiów Tęczyńskich, lub którego z książąt Zasławskich, czy Zbarazkich, dodałoby to ogromnie blasku ich domowi, ale nazwisko Rdzawicza opromieni go inaczej wprawdzie, ale szerzej, głośniej i oryginalniej. Tęczyńskich i Zasławskich są tuziny, Rdzawicz, tej miary rzeźbiarz, w całym kraju jeden. O Tęczyńskich i Zasławskich wie trochę arystokracja w Rosyi, Austryi i Francyi i to niewiele, Rdzawicz ma nazwisko znane, gdziekolwiek kwitnie sztuka.

Majątek — bez wątpienia, majątek jest rzeczą bardzo ważną, i tylko bardzo nierozsądny człowiek może ten wzgląd w małżeństwie lekceważyć. Gdy jednak ona ma tyle, że w każdym razie stanowi to podstawę bytu, a on zarabia: to w porównaniu do szczęścia, jakie daje miłość dwojga dobranych serc, czemże jest bogactwo choćby największe?

Stosunki rodzinne Rdzawicza? Jest oddawna sierotą i blizkiej rodziny właściwie nie ma. A jeżeli ma dalszą, jeżeli to są nawet mali właściciele ziemscy, albo dzierżawcy, lekarze i adwokaci, nawet może jacyś drobni urzędnicy, lub przemysłowcy: to nawet musi być wiele uroku w jakimś niskim dworku na wsi, w tym rodzaju, jak u Kąkolewickich w Przemszewie,

albo u Ustwiczów w Koralewie, lub w jakimś skromnem, schludnem mieszkanku z czterech pokojów, gdzie do stołu podaje dziewczyna w czystej, niebieskiej bluzce, a od czasu do czasu jest mała herbatka z cielęciną na zimno. Miłe tam muszą być wieczory Bożego Narodzenia, miłe Święta Wielkiej Nocy. Coś w tym rodzaju, jak w angielskich powieściach. Czy mogło być gdzie milej, niż w kilku cichych pokojach ubogiej pani March z powieści «Małe kobietki» i «Dobre żony»?

Zresztą u nich będzie w każdym razie dom zamożniejszy, będą więc robili prezenty na kolędę, na imieniny, na chrzciny. Niezawodnie są jakieś dzieci w rodzinie Rdzawicza, miłe, różowe, nieśmiałe. Ona, hrabianka z domu, będzie miała swój odrębny urok. No, naturalnie, że tego ułożenia, umiejętności znalezienia się, taktu, wdzięku, nie może mieć ani jakaś pani mecenasowa Rzepecka, ani jakaś pani Podrębska gdzie z Małej Woli, albo 'Owsianowic... Będzie z pewnością podziwiana, lubiona i kochana. Będzie się starała być dobrą, być ujmującą, uprzedzającą dla wszystkich. Wciążnie w te stosunki rodziców, może i krewnych. Może ich dom stanie się właśnie takim łącznikiem między różnemi, obcemi sobie dotychczas sferami. Może to nawet mieć obywatelskie znaczenie. A pozycyi swojej nie straci, bo naprzód

zostanie zawsze urodzoną hrabianką Morską, a powtóre kto jest żoną Romana Rdzawicza, dla tego nie ma progów zbyt wysokich, a nawet mogą się otworzyć takie drzwi, którychby nie otwarły ani świetne nazwisko Tęczyńskich, ani mitra Zasławskich, gdyby sam człowiek nie był czemś więcej, niż zwykły szary ogół umysłów.

Myśl Teresy idzie dalej i pograża się w słodkich marzeniach.

Dzieci — jego dzieci... Jakżeby je kochała, jakżeby baczyła bystro, czy przelał się w nie geniusz ojca, czy odziedziczyły go po nim? Jakaby to była rozkosz dla niej, dla dziadków, dla ciotek i wujów, śledzić rozwój dzieci takiego człowieka!... Każde dziecko jest szczęściem, ale jego dziecko!... Ach! i jego pieszczota, jego pieszczota!... To nie może być to, co dać może zwykła, codzienna miłość... To musi być coś takiego, czego sobie nawet wyobrazić nie można... I to obcowanie z nim, życie z nim razem, w ciągłym podziwie, z ciągłym poświęceniem swego malutkiego ja dla ogromu ducha tego człowieka, przed którym marmur gnie się i kruszy...

Nie, nie! Rodziców zaskoczy ta wiadomość, ale potem, gdy ochłoną, gdy się oswoją z nią, widząc szczęście córki i tak go pragnąc dla niej, jak pragną, będą niewątpliwie szczęśliwi. Nie

we wszystkim wprawdzie chciałaby ich zupełnie naśladować: naprzykład ojciec może jest trochę za wyniosły w stosunku do ogółu, a może trochę za grzeczny i uprzejmy względem magnatów i urzędników, a mama może zanadto absolutnie potępia wszystko, co nie jest aprobowane przez księży, zwłaszcza przez jezuitów: ale są tacy dobrzy, tacy zacni, tacy poczciwi i szlachetni!... To trudno — każdy jest dzieckiem swojej epoki.

Teresa czuje, że myśli bardzo rozumnie i rozsądnie.

Jak dobrze, że napisała list do Rdzawicza, że zdobyła się na tę odwagę! Teraz ma on dokument w ręku. Byłaby skompromitowana, gdyby po takim liście zmuszano ją naprzykład do cofnięcia się. Zresztą przysięgła — nikt na świecie bez grzechu śmiertelnego nie może żądać złamania przysięgi, tem mniej zmuszać... Ale po co o tem myśli, kiedy nic z tego nie zajdzie, zejść nie może?...

Ten list! Ten list! Ileż wyrazów tłoczyła się jej pod pióro, ileż uczuć, ile myśli! Ale była się. Hamowała się, ile mogła. Wstydziła się. Całe jej ciało, całe jej jestestwo ogarniał jakiś wstyd.

Tak, prawda, taki wstyd dziewiczy, to musi być jakiś urok... wyjątkowy urok... to się czuje...

Boże...

I jakże to będzie brzmiało wtenczas? *Wien-
csas...*

Teresa bierze znowu pióro i na ćwiartce li-
stowego papieru pisze:

Teresa z Morskich

Romanowa Rdzawiczowa.

Nie, może tak: Z hr. Morskich

Romanowa Rdzawiczowa.

Albo: Teresa z hr. Morskich Rdzawiczowa.

Lub całkiem prosto, najprościej: Teresa Rdza-
wiczowa — albo: Romanowa Rdzawiczowa.

Tak, tak, tak najlepiej: czy nie wystarczy
być Romanową Rdzawiczową? A przytem jego
tylko imię, jego tylko nazwisko...

I Teresa czuje jakąś chęć, nie jakąś poprostu
potrzebę zniknięcia w tym człowieku i zgubie-
nia swojej istoty w istocie kochanego człowieka,
utopienia swojej kobiecości w mężczyźnie, po-
trzebę przestania istnieć samoistnie, a zacząć
żyć przez życie i egzystencyę kochanego męż-
czyzny.

Wszystko z nim, wszystko dla niego. Czy
może być co słodsze, niż niewola miłości, niż
niewola, którą się z najwyższem szczęściem
własnowolnie nakłada sobie i znosi, jak rozto-
pienie się w kimś innym?

Będą się tak kochali, tak kochali oboje! On
ją, jak słońce kocha ziemię, ona jego, jak zie-
mia słońce...

Głosy przed drzwiami: mama z ciocią Wyczewską i Celinką z teatru. Ach! Jest także stryj Leon! Taki kochany człowiek i wielbiciel Rdzawicza... Przyjechał widać z Zakopanego.. Może co o Romku opowie...

O Romku...

Teresa szybko wkłada w teczkę swój wiersz i zapisaną nazwiskiem swoim i Rdzawicza ćwiartkę i wybiega do drugiego pokoju. We drzwiach spotyka Celinę, która przychodzi zdjąć okrywkę i kapelusz i jest zajęta po drodze wyjmowaniem szpilki z kapelusza. Zdjąwszy kapelusz i powiesiwszy okrycie, Celinka idzie ku lustru nad biurkiem poprawić włosy. Spostrzega wystający różek papieru ze słowami: «cierpiał, o drogi!» To ją zaciekawia, otwiera teczkę i czyta wiersz: »O moje złoto, o kochanie moje...«

Odwraca ćwiartkę i czyta: Teresa z hr. Mor-skich Romanowa Rdzawiczowa...

Co?! Co?!

Czyta dalej.

Zamyka teczkę, wysuwając różek papieru ze słowami: «cierpiał, o drogi!» — tak samo, jak było, dokończa poprawiać włosy i wychodzi do saloniku, który dzieli ich pokój od pokoju mamy i cioci Wyczewskiej.

Stryj Leon, który przyjechał z Zakopanego, opowiada Teresie o śmierci Jerzego, przyczem

wtrąca od czasu do czasu nazwisko Rdzawicza. Celinka obserwuje bystro Teresę i dostrzega, że to nazwisko sprowadza na jej twarz pewien rodzaj bladego rumieńca, bo jej biała, matowa twarz prawie się nie czerwieni. Postanawia nic nikomu nie mówić, ale uważać. Nic nikomu nie powie z dwóch powodów: raz dlatego, że otwarła cudzą teczkę, czego niepowinna była robić, powtóre, że czuje przyjemność w wiedzeniu jakiejś tajemnicy wogóle, czyjejś tajemnicy w szczególności, tajemnicy Teresy tem więcej, takiej tajemnicy Teresy najwięcej. Teresa jest naturalnie dla młodszej o pięć lat Celinki przedmiotem ciągłej śledczej obserwacji. Obserwuje, jak ona się zaokrąglą i wypełnia w kształtach, jak się staje «dorosłą», obserwuje jej wyrazy twarzy i ruchy, zwłaszcza, kiedy jest w towarzystwie panów, których także wyrazy twarzy i ruchy obserwuje, zastanawia się, co się może w Teresie panom podobać i co się może w panach podobać Teresie, obserwuje jej taniec i wie, że już tańczy lepiej, a kwestya zamążpójścia Teresy, o czem jest od kilku lat ciągle mowa w domu, interesuje ją ze wszystkich względów najbardziej. Teresa jest dla niej po prostu doświadczeniem życia i nauką, co i jak się robić powinno, a czego i jak robić się nie powinno. Otóż przedewszystkiem powinno się zrobić dobrą partye, a nie powinno się zrobić złej partyi. To

jest to, czego się już nawet w domu nie sły-
szy, tak wsiąkło w ludzi, po prostu w ściany
i w meble.

Żeby ktoś będący hrabianką Morską, pisał
sobie bilety, jako pani Rdzawiczowej, to jest
rzeczą wprost niesłychaną! Często wymawiane
w domu słowo *mezalians*, zagrzmiało w małych,
cienkich, różowych uszach Celinki. Teresa albo
się bawi, albo jest głupia, jak but, czyli jak
każdy, kto robi mezalians.

Celinka obserwowала Rdzawicza i Teresę
w Abbazyi; widziała, że byli z sobą dobrze, po-
tem źle. Obserwowała ich znów w Zakopanem,
ale oprócz tego, że wolą rozmawiać ze sobą
nawzajem, niż z kim innym, nic więcej nie wy-
śledziła. Rozumiała, że Rdzawiczowi pochlebia
hrabiostwo Teresy, a Teresie sława Rdzawicza,
że się oboje sobą nawzajem wyróżniali i przy-
ozdabiali. Ale coś podobnego.

Nie, Teresa się bawi... I ten wiersz i te bi-
lety, to jest zabawa. Bywają o tem wprawdzie
rzucane półsłówka, że Teresa nie jest wyjątkowo
rozumna, ale znowu tak głupia, żeby się ko-
chać w Rdzawiczu i chcieć iść za niego sta-
nowczo nie jest.

W każdym razie Celinka, która słyszy o so-
bie, że ona to będzie prawdziwie rozumna ko-
bieta, i która sama z siebie czuje jakąś wyż-
szość umysłową nad Teresą, większy w sobie

spokój, większy rozsądek i więcej «cech rasowych», jak mówi ojciec postanawia czuwać nad Teresą. Język jej nawet jednak nie świerzbi, żeby wypaplać w sekrecie naprzykład bratu Ignasiowi, co czytała; wie, że ma «rasową dyskrecję», i ceni to w sobie. Idealem Celinki jest ciotka Eufemia Wyczewska, siostra jej matki, a osoba ta nieraz wygłasza zdanie, że nigdy się nie wie, co z czego będzie i na co się co przydać może, oraz, że człowiek, który coś o kimś wie, dostaje go do pewnego stopnia w swoją władzę; dalej zaś, że kobieta dystygowana nie powinna się gorączkować i z każdą rzeczą lecieć zaraz do kumoszki-przyjaciółki, jak jaka pani szlachcicowa, albo aptekarzowa.

Teresa nie była w Opolu przeszło dziesięć miesięcy. Cieszyła się wszystkim i witała ze wszystkim. Wielki park, pełen starych cieni-tych drzew, zielonych gazonów, szpalerów i kwiatów, poprzecinany pręgami wody, z dużym stawem, pełnym nenufarów i łabędzi, wielki sad owocowy i ogród warzywny, bażantarnię, stajnię, oborę, owczarnię — obiegła zaraz pierwszego rana. Biegały za nią psy, młode i stare, legawe suki i wyżlice prezentowały jej swoje kłapouche, wrzaskliwe, głupie i zabawne szczenięta; koty, bojąc się psów, spoglądały ku niej

uprzejmie z okien kuchennych i z wysokich parkanów. Witła się z nią służba i każdy, kogo spotkała; cudowny jej uśmiech nie scho-
dził jej z ust. Nie schodził zresztą i do opol-
skiego słońca, do powietrza, którem oddychała.

W pierwsze południe zaraz poszły obie z Ce-
linką do starego proboszcza, Litwina, księdza
Grymajtysa, który miał przysłowie «Nie daj
Panie Boże, daj Panie Boże» i był wielbicielem
Napoleona.

Więc na ścianach odnalazła Helena dawno
znajome sobie sztychy bitew i przyjęć dworskich:
Napoleon na moście pod Arcole ze sztandarem
w ręku i Napoleon ranny, jak wsiada na ko-
nia; jak mu grenadyerzy ofiarowują tytuł ka-
prala i jak do jego namiotu przychodzi z ka-
peluszem w ręku cesarz austriacki; rozmowa
Napoleona z Metternichem przed bitwą pod
Lipskiem, portret Napoleona na jednym szty-
chu *en face* i z profilu, portret cesarza i cesa-
rzowej, cesarza i króla rzymskiego, Napoleon
pod Waterloo, Napoleon i marszałkowie żąda-
jący abdykacyi; Napoleon na wyspie św. He-
leny w kapeluszu plantatora ryżu i na łożu
śmierci, z wiernym marszałkiem Bertrandem,
placzącym u jego nóg; wreszcie grobowiec wiel-
kiego cesarza w Paryżu.

Ksiądz Grymajtys, okrągły, tłusty, rumiany
staruszek, w okularach, jasny i pogodny, grał

właśnie w szachy przed drugim śniadaniem, jak to miał zwyczaj, ze swoim wikarym, chudym, żółtym, pomarszczonym i trochę brudnym księdzem Strzałkowskim. Ucieszył się ksiądz Grymajtys niezmiernie z przybycia hrabianek, które chrzcil i do pierwszej komunii gotował, i kiedy weszły, począł wołać:

— O to to to księżu wikary, patrzaj ino, jak to porosły! Nie daj Panie Boże, daj Panie Boże! O to to to! Witajcie, dzieci, witajcie!

I brał kolejno hrabianki w ramiona i całował w głowy i w lica. Potem uczęstował je słazowemi cukierkami i tabaką. Sprytna Celinka udala, że zażywa, Teresa zaś wciągnęła w nos i kichnęła trzy razy, aż się rozległo po saloniku, ku wielkiej radości księdza Grymajtysa, który, nie przypuszczając oszustwa w Celince, spojrział na nią nieufnie i z pewnym żalem. Jeszcze się to nie zdarzyło, żeby po tej tabace nie kichano... Nie śmiał jednak częstować Celinki drugi raz z obawy, że się znowu skompromituje.

«Nie kichła, nie kichła, proszę — myślał. — Nie kichła... Czegosi mało, albo czegosi nadto... Ou, powiem japytkarzowi, ino przyjedzie na karty, powiem mu. Ou!... A tamta kichła, kichła... Zawdy była miętszo, miętszo...»

Tak myśląc, wziął ze stołu numer *Tygodnika Ilustrowanego* i powiedział:

Pokożem wom tyż kopijom gipsowego szkicu jakiegosi wielkiego rzeźbiarza, nigdy se nazwiska spamiętać ni moge, ucieszyło mie to wielce, bo widzem, że Napoliona pamięć nie ginie, kiedy go jeszcze rzeźbiom i malujom. Patrzcie, dzieci.

Sztynch przedstawiał zwłoki Napoleona przykryte płaszczem, nad nim walczące jakieś furye z olbrzymią niewieścią postacią w wieńcu laurowym na głowie, ponad niemi spokojna, niewzruszona śmierć. Teresa rzuciła okiem pod sztynch i gorąco uderzyło jej do twarzy: sztynch był kopią szkicu Rdzawicza.

Ksiądz Grymajtys dostrzegł kolory na twarzy Teresy i spytał:

Co ci to gorąco, Tereniu?

Celinka spojrziała na nią z pod rzęs i rzekła, sznurując usta:

Terenia zna tego rzeźbiarza.

— Zna?! — zawołał zdumiony ksiądz Grymajtys. — Ou! To mu też podziękuj, podziękuj ode mnie, starego księdza z Opola, podziękuj mu, a poproś, coby to ukończył, bo tu piszom w opisie, że to ino szkic dopiero gipsowy, nie całkiem nawet wymodelowany. Poproś-że go, niech ukończy, boby szkoda była, ou, szkodaby była, wielga szkoda...

Potem kazał gospodyni przygotować kawę, a sam tymczasem jał panny oprowadzać po

swojej cieplarni, pokazywać rzadkie storczyki i szerokolistne palmy, i różne dziwne zamorskie rośliny, potem wwiódł je do ptaszkarni, gdzie różnobarwe tęczowe kolibry wisiały w klatkach obok czerwonych kardynałów, pomarańczowych i zielonych papug i szarych, cudnie śpiewających drozdów skalnych.

We dwa dni później, drugi z rzędu brat Teresy, hrabia Stefan Morski, wysoki, tęgi z rudawym odcieniem zarostu brunet, lat koło dwudziestu trzech, wpadł wieczorem jak bomba do salonu, prosto, jak stał, w strzeleckim ubraniu, wołając:

Wiecie, kogom poznał? Wiecie, kogom poznał w Toporowie u Józefów Wyczewskich? Księcia ordynata Samuela Wiśniowieckiego! Cała okolica o nikim tam nie gada, tylko o nim. Przyjechał do Tadzia Wyczewskiego na kuropatwy, bo to jego kolega szkolny i gdzieś się tam za granicą spotkali. Strzela, jak król!

Wiadomość zelektryzowała wszystkich. Hrabianka Olga Kmitówna, córka chrzestna hrabiny Wyczewskiej, która bawiła podczas kuracyi rodziców u wód, w Opolu, a w której się kochał starszy brat Teresy, Zdzisław, śliczna, smukła szatynka, krzyknęła żywo:

Gadaj, jak wygląda!

Ze Stefanem Morskim, znając się od dzieci i w równym prawie wieku, mówili sobie: ty.

— Przystojny, wysoki, ciemny szatyn, prawie brunet.

— Zkądże on się tu wziął? — zapytał hrabia Morski.

— Mówię papie, że do Tadzia przyjechał. Co za strzelby przywiózł! Zresztą on do kuropatw strzela jak arcyksiążę Franz Ferdynand: kulami ze sztucerka.

— Cóż Józefowie na takiego gościa?

— *Aux anges!* Topnieją!

— Muszę tam pojechać jutro — rzekła, podnosząc oczy z nad haftu hrabina Wyczewska, wdowa bezdzietna, osoba pełna planów i ambicji, zwłaszcza rodzinnych.

Hrabina Morska popatrzyła na nią pytająco.

— Długo zabawi? — spytał Zdzisław.

— Powiada, że nie wie jeszcze, ale pewno kilka tygodni.

Zdzisław Morski rzucił szybko oceniającem okiem na Teresę, następnie niespokojnem na Olgę Kmitównę, a potem zwrócił się do ojca:

Co papa myśli, żeby go i do nas na kuropatwy zaprosić?

W okolicy Toporowa, a następnie wogóle w całej okolicy nie gadano o niczem innem, tylko o księciu Samuelu Wiśniowieckim. Ten młody pan, dziedzic olbrzymiej fortuny, pe-

wnego razu zamknął książkę, którą trzymał w rękę, Gervinusa czy Schlossera, musnął czerniejącą wąsik i oświadczył swojemu otoczeniu:

J'en ai assez. Basta. Proszę mi spakować rzeczy. Jutro jadę.

Pojechał i nie było go lat sześć. Wrócił jako dwudziestoosmioletni mężczyzna, ładny i urodziwy. Zwiedził cały świat i wydał niesłychaną moc pieniędzy. Dochodziły o nim wieści z Paryża, z Londynu, z Monte Carlo, z Algieru, z Egiptu. Potem mniej dokładne ze stanu Texas. Potem jeszcze mniej dokładne z Bombaju. Usłyszano nagle, że organizuje wyprawę w głąb Afryki, że podniósł na ten cel z pozaordynacyjnych funduszów trzy miliony guldenów. Okazało się to nieprawdą.

Potem jakiś czas przestano o nim słyszeć, aż pewnego razu do zamku w Wiśniowcu przysły olbrzymie paki skór we wszystkich stronach świata ubitych lwów, tygrysów, amerykańskich potwornych szarych nidźwiedzi i australijskich kangurów. Nagle zjawił się znów na horyzoncie. Zawitał do Paryża. Opowiadano, że w Brukselli odbył pojedynek o jakąś śpiewaczkę, w którym strzaskął przeciwnikowi, jakimś księciu hiszpańskiemu, pistolet w rękę. Ale i to okazało się nieprawdą. Znów wyjechał. Nazwano go «latający Holender». Nagle przysły wiadomości, że ożenił się z cudownej urody

królowną indyjską, czy arabską i że ją wiezie do Europy. Przywiózł jednak tylko trzech murzynów i dwie małpy. Mnóstwu matek i ciotek, zabiły serca. O księciu Samuelu Wiśniowieckim ledwie śmiano wogóle marzyć, ale marzono jednak. Prawie żadna matka nie myślała o swojej córce, że jest dość wielką partią dla Wiśniowieckiego, ale każda uważała, że nie jest wcale gorszą, jak jakakolwiek inna panna. Żadna nie byłaby się śmiała nastęczać ze swoją, ale każda by się była rozpychała łokciami, aby swojej utorować drogę, gdyby nastęczały się inne. Wszystkie matki z wielkiego świata stały ze swojemi córkami, jak dżokeje u startu, uważając jedna na drugą, gotowe wszystkie puścić się z kopyta, gdyby jedna ruszyła. A córki, jak się ktoś niezręcznie wyraził «grzebały ziemię nogą i żuły wędzidła».

Książę Samuel Wiśniowiecki nie miał już ojca; miał tylko matkę, księżnę Małgorzatę z książąt Koreckich; zresztą był jedynakiem i ostatnim z rodu.

Księżna Małgorzata przyjechała do Józefostwa Wyczewskich za synem tego samego dnia, kiedy z Opola przybyła tam hrabina Eufemia Wyczewska. Te panie, które się bardzo dawno i dobrze znały, przywitały się nader serdecznie. Książę Samuel zachwycił hrabinę Eufemię.

— Cóż książę teraz myśli z sobą robić? —

spytała go pani Wyczewska, kiedy we troje wyszli po herbacie do parku toporowskiego.

— Mówże mu: ty — przerwała księżna Wiśniowiecka. — Mnie mówisz »ty«, a jego będziesz tytułowała?

— Więc cóż myślisz, Samuelu? — powtórzyła z rozkoszną dumą hrabina Wyczewska.

— Teraz? Chciałbym się przedewszystkiem ożenić i mieć syna. Jak sobie pomyślę, że nasza ordynacya miałaby przejść na tego durnia Wisia, to mnie dyabli biorą! Jak sobie to zrzucę z głowy, to dopiero pomyślę, co będę robił.

— No, tobie się chyba ożenić będzie łatwo. Ty z twoją pozycyą, z twojem nazwiskiem, z twoim majątkiem, ty...

— Nie tak łatwo, jak pani myśli, — przerwał księżę Samuel litanie: *ty i twoje* — nie tak łatwo. Ja nie chcę byle czego.

— Któżby miał prawo żenić się nie z byle kim, jak nie ty? Ty możesz wybierać nieledwie jak król.

Pani Wyczewska podkreśliła słowo «król», bo Samuel Wiśniowiecki pochodził z tej samej rodziny, co król Michał, choć z bocznej linii.

— No, zapewne, — rzekła księżna Małgorzata — że nie ma takiego domu w Polsce, gdzieby z ciebie nie byli pyszni i szczęśliwi.

Księżę Samuel potrząsł głową. — Nie chcę żadnych takich księżniczek, jak naprzykład obie

moje siostry cioteczne: Bipcia i Pipcia Koreckie, z których Bipcia nie ma podniebienia i lewego biodra, a Pipcia włosów i, dla odmiany, żadnego z bioder; ani takiej Tęczyńskiej, która do każdego przewraca oczy, bo jej się zdaje, że jej dlatego, że Tęczyńska, wszystko wolno. Ja na-przód chcę mieć syna, a potem chcę wiedzieć, że ten syn jest mój. Ożeniłbym się nawet z prostą szlachcianką, byle była przystojna, zdrowa, uczciwa i z porządnej rodziny.

W hrabinie Eufemii Wyczewskiej, osobie pełnej planów i rodzinnych ambicij, zadrgało serce. Dobre jakieś fatum uczyniło ją matką chrzestną Olgi Kmitówny, z którą chciała ożenić Zdzisława, drugie dobre fatum sprowadziło księżnę Wiśniowiecką za synem do Toporowa... Hrabina Wyczewska wiedziała, co taki książę Samuel może rozumieć pod «prostą szlachcianką z porządnej rodziny». Więc choć uczuła się dotkniętą w dumie hrabiów Morskich i hrabiów Wyczewskich, pomyślała, że gdyby taki książę ożenił się z Terenią, to te domy podskoczyłyby o trzy sążnie w górę w znaczeniu w świecie, to jest o te trzy sążnie, których im właśnie brakło.

— Mama mi się przecież nie będzie sprzeciwiała? — przymilił się Wiśniowiecki do matki.

Księżna ruszyła lekko głową, mówiąc:

Mnie przedewszystkiem chodzi o twoje szczęście. Majątku nie potrzebujesz, a byłeś się

nie żenił poza swoją sferą, to raczej patrz na dziewczynę, niż na co innego.

Potem księżę Samuel poszedł spać, był zmęczony polowaniem, a panie długo rozmawiały z sobą w ogrodzie, śliczny i ciepły był bowiem wieczór.

Nazajutrz rano, skutkiem tej długiej pogawędki, powiedziała księżna Małgorzata do syna, który się wybierał na przejażdżkę konną:

Wiesz co, że mógłbyś trochę przestać pułkać z tych dubeltówek... Jużes dość nadziwił szlachciców, że strzelasz, jak w cyrku i poznać tu trochę ludzi.

— Gdzież naprzykład?

— Mógłbyś pojechać gdziekolwiek. Są tu zaraz niedaleko Morscy, ona siostra Eufemii Wyczewskiej. Tam są ładne panny domowe, bawi także córka Idy Kmitowej. Mili też mają być młodzi Morscy. Chcą cię prosić na polowanie w przyszłym tygodniu. Nie czekaj i pojedź poprostu.

— Dobrze. Mogę zaraz pojechać. Walek! Koń gotowy?

— Gotowy, proszę księcia pana.

— No, to jadę.

— Jakże tak? Z pierwszą wizytą? W kurtce i wysokich butach?

— Ech, mammo...

Uśmiechnęli się do siebie. Księżna Malgo-

rzata troszeczkę pobłażliwie i troszeczkę pogardliwie wywinęła koniec dolnej habsburgskiej wargi.

Samuel wsiadł na konia.

— *Adieu*, mamó! — schylił się z siodła i pocałował matkę w rękę.

— *Adieu!*

Księżna Małgorzata patrzyła z dumą i czułością na smukłą postać syna, który, kręcąc na hiszpański sposób w jednej ręce papierosa, jechał z miejsca krótkim galopem, kołysząc się niedbale na siodle.

Nie wrócił, aż w wieczór.

— Cóż? — spytała się go księżna.

-- Dyabło ładne obie. I Teresa Morska i Ola Kmitówna.

— Któraż ci się więcej podoba?

— Kmicianka żywsza, Morska bardziej interesująca. Moznaby się ożenić i z jedną i z drugą, gdyby tak padło.

— Kmicianka *dom*.

— Nie, mamó, dajmy temu pokój. Zdaje mi się, że mała Morska byłaby daleko lepszą żoną, niż wielka Kmitówna. Choć co do urody — trudny wybór.

— Jakże cię przyjęli?

— A jakże mama myślała, że mnie przyjmą?

... Jak króla?

— W każdym razie przynajmniej jak udzielonego księcia.

— Twoje buty?

— Miałem konno przyjechać w pantoflach? Same się tłómaczyły i przeproszały za siebie — śmiał się książę Samuel.

— Aleś tam siedział! Cały dzień.

— Puścić nie chcieli. Polowaliśmy także trochę. Niezle strzelają. Zaprosili mnie na ogromne polowanie i bal, umyślnie dla mnie. Nie omieszkali dodać, że ledwo się dowiedzieli o moim tu pobycie, już to polowanie dla mnie było postanowione. Sam pan Morski z najstarszym synem mieli przyjechać mnie prosić. Ale wie mama co? Zdaje mi się, że się ten najstarszy syn, Zdzisław, kocha w Kmitównie. Patrzył na mnie lewem okiem, jak na wieżę Eiffel, a prawem, jakby mnie chciał zjeść.

— No, a panny?

— Ta Teresa to jakaś twarda sztuka.

— Zdaje mi się, że ci jednak panna Morska więcej przemówiła do serca, niż Kmitówna?

— Powiadam mamie, że więcej interesująca. Ale musi być twarda.

— Sądzę, że zmięklaby w danym razie.

— I ja tak myślę — odpowiedział książę Samuel, wstępując na schody do swego pokoju.

Tego wieczoru służąca hrabiny Wyczewskiej, Magdalenka, zauważyła, że hrabina modliła się o dziesięć minut dłużej, niż zwykle.

Hrabia Zdzisław Morski, rudawy, dwudziesto-sześćioletni młodzieniec, palił w swoim pokoju burszowską fajkę, pozostałość z heidelberskiego uniwersytetu, pił, jak zwykle przed udaniem się na spoczynek, piwo, i myślał, a miał o czem myśleć. Naprzód Olga Kmitówna miała milion rubli posagu, następnie imponowało mu niezmiernie jej jagiellońskie nazwisko, nakoniec rzeczywiście kochał się w niej. Miał też to wrażenie, a nawet pewne przekonanie, że ona nie jest mu niechętna, rozumiał jednak doskonale, że jest dla niej zarówno majątkowo, jak rodowo za małą partyą. Flirt trwał już trzy lata, ale ambitny i ostrożny hrabia Zdzisław bał się zaawansować, czując to, że chyba jakiś niesłychany wypadek mógłby wątpliwe szale wagi na jego stronę przeważać.

Kmitowie byli przedewszystkiem niesłychanie dumnym, mało sobie kogo za równego uważającym rodem, a że byli przytem bogaci, nie potrzebowali spuszczać z tonu. «Żeby choć jeden hetman, niechby zdrajca, ale hetman!... Żeby choć jeden kanclerz, niechby złodziej, ale kanclerz!... — myślał hrabia Zdzisław. — Nic i nic... Trzech kasztelanów, jeden biskup... Z Kmitów Morska... Jaby sam nie chciał, gdybym był na jej miejscu...»

Hrabia Zdzisław liczył wiele na urodę i po-

wab Teresy i na to, że jeżeli ją się uda bardzo wysoko wydać za mąż, to i jemu będzie łatwiej dostać Olgę. A trzeba się było śpieszyć. Olga mówiła jeszcze wprawdzie: «Ja mam czas, mogę czekać —» ale miała już blisko lat dwadzieścia dwa i mówiła to coraz rzadziej. O świetnym jakim mariażu Teresy hrabia Zdzisław myślał nie jeden raz i nie dwa, kiedy więc usłyszał od brata Stefana wieść o przyjeździe w Poznańskie Samuela Wiśniowieckiego, zadrgało mu serce podobnie, jak pani Wyczewskiej, tylko niestety zadrgało mu podwójnie, zląkł się bowiem o Olgę, która była jak stworzona na partyę dla ordynata z Wiśniowca.

Z Kmitów Wiśniowiecka i — — z Morskich...
Pfui Teufel!

Hrabia Zdzisław najczęściej klął po niemiecku.

Ale trzeba było spróbować zagrać. Hrabia Zdzisław wiedział dobrze, że kto nie ryzykuje, ten nie zyska. Dlatego to właśnie, oprócz tego, że się w niej kochał, nie starał się o żadną przystępniejszą dla siebie pannę, niż Kmicianka. Trzeba się było przekonać: *primo*, czy wogóle panny w Opolu mogą się podobać księciu? *secundo*, czy będzie mu się podobała Teresa? Na myśl o Oldze zaciskał zęby, ale wiedział, że kto nie ryzykuje, ten nie zyska, a następnie przy-

puszczał, że gdyby jego *swugier* Wiśniowiecki poprosił dla niego o rękę panny Olgi, to mu jej stary pan Hieronim Kmita nie odmówi, a jej wtedy był prawie pewny. Wreszcie myślał także, że jeżeliby się przypadkiem Olga podobała księciu i on jej, to, wobec absolutnie niemożliwej rywalizacji, zdecyduje się wtedy szybko między panną Janiną Będzką z Popielewa, z siedmiuset tysiącami marek, a panną Lolą Bauchgold z Warszawy, z ośmiuset tysiącami rubli, z których każdaby za niego chętnie wyszła.

Co do Teresy, nie zastanawiał się nad nią wcale. Wyobrażał sobie, coby się z nim działo, gdyby był na jej miejscu i gdyby mu ordynat Wisnowiecki swój fawor okazał — i to mu zupełnie wystarczało.

Rozumiał to jednak również bardzo dobrze hrabia Zdzisław Morski, że tu nie trzeba było zostawiać wolnego pola do działania losowi, ale że trzeba było dopomóc mu, aby to zrobił, czego sobie od niego życzą, to jest, że trzeba było Teresę pchnąć naprzód.

Myśli swoje, pykając z burszowskiej fajki i popijając piwo, snuł hrabia Zdzisław Morski na podstawie karteczki z poglądami Wiśniowieckiego na małżeństwo, którą pocziwa ciocia Femcia umyślnym konnym posłańcem z Toporowa do Opola przysłała. Kiedy księżę Samuel jechał tam w swoich losiowych rajtuzach i wy-

sokich butach, spotkał już wracającego z Opola wyrostka z proszkami dla pani hrabiny Wyczewskiej od migreny.

Pierwsza wizyta księcia nie dała hrabiemu Zdzisławowi żadnych wskazówek, oprócz tego, że sobie z nich wszystkich razem nic a nic nie robił, przyjeżdżając z pierwszą wizytą o jedenastej rano w losiowych spodniach i wysokich butach, oraz, że z początku, mimo wielkiej ogólnej grzeczności wielkopańskiej, dosyć wyraźnie zaznaczył, że jedyną osobą, którą tu za osobę z zupełnie swego towarzystwa uważa, jest Kmitówna. Ale jakkolwiek hrabiego Zdzisława to bolało, przyjmował rzecz tak, jak należało. Przyjmowała zresztą cała rodzina, poddając z rezygnacją głowę pod wolę przeznaczenia, które ich tylko hrabiami Morskimi stworzyło.

Wkrótce jednak po przejściu się księcia po parku z Teresą po wczesnym obiedzie, spostrzegł hrabia Zdzisław, iż księżę przestał różnicę podkreślać. Prawda, że Teresa po królewsku go traktowała! Cóż za dystynkcyja! cóż za chłód! cóż za godność! Mądra jucha! Żeby była cztery tygodnie myślała naprzód, to lepszej drogi nie mogła obrać! Wkońcu nie Wiśniowiecki jej, ale ona Wiśniowieckiemu imponowała. Jucha dziewczyna! *Pots Tausend Sakrament!*...

Olga, która była kozak, kozakowała z księ-

ciem, jak ze wszystkimi. Że mu się obie podobały, można było nie wątpić; czy on się im podobał? trudno było poznać. Teresa była jednakowo biała, Olga jednakowo różowa.

Na zapytanie w tej kwestyi po wyjeździe księcia, Olga odpowiedziała: «kocham się» — i poszła spać, Teresa odpowiedziała, że jest zmęczona.

Hrabia Zdzisław przeczuwał, że zacznie się jakaś kampania, ale nie mógł nic przewidzieć. Czuł się na wysokości zadania, o ileby szło o pchanie Teresy w ręce Wiśniowieckiego aż do kompromitacyi nawet, a zarazem cierpł na myśl, gdyby mu przyszło rywalizować z nim o Kmitównę.

Psia krew! — myślał. — Żeby zdrajca, żeby przedawczyk, żeby wisielec — ale hetman...

Przed polowaniem Morscy, ojciec i obaj synowie starsi, rewizytowali księcia w Toporowie, oraz zostali przedstawieni księżnie i byli przez oboje nader łaskawie i uprzejmie przyjęci. Księżna wyraziła życzenie poznania pań i obiecała, że przyjedzie trzeciego dnia na bal. Hrabiowie Morscy jechali tak uszczęśliwieni i olśnieni do domu, że nic do siebie przez drogę mówić nie mogli.

Termin polowania nadszedł i księżę przyje-

chał à quatre épingles, z perłą w krawacie, która była więcej warta, niż opolski folwark Sypniewo, i przeproszał, że pierwszy raz «tak po sąsiedzku» konno przyjechać się poważyl. Użył tego słowa: poważyl się. Hrabia Zdzisław uważał przytem pewien leciuchny uśmiezek błakający się koło ust księcia, ale udał sam przed sobą, że go nie widzi.

Następnie ksiązę przebrał się w myśliwski kostium, jakiego świat i korona polska nie widziała i wyglądał w nim, jak szkocki lord.

Następnie pudłował od czasu do czasu umyślnie, mimo że strzelał śrutem, widocznie przez grzeczność dla pana Morskiego, który był ambitny, a licho strzelał. Chwalił psy i teren polowania, o swoich własnych polowaniach mówił mało, aby swemi karpackimi jeleniami i dzikami nie przygniatać opolskich rogaczów i lisów, i zapraszał do siebie do Wiśniowca na niedzielę.

— A pani uczyni nam ten zaszczyt? Mama sama prosić będzie — zwrócił się do Teresy przy śniadaniu, z którem Teresa wraz z resztą pań przyjechała w pole.

Teresia podniosła na niego zdziwione formą pytania oczy.

— Naturalnie, bo myślę, że cały dom państwa zaszczycić raczy Wiśniowiec? — wytłómaczył się szybko i poprawił Wiśniowiecki.

Odpowiedziała sucho: dziękuję — a hrabia Zdzisław strzepnął palce po gorącym talerzu zrazów i szepnął do siebie: pocałowałbym cię, ty jucho jedna!

Książę popatrzył na Teresę dziwnie: było to spojrzenie razem bystre, przenikające, razem zaciekawione, razem zuchwałe, nieco lekceważące i wyzywające.

— Zaczyna się! — pomyślał hrabia Zdzisław.

— A pani? — spytał książę Olgi Kmitówny.

— A ja owszem — rzekła Kmitówna, która strzelała i od śniadania miała wziąć udział w polowaniu — owszem, wezmę sobie kilka par rogów na zapas.

— Służę pani, ile pani zechce... ale jak to: na zapas?

— Przecież kiedyś pójdę za mąż — rozśmiała się Kmitówna.

Książę skrzywił się dyskretnie, ale niemniej skrzywił się z pewnym niesmakiem.

— Brawo, Oldziu! — pomyślał hrabia Zdzisław — Brawo! Nie udało ci się! Tylko tak dalej!

Kmitówna spostrzegła, że się jej dowcip nie udał i zmieszała się. Zmieszana, przechyliła łyżeczką filiżankę z czarną kawą, którą trzymała w ręku, i oblała swój myśliwski kostium, oraz bryzgnęła na cudowne ubranie księcia. Na-

domiar i łyżeczka i filiżanka spadły w kociel z kaszą. Kmitówna stała się czerwona, jak burak, co tem więcej raziło, że stała obok bardzo białej Teresy. Była w tej chwili prawie że brzydka. Księżę, któremu ocierano spodnie serwetą, z przygryzionym papierosem w zębach patrzył kolejno na obie.

— Wygrałem! Wygrałem na jednym przynajmniej polu prędkiej, niżby kto myślał i w najniespodziewańszy sposób. Przez takie głupstwo! — myślał hrabia Zdzisław. — Niech mi teraz kto powie, że Napoleon nie zawdzięczał połowy kariery przypadkowi?

Rzeczywiście hrabia Zdzisław na tem polu wygrał, że księżę widocznie przestał się wahać w oddaniu pierwszeństwa Teresie przed Olgą, przestał się jednak również, zrażony widać formą przyjęcia zaprosin do Wiśniowca, bardziej ku niej zbliżyć. Nie dość na tem, musiał się rozgniewać, bo nie chybiał wcale i zaczął opowiadać o swoich psach i polowaniach w Karpatach. Opowiedział także, że u niego w Korybutce na jednym polowaniu zabito dwa tysiące trzysta bażantów, kiedy w całym Opolu mogło ich być najwyżej wszystkich razem czterysta sztuk, o czem była mowa. Zaczął także coś przebąkiwać o tem, że jest zmęczony i że może wyjedzie odpocząć z powrotem.

— Co się stało księciu? — spytał zaniepokojony pan Morski hrabiego Zdzisława.

— Teresa go drażni — odparł hrabia Zdzisław.

— Teresa? Jakto?

— Obrala doskonałą i mądrą metodę chłodu, ale może przeciaga strunę. Trzeba jej zwrócić uwagę. Uważał papa, jak Oldzia wzięła w łeb? Trzebaby go pchnąć do Teresy.

— Myślisz? — spytał z żywością pan Morski. — Wyczewska mówiła...

— Kto wie?... Tylko boję się jednej rzeczy: jak się ona postawi sztorcem, on się też gotów postawić sztorcem, i może być źle, a ona myśli, że go tem weźmie.

Pan Morski pokręcił głową:

— Wiesz, Zdzisiu, że nie zdaje mi się, aby Terenia wogóle była skłonna do takich myśli.

— Ech, papo, papa jest stary romantyk, nie z naszego pokolenia — i hrabia Zdzisław poklepał leciutko ojca po ramieniu.

Książę wieczorem odzywał się do Kmitówny mało, do Teresy prawie wcale nie, a natomiast emablował z brawurą margrabiego z dworu Ludwika XV panią Leską, która przyjechała z sąsiedztwa niespodzianie na kolację. Po pewnym czasie jednak książę przymrużył z hultajska oko, podkręcił wąsa i z zuchwałą

miną zbliżył się do Teresy. Hrabia Zdzisław obserwował z daleka.

— Pani jest niekontenta, że ja tu jestem — zaczął książę.

Teresa znowu podniosła zdziwione oczy.

— Mówię prosto i po prostu. Ja się tam między amerykańskimi traperami i między Zulusami oduczyłem od waszej polskiej dystynkcji — szarżował książę.

— Tak? Ale po czemże pan sądzi, że jestem niekontenta z jego pobytu u nas?

— Bo pani jest dla mnie niegrzeczna.

— Ja? — zdziwiła się szczerze Teresa.

— Pani. Pani Leska inaczej do mnie mówi, jak pani.

— Bo też książę inaczej do niej mówisz, jak do mnie.

— Ja ją tylko emabluję, a do pani: *mówię*.

— Dziękuję.

— «Dziękuję» — nic, tylko «dziękuję» — rzekł książę, lekko ją naśladując i rozbrajając ją za tę śmiałość ujmującym uśmiechem.

— A cóż pan chcesz, żebym innego powiedziała za takie łaskawe wyróżnienie? Zresztą właściwie powinienabym się obrazić za panią Leską, która jest naszym gościem w tej chwili.

— Tegoby tylko jeszcze brakowało do kompletu!

— Do kompletu?

— Bo mnie pani i nie lubi i jeszcze się w dodatku obraża.

Teresa znalazła, że na tak krótką znajomość jest za poufały. Chciała odejść, ale nie chciała się cofnąć. Nie odpowiedziała więc nic i spuściła oczy na stół, o który była oparta.

Księżę zrozumiał, ale go coś parło naprzód. Był przyzwyczajony robić co chciał i jak chciał.

— Pani mi nie odpowie?

— Właściwie nie mam co odpowiedzieć. Nie mogę pana ani lubić, ani nie lubić, bo pana za mało znam.

— Czy chce mnie pani poznać więcej?

— To zależy od księcia — rzekła Teresa z widocznym gniewem i odeszła.

Księżę zmarszczył za nią brwi, cisnął iskrzące spojrzenie i wyniósł się do drugiego pokoju. Hrabia Zdzisław zrozumiał, że Teresa «przeciągnęła strunę» i podbiegł ku niej, szepcząc żywo:

Tereniu! Co się stało?

— Jest za poufały. Wyobraź sobie, spytał się ni w pięć ni w dziewięć: czy go chcę bliżej poznać? Cóż on sobie myśli?

— A ty cóżes mu odpowiedziała?

— Bardzo wyraźnie, że jest źle wychowany.

— Ej! Może za ostro?

— W samą miarę.

— Obrazi się...

— Mniejsza o to.

Hrabia Zdzisław popatrzył na siostrę przeciągle i poważnie i podkreślił wyrazy:

Nie mniejsza o to.

— Dla mnie tak.

— Ale dla mnie nie.

— Cóż ci na nim zależy?

Hrabia Zdzisław uznał, że jeszcze jest za wcześnie mówić, zwłaszcza kiedy Teresa jest zirytowana na Wiśniowieckiego, powiedział więc tylko dyplomatycznie, ale dobitnie:

Mnie z kilku względów zależy na dobrych stosunkach z księciem.

— Masz w tem jaki interes?

— Aha!

— Ciekawam jaki? Co ty możesz mieć z nim do roboty?

— Pewną spółkę... Później ci powiem..

— Spółkę? Finansową?

— Coś w tym rodzaju. Więc nie zrażaj go do nas.

Teresa nachyliła się i pocałowała brata w twarz. Hrabia Zdzisław znał siostrę, począł więc zaraz, korzystając z chwili, mówić prędko:

Bo widzisz, Tereniu, ja z tym majątkiem, jaki mam, nie mogę być pewnym przyjęcia przez taką magnatkę, jak Ola, gdybym zaś przy milionach Wiśniowieckiego, przy jego ko-

palniach, fabrykach, cukrowniach pomnożył mój majątek, a choćby tylko zapewnił jego wzrost, to już co innego. A wiesz przecie, że ja bez tej dziewczyny żyć nie mogę.

— Mój biedny Zdzisiu, — rzekła Teresa, obejmując go za szyję, wzruszona jego szczerym zresztą nawet głosem, kochał się bowiem naprawdę — mój biedny Zdzisiu, zrobię wszystko, żeby ci tylko dopomóc.

— Więc jeśli ci nie jest sympatyczny, to bądź chłodna, ale go nie odstrasжай od nas — powiedział sprytnie hrabia Zdzisław.

— Dobrze, — odparła Teresa — a na dowód jak ci dobrze życzę, pójdę i przeproszę go.

Ale hrabia Zdzisław znał ludzi i świat i wstrzymał ją za rękę. Przeprosić księcia i stać się mięką, to znaczy przestać być interesującą, drażniącą i ponętą.

— Czekaj. Przeproś go, ale tak, żeby czuł, że robisz to tylko z obowiązującej w domu grzeczności. Poza tem bądź taką, jaką byłaś dotychczas. Byłaś cudowna.

— Jakto? Czy ty myślisz, że ja *byłam* taka, albo inna? Byłam taka, jaka jestem. Nie przeszło mi przez myśl drapować się w cokolwiek.

Mówiła i patrzyła tak szczerze, że hrabia Zdzisław, mimo swojej inteligencji, musiał jej uwierzyć. «Myślałem, że jucha taka mądra, a ona taka z natury! — pomyślał. — Ale to

zresztą wszystko jedno. Może jednak ojciec co do niej ma słusność.»

Potem pocałował siostrę w rękę, ona jego powtórnie w twarz, i rozeszli się.

Teresa odnalazła księcia. Siedział w salonie przy stole, nie mówił do nikogo i przeglądał illustrowaną Biblię. Na wchodzącą Teresę rzucił okiem i znów zaczął patrzeć w książkę.

«Płaska i głupia kokieterya!» — pomyślała, zbliżyła się jednak ku niemu, mówiąc:

Jakże mam być kontenta z pańskiego pobytu u nas, kiedy widzę, że pan się nudzi?

Księżę spojrział na nią i nic nie odpowiedział.

«Dalszy ciąg kokieteryi» — myślała Teresa, mówiąc głośno:

Takie wrażenie musi być przecież przykre dla gospodarzy.

— Nudzę się rzeczywiście, ale dopiero teraz — powiedział księżę, zamykając książkę.

«Koniec tomu pierwszego. Zrobię pensyonarski dowcip» — pomyślała Teresa, odpowiadając:

Odkąd ja do księcia mówię?

— Nie, odkąd pani przestała do mnie mówić — rzekł księżę seryo.

— «Błazen!» — pomyślała Teresa i uśmiechnęła się z dobrze pokrytym przymusem.

— A wie pan, po co przyszedłem?

Przymus uśmiechu był z taką sztuką po-

kryty, że się księżę nie poznał na nim i spoj-
rzył pytająco.

— Przeprosić pana.

— O — rzekł Wiśniowiecki protekcyjnalnie,
ale niezgrabnie, bo widocznie odbierał dosyć
silne wrażenie.

— Więc przepraszam — i Teresa, trzymając
się instrukcyi Zdzisława, leciutko i trochę za-
bawnie dygnęła.

Księżę silił się, aby nie wypaść z roli; wstał
z krzesła i równie lekko się uklonił, ale nieswo-
bodnie.

— Bierze go — mruknął do siebie hrabia
Zdzisław, rozmawiający z Olgą, ale obserwu-
jący z daleka oboje.

— Więc będzie między nami zgoda? — rze-
kła Teresa, której to robiło przyjemność, że «po-
konywa śmiałka».

— To zależy od pani — nacisnął księżę.

— To znaczy, czy będę dobrze wychowana,
albo źle. Będę dobrze.

Księżę usiłował utrzymać kontenans, ale nie
mógł opanować pewnego wzruszenia, które go
ogarniało na widok tej dziewczyny, która przed
nim stała, śliczna, i nie wiedzieć: czy drwiła
z niego, czy mówiła szczerze?

Drugi dzień polowania przeszedł bez szczególniejszego wypadku, w trzecim polowano tylko do południa, aby odpocząć przed bale. Książę bardzo był za tem, zresztą już i poprzedniego dnia zjechał z pola wcześniej, tłómacząc się bólem zębów. Istotnie zaś śpieszyło mu się do Teresy, która przedziwnie stosowała metodę, wskazaną jej przez Zdzisława. Była chłodna, ale tak, że ten chłód nie mroził, nie odpychał i nie zniechęcał. A przytem była od początku do końca imponującą. Książę próbował ze wszystkich beczek: był don Juanem i dzikim amerykańskim myśliwcem, sportsmanem i skłonnym do czułości pasterzem, «dobrym księciem» i dumnym hidalgim, człowiekiem prostym i człowiekiem rafinowanym, ekonomistą, literatem i członkiem izby panów, przyjacielem księcia Walii i szlachcica wioskowego pana Zadory Ostankiewicza, fundatorem szpitalów i dekadentem, kochał Słowackiego i Marka Twaina, marzył o podróży do bieguna południowego i cichym domku nad Zbruczem, przejeżdżał konie jak Arab, i bał się żaby, miał wzniosłą rubaszność pierwszego grenadyera Francyi i wdzięk młodej mężatki, strzelał z Igniasiowego łuku, jak starożytny Pers, i grał w tennisa, jak grecki efeb, trzymał włóczkę pani Wyczewskiej i dźwignął dwieście funtów na wadze, wolał jasne słońce od mgławego księżycy i mgławicy księżyc

od jasnego słońca, był zdobywcą i był łupem, wcieleniem namiętności i drżącą uczuciowością: i wszystko nic nie pomogło — nie posunął ku sobie Teresy ani na krok; nie on ją interesował, ale ona jego, nie on jej imponował, tylko ona jemu, nie ona była pod urokiem, tylko on, i co najgorsza, czuł to i widział, że ona to czuje i widzi.

To też na zapytanie księżny: No, cóż? — odpowiedział: Wzięła mnie i wie o tem.

— Kmitka? — spytała księżna.

— Nie, Morska.

Księżna skrzywiła się niezadowolona, ale zatarła czempredzej grymas, nim syn dostrzegł.

— Kochasz się?

— Jeszcze nie, ale jestem na drodze.

Księżna przez szkła poczęła się rodzinie hrabiów Morskich, siedzącej kołem na ganku, przyglądać okiem wybornego znawcy rasy ludzkiej, psiej i końskiej. Sąd ogólny wypadł dobrze. Obejrzała wszystkich dokładnie, ich oczy, uszy, nosy, brody, barki, ręce, nogi i stopy i powróciła znów do Teresy, przypatrując się bez ceremonii.

Teresę paliło długie spojrzenie księżny; odgadywała, nie uświadamiając sobie tego nawet, instynktem, cel i powód tego obejrzenia całej jej rodziny i tego długiego oglądania jej samej. Odwróciła głowę, potem wstała z ławki. Jakaś

wzburzona, jakaś rozgorączkowana, uciekła do swojego pokoiku, w lewym skrzydle pałacu. «Odbierają mi myśl o tobie, o tobie!» — wybuchnęła, zamknawszy się i wyjmując z kasetki gałązkę limby, jedyną pamiątkę po Rdzawiczu. Przycisnęła ją do ust i stała przy oknie, z zamkniętymi oczyma.

Zapukał ktoś i chciał wejść; drzwi były zamknięte. Teresa schowała gałązkę i pobiegła otworzyć. We drzwiach stała ciotka Wyczewska.

— Co ty tu robisz? Dlaczego się zamynasz? — spytała podejrzliwie i dosyć ostro. — Księżna się zdziwiła, żeś tak nagle odeszła. Przedewszystkiem trzeba być wychowaną.

— Ależ, ciociu... — bąknęła Teresa.

— Dla panny dobrze ułożonej nie istnieje nawet żołądek — rzekła hrabina Wyczewska, czując ważność swych nauk.

Ponieważ pani Morska poleciła Teresie ubrać się jak najstaranniej, więc Teresa ubrała się, w co miała najładniejszego. Miała tego dnia zresztą dobry dzień. Wśród mnóstwa osób, które zjechały się na bal do Opolą, była najpiękniejszą.

Państwo Morscy urządzili z księżny Małgorzaty rodzaj królowej, z księcia Samuela rodzaj królewicza. Goście przyjęli to urządzenie tem

skwapliwiej, że z bardzo nielicznymi wyjątkami nigdy nie byli i nigdy nie mieli nadziei być na jakim prawdziwym dworze i wobec prawdziwych książąt panujących. Niektórzy pytali się, czy do księżny trzeba mówić *altesse*, albo nawet *altesse royale*, ze względu na króla Michała? Ostatecznie *altesse royale* nikt nie mówił, ale *altesse* mówiło sporo osób. Zaczęto *votre altesse* od czasu do czasu tytułować i księcia Samuela. Wszyscy rośli w swoich własnych oczach i mieli miny wyjątkowo uroczyste. Hrabina Morska za poradą siostry kazala kamerdynerowi zameldować kolację nie sobie, lecz księżnie Wiśniowieckiej. To musiało ich oboje podbić i zdobyć dla Opola.

Tymczasem książę Samuel naprzód postanowił olśnić Teresę swoim tańcem, a potem przypuścić do tak podminowanej fortecy śmiały szturm. Rozpoczął z nią bal. Tańczył, jak baletmistrz. Zwolna, jakby za wspólnem porozumieniem i w myśl wszystkich, inne pary cofnęły się i zostali sami na środku salonu. Trwało to jednak bardzo krótką chwilę, bo kilku zuchwalszych z młodzieży i kilka zazdrosnych panien wysunęło się za nimi.

Książę posadził Teresę i zaczął tańczyć z innymi tancerkami. Nie tańczył, ale pływał po posadzce. I znów pozostawiono go samego z Celiną, która tańczyła lepiej niż Teresa

i wogóle, jak się rzadko spotyka, w swojej krótkiej, białej sukience.

Odezwało się kilka braw, a potem ogólne brawo. Ksiązę kontent skończył i począł szukać oczyma Teresy po tym tryumfie, ale znalazł ją odwróconą tyłem i rozmawiającą z jakimś starszym panem.

Wpadł w pasyę.

Widziała mama? — szepnął do matki, do której się podsunął.

— Kokieterya — odpowiedziała spokojnie księżna. — Czemże taka dziewczynina, choć bardzo ładna, będzie wojowała z tobą, jeśli właśnie nie takimi sztukami?

Ale ksiązę Samuel był tak zirytowany, że polecił ku Teresie.

— Pani mnie ignoruje — rzekł żywo.

Teresa zmarszczyła brwi, lecz pohamowała się, pokryła uczucie niechęci i rzekła prosto:

Ależ ksiązę nie jesteś żadną znakomitością i nie wykonywasz w tej chwili nic nadzwyczajnego? Więc co?

— Pani mnie męczy — rzekł Wiśniowiecki z grymasem.

Teresa usiłowała nie zapomnieć o jego kopalniach, fabrykach i cukrowniach.

— Nigdybym nie chciała. Pan jest zmęczony polowaniem i...

— Może pani chce, żebym wykreślił się

wogóle z jej karnetu — przerwał księżę, który ochłonał już i udawał irytację na zimno, czując, że mu z tem do twarzy.

Teresa, szczerze zresztą zdziwiona, odpowiedziała w myśl polecenia hrabiego Zdzisława:

— Zepsute dziecko z pana. Zrobiłby mi pan wielką przykrość.

— A robi to pani przyjemność, że jestem tam zapisany?

Teresa wymusiła z siebie krótkie: tak.

Wiśniowiecki udał wzruszenie i doznał go naprawdę.

— Pani mówi, że... — zaczął.

Ale Teresę ostrzegł jakiś instynkt: mimowoli spojrzała na niego tak, że urwał.

— Czegoż ty jesteś znowu taki rozdrażniony? — spytała go księżna po chwili.

— Mamo, ona mi miny robi! — wybuchnął księżę.

Księżna roześmiała się.

— Głupi jesteś — rzekła. — Każda samiczka musi się drożyć.

— Cóż? cóż? — pytał gorączkowo Teresy hrabia Zdzisław, którego upajał taniec z Kmitówną i jej tualeta, najkosztowniejsza na całym balu.

— Robię wszystko, co mogę, naprawdę, więcej niż mogę — dla ciebie, mój drogi.

— A on sam, czy ci się nie podoba? Przecie to prawdziwy »książą z bajki«.

— To też to właśnie. Wolę z bajki innych ludzi.

— Jakich?

— Takich, co są księżętami ducha.

Hrabia Zdzisław spojrział na siostrę zdumiony. Deklamacya na imieniny mamy, czy co?... Rzekł: Z jakiegoż podręcznika ten frazes? — wzruszył ramionami i odszedł.

Teresa popatrzyła za nim z przykrością.

— Hm, źle — myślał hrabia Zdzisław, pijąc piwo przy bufecie. — Źle... Nie zrobił na niej żadnego wrażenia... Co tu zrobić? Pomogły mi raz jelenie rogi, zkądże u dyabła wziąć drugiej pary?... Źle... To nie jest żadne obmyślenie, tylko jej się po prostu nie podoba. Głupie bydlę! Czego ona może chcieć więcej i lepiej?! Pierwsza partya w kraju. Bydlę jedno! *Dummes Vieh...* Ale ona i tak musi pójść za niego i pójdzie...

Wtem nastąpiła wielka scena. Drzwi od sali jadalnej otwarli na oścież dwaj lokaje w liberyi, na salę balową wstąpił uroczystym krokiem kamerdyner w czarnym fraku, podszedł kilka kroków ku księżnie Wiśniowieckiej i skłoniwszy się najniżej, jak wypadalo, rzekł dono-

śnym głosem, według wskazówki: Wasza księżęca mość, podano do stołu!

Zrobiła się głucha cisza — byłbyś usłyszał własny oddech.

Na bladawą twarz księżny Małgorzaty wystąpił mocny rumieniec a habsburgska jej warga lekko zadrgała. Hrabina Wyczewska, która była z księżną na *ty*, spojrzała po obecnych wzrokiem Agamemnona.

Księżna podniosła się. Hrabia Morski, w myśl właściwej, czy niewłaściwej już instrukcyi hrabiny Wyczewskiej, podsunął się z prawej nogi i z najgłębszem uszanowaniem podał jej ramię.

Księżna, majestatyczna i dumna, przeszła pośród zgiętych w pas lokajów w podwoje sali jadalnej, gdzie gospodarz dowiódl ją, ciągle z prawej nogi, do przeznaczonego dla niej miejsca, po środku stołu. Ponieważ tronu nie było w Opolu, przygotowano więc dla księżny szczęśliwym trafem znajdujący się tam czerwonym adamaszkiem obity fotel.

Pan Morski cofnął się z głębokim ukłonem, a księżna usiadła, mając po prawej ręce pierwszego gentlemiana towarzystwa, po lewej pierwszą damę, którzy oboje służyli jej rozmową. Według zarządzenia gospodarstwa, księżę Samuel podał ramię Teresie i znalazł się *vis-à-vis* matki.

Nastroj był katedralny, a katedralność owa powiększała się za każdym dowcipem księcia, zwróconym do Teresy, za każdym pochyleniem się ku niej jego głowy i jego figury. Katedra ta nastroju, zachowując zresztą niezmiennie swój zewnętrzny kształt gotycki, bardzo szybko zamieniła się wewnątrz w świętokradzki sposób w fabrykę musztardy, w której funkcję dostarczycieli gorczycy i octu, mieszaczy i zaprawiaczy spełniali panowie we frakach i panie w balowych tualetach. Wszyscy też podziwiali Teresę, która «brała Wiśniowieckiego na grzeczną obojętność». Najlepsza metoda!

A książę, który jak zatryumfował w tańcu najpiękniejszym ruchem, tak samo miał ochotę zatryumfować przy stole najpiękniejszą konkietą, widząc, że rzeczy wyglądają przeciwnie, i że to Teresa tryumfuje, naprzód zaczął się w sobie wściekać, a potem z całą elastycznością swojej natury zwinął się, jak «człowiek kauczukowy» w cyrku. I oto nagle zdumieni goście opolscy ujrzeni przed sobą królewicza, prawdziwego królewicza z obcej strony, zakochanego w pięknej nie młynarce wprawdzie, ale nic więcej, jak tylko kasztelance, który, mogąc wyrazić swoją najwyższą wolę, woli prosić...

Książę znalazł w sobie w tej roli tyle wdzięku, że publiczność była pod urokiem, ba! że chłodna grzecność, czy grzeciwy chłód Teresy za-

czał budzić już nie samo tylko zdziwienie, ale pewne zgorzzenie w zdziwieniu. Bo jeżeli na kogoś pada złoty deszcz, a on nie chce być Danaą... Głupie bydlę! Czegóż ona może jeszcze więcej chcieć?!... Książę Samuel Michał Jeremiasz Korybut Wiśniowiecki, ordynat na Wiśniowcu, pan trzystu wsi, trzydziestu miasteczek i trzydziestu milionów guldenów w Banku Angielskim!... Głupie bydlę!...

Książę Samuel Michał Jeremiasz Korybut Wiśniowiecki, jadąc do Toporowa z matką w karetce po balu, żuł w zębach guzik od rękawiczki i milczał. Milczała i księżna. Każde zajęte było swoim najsilniejszym wrażeniem. Ona myślała o purpurowym fotelu, on o Teresie.

— Mili ludzie — odezwała się wreszcie księżna.

— Niech ich wszystkich dyabli porwą! — odpowiedział książę.

— Albo nie?

— A nie.

— Manewr.

— Dyabeł wie!

— A ty co?

— Potąd! — i książę przejechał rękawiczką po szyi.

— Ej?! Czyż naprawdę?

— Jak mamę kocham.

— A ona?

— Mówię mamie: dyabeł wie. Ej! — dorzucił po chwili — żeby to tak dawniej! Posłałbym stu kozaków i koniec.

— Gertruda Komorowska?

— Nie kazałabyś jej utopić, mammo?

Księżna zaczęła się śmiać.

— No kocham się, kocham się, kocham się, nie ma co! — mówił gorączkowo książę.

— Chcesz się oświadczyć?

Książę milczał chwilę.

— A jak mnie nie przyjmie? — rzekł niepewnie.

— Zdaje mi się, że masz gorączkę — rzekła zimno księżna.

— Zapewne! Mnie! — Morska!... Ale — nuż?..

— Słuchajże i nie bądź głupi — odezwała się niecierpliwie księżna. — Dziewczyna manewruje, bo jest mądra, a może ją tak i nauczyli. Boją się, że jak się nie podroży ze swojemi wdziękami, to ci się sprzykrzą za prędko. Femcia tam tego, coś ty mówił o maryażu, nie omieszkała powtórzyć. A taka szlachta to ci przecie także musi pokazać, że oni mają swoją godność i co jeść i bez twego tytułu i majątku. Dopóki się nie oświadczysz, to się będą

drożyli, ale jak się oświadczysz, i będą pewni, no, to ich wtedy oglądaj w domowym zaciszu!

— Moja mamó — rzekł Wiśniowiecki — jednak, a nuż... Grzeczna jest, ale tak chłodna.

— Zaprosiłam ich do Wiśniowca.

— Dobrze. Dziękuję. Jednego się boję: oto nie skompromitować się kosztem. Może mi się podobać kochać się i może mi się nawet podobać przedstawiać to publicznie; wolno mi, od tego jestem sobą, ale oświadczyć się takiej hrabiance Morskiej i nie być przyjętym!...

— Powiadam ci, że musisz mieć gorączkę. Umilkli i jechali dalej w milczeniu.

Książę Samuel na drugi dzień poleciał do Opola. Nie mógł wytrzymać. Nie liczył się zresztą z niczem i nie oglądał na nic. Odkąd oczy otworzył, widział plackiem leżące przed sobą arystokrację i demokrację, innych książąt, hrabiów, szlachtę, profesorów, doktorów, księży, urzędników, mężczyzn i kobiety, kogo chciał i kogo nie chciał. Pojechał w świat i tam było prawie to samo, dzięki olbrzymiej fortunie i rozrzutności, oraz pilnie rozgłaszanej legendzie o królu Michale i jego żonie arcyksiężniczce austriackiej. Arystokracja całego świata dowiedziała się, że na dumnym dworze arcyksięcia książę Samuel był traktowany jako rodzaj

kuzyna i że austriackie złote runo, a zatem całowanie się z cesarzem i mówienie mu «*mon cousin*» było tylko kwestyą czasu. Słusznie więc nie liczył się z niczem i nie oglądał na nic, a na domy w Polsce, z wyjątkiem kilku, patrzył jak na mniej albo więcej bogatą «szlachtę».

Podobało mu się natychmiast na drugi dzień pojechać do Opolą, więc pojechał; mogło mu się podobać wszystko, ale nie mogło mu się podobać zacząć karyery w kraju od arbuza od panny Morskiej.

«Ludzie z takiej rodziny, jak my — mówił ojciec księcia Samuela, którego ten dobrze pamiętał — wałą wprawdzie naprzód, ale nie powinni nigdy zapominać o dyplomacyi, która jest także jedną z cech rasy.»

Książę Samuel czył, że się po prostu, zupełnie po prostu zakochał w Teresie i że musi tę dziewiczą ziemię zawojować. Nie uczuł w sobie wprawdzie w prostej linii krwi księcia Jeremiego, ale uczuł w sobie w każdym razie krew jakiegoś wspólnego pradziadka i ruszył na wyprawę. Wprzód jednak, nimby wypuścił husarzy i dragonów w żółtych koletach z okrzykiem: «bij! zabij!» — postanowił przygotować grunt dyplomacyą, a zaczął ją zręcznie od tego, że ze Zdzisławem, a nawet ze Stefanem Morskim, wypił *bruderssaft*. Kiedy przyjechał nazajutrz po swoim trzydniowym tam pobycie znów do

Opola, przyjęto go niesłychanie uprzejmie, gościnnie i radośnie, ale z minami: «a więc widocznie, że...», i tam dalej.

Księżę jednak, który się nie chciał narażać, i któremu się «mogło podobać być wczoraj zakochanym, a dziś już nie», bardzo grzecznie oświadczył, że wybiera się zwiedzić dalszą okolicę i chciałby prosić panów Morskich, aby mu towarzyszyli łaskawie.

Potem zaś wziął poufale pod rękę Zdzisława i po kilku słowach, zapytał go:

Słuchaj no, Zdziś, gdybyś się panny spytał, czy jej to zrobi przykrość, jakbyś się wykreślił z jej karnetu? a ona ci powiedziała, że tak — to co byś myślał?

Inteligentny i znający świat hrabia Zdzisław zaciągnął się papierosem, aby mieć czas do namysłu i namyśliwszy się, oświadczył:

Jakby mi się podobala, to byłbym kontent.

— I oparłbyś się na tem?

Hrabia Zdzisław pokręcił rozumnie głową.

— Widzisz, — rzekł — z tobą to się inaczej rozmawia, jak wogóle z ludźmi... Coś jest z dworu... Tobie nikt nie powie nic, ot tak, żeby powiedzieć.

Księżę Samuel zaczął lubić Zdzisława.

— No, ale byś się przecie na takiej podstawie nie oświadczył.

— To zależy. Możebym się i oświadczył.

Uff! Uff! — popchnął w myśli maszynę hrabia Zdzisław.

Księżę Samuel poczuł się *Wiśniowieckim* i »walał» prosto z mostu:

A gdyby to była twoja siostra Teresa?

Hrabia Zdzisław nie był przygotowany na tak szybkie wypuszczenie semenów, przybranych tatarską modą, czy dragonów w złotych koletach, ale był sprytny i wiedział, że po wszystkim, co Samuel robił dotąd, powinien to przyjąć, jako wieść najzupełniej oczekiwaną. Niemniej duszę jego przepelniła taka uciecha, że znowu się zaciągnął papierosem, aby oddech złapać, poczem rzekł spokojnie i dając sobie czas do zupełnego oprzytomnienia:

Gdyby to była moja siostra Teresa?... — (tu zląkł się). — Hm!... Gdyby to była moja siostra Teresa... — (ujrzał niebezpieczeństwo). — A tobym wolał coś pewniejszego mieć w ręku.

— Tak sądzisz? — spytał trochę niemile dotknięty Wiśniowiecki.

«Kto nie ryzykuje, ten nic nie zyska, ale kto za dużo ryzykuje, ten może stracić» — przeleciało szybko przez głowę hrabiego Zdzisława i powtórzył:

Tak, wolałbym mieć pewny atut. Ale czy naprawdę myślisz o mojej siostrze?

— Kocham się w niej.

Hrabia Zdzisław rozrzewnił się podwójnie:

i szczerze i z wyrachowaniem — i rzucił się na szyję Wiśniowieckiemu. Ucałowali się.

— Słuchaj — mówił wzruszony, zakochany książę ordynat — mówię do ciebie pod słowem honoru — myślisz, że mnie przyjmie?

— *Qui risque trop* — o mało głośno nie wyrwało się Zdzisławowi. — Uh! Trudna gra!

Widzisz, onaby ci musiała, po prostu *musiała* (to słowo podkreślił hrabia Zdzisław) odpowiedzieć, że cię za mało zna. Inaczej nawetby jej nie *wypadalo* (i to podkreślił). Pojmujesz? — «Rozumny jestem» — pomyślał.

— Tak, pojmuję — odparł książę Samuel, ścinając smętnie kwiat z gazonu szpicrutą.

ROZDZIAŁ VI.

Książę Samuel w okolicę nie pojechał i dalej «oblegał fortecę», forteca jednak była jednako niezdobyta. Postanowił więc użyć z dawna wypróbowanego i przez największych mistrzów zalecanego fortelu. Zaciął się i choć gryzł główkę od szpicruty, rękawiczki, koldrę, wszystko, co mu pod zęby podpadło, przez dwa dni do Opolą nie pojechał.

Trzeci dzień niebytności księcia zaniepokoił poważnie hrabstwa Morskich. Hrabia Morski ojciec, wysoki, siwy i dostojny, ubrany, uczesany, przystrzyżony i ucharakteryzowany w mowie i w ruchach *à la* książę Wilhelm Hohentlohe, który naśladował jednego z wielkich książąt badeńskich, wzorującego się na królu Edwardzie angielskim, pykał nerwowo z fajki na długim cybuchu, hrabina myliła się w pasyansie, a ciotka Wyczewska próła, co wyhaftowała, Hrabia Zdzisław zaś poglądał wrogo na Teresę,

Olga Kmitówna bowiem poczęła przebąkiwać coś o wyjeździe.

Wtem najniespodzianej, późno wieczorem otwarły się drzwi, i stanął w nich błądy i zgorączkowany książę Samuel. Wargi miał spieczone i drżące. Przyjechał konno i widocznie padł po drodze z koniem, czy spadł, zwalany był bowiem błotem i miał skaleczoną twarz koło prawego oka.

Wszyscy zerwali się z miejsc.

— Co się stało księciu?! Na miły Bóg! — krzyknął pan Morski.

Książę chciał się uśmiechnąć, ale nie mógł. Tym razem nic już nie udawał.

— Padłem z koniem. Ciemno w lesie.

— Potłukł się książę, co?

— Głupstwo, nic. Trzy dni nie byłem... — spojrzał na Teresę wilgotnymi oczyma.

Trzy dni nie był i chciał wytrzymać, ale nie wytrzymał. Skoczył na konia i myślał, lecąc galopem: Nie będę czekał! Nie będę czekał! Niech mnie dyabli porwą! Muszę ją mieć! Muszę! Muszę! Muszę!

Zapomniał o dyplomacyi, która także jest cechą rasy, bódł konia ostrogami, bił szpicrutą i «walił naprzód», aż się zwałił w lesie na kornieniach.

— Wody, prędko! — krzyknęła hrabina Wy-

czewska, pędząc z własną chustką ku księciu, z którego twarzy krew ciekła.

Książę w końcu zdobył się na jakiś spokój i uśmiech.

— Dziękuję! Nic, nic, głupstwo!

Spojrzał na Teresę. Stała, oparta ręką o stół, spokojna, jak zawsze, tylko wydała mu się bledszą.

Książę spojrzał na nią i powiódł potem jakimś błagalnym wzrokiem po obecnych. Tak się jakoś stało, że mógł się do niej odezwać cicho:

— Nie wytrzymałem... zatęskniłem do...

— A? — rzuciła Teresa i cofnęła się ku samowarowi.

Książę nie panował nad sobą; opadł ciężko na krzesło.

— Słabo ci? — poskoczył ku niemu Zdzisław, który nie widział sceny, wyszedł bowiem do konia przed ganek.

— Koń... stłukłem się... — jęknął książę z krzesła.

— Niech się książę położy — prosiła pani Morska.

Książę nic nie odpowiedział. Zamknął oczy i siedział na krześle.

— Waryat jestem! waryat jestem! — powtarzał sobie w duszy. — Czy to nie mogłem matki prosić, aby wybadala Teresę przez Wy-

czewską... Wpadłem tu, jak szalony... Gustaw z «Dziadów...» Tylko mi gałęzi cyprysowej brakuje... Cóż teraz właściwie mam zrobić?...

Rzucił się na krzesło.

— Boli? — zawołała niespokojnie hrabina Wyczewska.

Książę milczał i myślał dalej: Ale cóż, psia-krew! żebym ja, ordynat Wiśniowiecki, miał jakichś babskich pośrednictw używać i do kogo, do hrabianki Morskiej! Wybadywać, pytać się!... Orleanka, czy Burbonka, czy co u licha?! Hrabianka Morska! *Voilà tout!* Ech!

Porwał się nagle z krzesła z gorączką, jaka go trawiła, otwarł oczy i powiedział głośno, porywczco, prawie zuchwale, zwracając się jakby do całej rodziny, zgromadzonej koło niego:

Ja proszę o rękę hrabianki Teresy!

A w tej chwili, jak riposta po cięciu, odpowiedział mu twardy, zimny, ale niemniej porywczy i gwałtowny głos Teresy:

A ja tej ręki odmawiam!

Uczyniło się głucho. Olga Kmitówna wyszła. Książę pobladł śmiertelnie i oparł się ręką o poręcz krzesła. W oczach jego zbiegły się błyskawice, podniósł barki, schylił kark, wyciągnął dolną szczękę i zdawało się, że się rzuci na Teresę — ale nagle twarz zmieniła mu się kurczowo, oczy błysły łzami, padł na kolana i wyciągnawszy ręce ku Teresie, jęknął błagalnie:

Proszę!

— Nie! — odpowiedziała prawie ze wstrętem Teresa i wyszła z pokoju.

Cała rodzina oniemiała i osłupiała stała wkoło.

Książę klęczał jeszcze chwilę. Zdzisława, który chciał go podjąć pod ramię, odtrącił, dźwignął się o własnej mocy i zatoczył aż prawie ku ścianie.

— Nie?! Mnie, Wiśniowieckiemu, nie?! — prysnęło mu przez zaciśnięto zęby. — Nie?!

— Samuelu — ozwał się Zdzisław Morski nieśmiało, wyciągając znowu ku niemu rękę.

Wiśniowiecki odepchnął go i wyleciał z pokoju.

— Konia! — krzyknął z sieni.

— Koń twój nie może iść, okulał — ozwał się zmieszany Stefan, który z innymi wypadł za Wiśniowieckim.

— Ależ, książę, na miły Bóg — spróbował perswadować pan Morski.

— Więc konia mi dajcie! — krzyknął Wiśniowiecki.

— Ciemno... noc...

— Proszę o konia, mówię! — krzyczał Samuel.

— Nie puść go! za nic! — syknął w ucho ojcu hrabia Zdzisław.

Stary pan Morski posunął się żywo ku Wiśniowieckiemu i objął go wpół:

Książę, proszę... proszę mi zrobić tę łaskę... zostań... książę... księżnaby nam nigdy nie darowała... książę jesteś chory... proszę...

Serdeczny, do głębi serdeczny głos wystraszonego hrabiego Morskiego podziałał na księcia Samuela, który rzucił mu się w ramiona ze łkaniem:

Więc co?! co?! Co teraz?!

Dał się ująć pod rękę, wprowadzić do pokoju, rozebrać i położyć do łóżka.

Czuł gorączkę, ale afektował ją już, zorientował się. «Święty Michał, patron króla, czuwał nad nim.» W danym razie spędzi się całe szaleństwo i całą kompromitację na gorączkę... Ochłonął tyle, że mógł myśleć. Postarał się prędko stracić przytomność i bredzić — ale bredził wyłącznie tylko o lwach, tygrysach, Dymitrze, Jeremim i Michale Wiśniowieckich, i tym podobne. Nie wspominał o Teresie wcale... «Walnął naprzód», porwany zapalem i rzeczywistym uczuciem, i zdaje się walnął albo jeszcze za wcześniej, albo wogóle głupio; postanowił więc salwować się dyplomacją. «Stracił przytomność», ale miał malignę rozsądną. Psiakrew! — myślał. — Tak się we mnie zimna krew Koreckich z gorącą krwią Wiśniowieckich miesza, że mię dyabli roznoszą... Dziewka jedna!... Czekaj... Jeszcze ty i tak będziesz moja!... Kupię cię, żebym cię miał

złotem zawalić!... Kocham cię i musisz być moją, szlachcianko!...

A myśląc tak, wołał niby nieprzytomny:

Piast! Piast! Niech żyje król Michał!...

W końcu znudził się i zmęczył krzykami przytem straszliwie mu się zachciało płakać za Teresą, zaciął zęby i udał, że śpi.

Wtedy wzruszona i przestraszona, wysunęła się rodzina hrabiów Morskich z jego pokoju.

Spojrzeni na siebie pytająco.

O tem, że księciu podoba się Teresa i bardzo, państwo Morscy wiedzieli dobrze i dawno. Spodziewali się oświadczyn, ale nie myśleli, że nastąpią tak nagle, we dwanaście dni po poznaniu. Nawet z Teresą nikt nie mówił o tem. Wiedzieli, że księżę na niej wrażenia nie robi i woleli z nią zacząć mówić o nim dopiero wtedy, kiedy je zrobi, a że to nastąpić ostatecznie musi, tego byli pewni. Wieczne było to nieszczęście, że Terenia była «inna», ale rozmawiali o faworze Wiśniowieckiego tak samo, jak Zdzisław. Zresztą i czasu nie było mówić: polowanie, bal, wizyty z Toporowa, w Toporowie, a przytem uwaga wyteżona i w drugą stronę, na Olgę Kmitównę, bo tego maryażu życzyli sobie hrabstwo Morscy niemniej, niż z księciem Samuelem. Wiśniowiecki deklarował się tak, że byli go pewniejsi, natomiast z kapryśnej Kmitówny nie mogli nic realnego wycisnąć. Praco-

wali więc w pocie czoła, ostrożnie, politycznie, dusząc się po prostu perspektywami: tu pałac w Opolu podłożony milionem rubli, tam na zamku w Wiśniowcu księżna ordynatowa... Było się czem dusić.

Kiedy ochłonęli po scenie z księciem, pani Morska zapytała służącej, gdzie Teresa, i dowiedziała się, że jest u siebie na gorze.

Dziwnego doznawał cały dom uczucia: bo z jednej strony byli wściekli na nią, że odmówiła, a z drugiej dumni, że odmówiła.

— Wiesz, — rzekł nawet po chwili hrabia Morski do żony — że może lepiej, że ona na razie odmówiła. Nikt nie powie, że wyleciała na pierwsze słowo za mitrę i miliony, i pójdzie dziewczyna wogóle w cenę.

— Tak, byle się nie zraził — odparła pani Morska.

— Wygląda na strasznie zakochanego.

— Dobrze, dobrze, a ja ci mówię, że trzeba kuć żelazo, póki w ogniu, nietylko gorące. Niech się Wiśniowiecka dowie, że odmówiła! Zobaczysz go tu. Cóż wy myślicie, że to kto? Teresa musi go jutro przyjąć, rano, inaczej za nic nie ręczę — rzekła hrabina Wyczewska.

Hrabia Morski się zląkł, a hrabina Morska odezwała się:

Jakże, kiedy nie chce? Trzebaby jej to wyperswadować.

— To niech zechce. Musi zechcieć. Czyśmy mogli marzyć o czemś podobnem?! W najśmielszych snach?! Wierźcie mi, moi drodzy, tu trzeba działać — błyskawicznie po prostu — odpowiedziała hrabina Wyczewska.

Naprzód — mówiła dalej — ordynata Wiśniowieckiego się kocha zaraz, a potem dlaczegoż go ma nie kochać? Młody, przystojny, zgrabny, zdrow, intelligentny, wykształcony, światowy — książę i milioner, i to taki milioner! Wymień mi pannę w kraju, któraby mu odmówiła?

— Zapewne.

— To też chodźmy, chodźmy prędko do Teresy. Ja się nie jej boję, ani nie jego, tylko Wiśniowieckiej. Wybije mu romans z głowy, a wtedy? Przecież tu wszystko na romansie tylko stoi.

Za rodzicami do pokoju Teresy poszli hrabia Zdzisław i wymowna ciotka Wyczewska, oparta na ramieniu Stefana, bo ją męczyły schody.

Pani Morska otworzyła drzwi i zastała Teresę leżącą na wznak na łóżku.

— Jesteś?

— Tak, mamó — rzekła Teresa wstając.

— Cóż ty na to? — spytała pani Morska, usiadłszy w fotelu.

— Cóż? Nic, mamó — odparła Teresa.

— Jak to nic? Oświadczył się.. Wprawdzie

dosyć dziwnie i nie po formie, no, ale wielkim panom wszystko wolno. I cóż ty na to?

Teresa podniosła dumnie głowę:

Odpowiedziałam przecież.

— I uważasz to za swoją stanowczą odpowiedź? — ozwała się ciotka Wyczewska z drugiego fotelu.

— Tak, ciociu.

— Taak?

Zapanowało milczenie.

— Jakto? — przerwał je Zdzisław, zbliżając się na krok do siostry.

— Mój Zdzisiu — rzekła żywo Teresa — mój Zdzisiu, jeżeli Olga cię kocha, to nie powinna zważać na to, czy powiększysz majątek przy fabrykach, cukrowniach i kopalniach Wiśniowieckiego, tem więcej, że sama jest bogata, a ty będziesz zamożny. Jeżeliby to miało być motorem jej wyjścia za ciebie, to ja pierwsza cofnęłabym rękę od takiego maryażu. Mogło ci to być pomocą, ale nie może być warunkiem. Wie, że ją kochasz i powinna cię rozumieć, co cię wstrzymuje od formalnych oświadczyn. Kocha cię: to cię do nich doprowadzi w kwadrans; nie kocha cię? to chyba ty sambyś nie chciał.

— Idyotka! — zmełł w zębach hrabia Zdzisław.

— Zresztą — mówiła dalej Teresa — chciałeś, abym była dla niego grzeczną i taką by-

łam. Co możesz mi zarzucić? Że mu przyjdzie do głowy oświadczyć się o mnie, tego nie mogłeś przewidzieć ani ty, ani ja.

— Owszem, ja przewidywałem — rzekł Zdzisław.

— Dlatego, że się koło mnie kręcił?

— Dlatego, że się miał prawo kręcić.

— Jakież?! Proszę cię.

— Pewne oznajmienie, że wykreślenie się jego z karnetu zrobiłoby pewnej pannie przykrość.

Teresa zdumiała się: To?! Tyle?! Kto ci to mówił zresztą?

— On sam.

— Więc mówiliście o mnie?

— Tak, mówiliśmy.

Dreszcz chłodny przebiegł ciało Teresy.

— Cóż to za karnet? — spytała pani Morska.

— Na balu u nas. Rozkapryśił się, chciał się wykreślać. Spytał mi się, czyby mi to zrobiło przykrość, powiedziałam, że tak, bo mnie Zdzisław prosił, żeby go nie zrażać i nie odstraszać.

— A, moja droga — ozwała się ciotka Wyczewska — jeżeli porządna i każąca się szanować panna powie tak młodemu człowiekowi, zwłaszcza, jeżeli ten młody człowiek okazuje jej żywszą, niż zazwyczaj, sympatyę, to...

— Ależ to było tak niewinnie powiedziane, ciciu — broniła się Teresa.

— Jakkolwiek było powiedziane, niemniej mogło, a nawet musiało dać do myślenia.

— Ależ w takim razie pierwsze lepsze podanie szklanki wody i przyjęcie jej mogłoby dawać do myślenia.

— Jeżeli ci nie wystarcza ciotka, to oszczędź starszą osobę od impertynencyj, o ile ci się tak podoba — rzekła urażona ciotka Wyczewska.

— Przepraszam ciciu. Nie chciałam nic przykrego powiedzieć. Boże! Czego wy ode mnie chcecie, moi drodzy? Patrzycie na mnie tak, jakbym uczyniła coś strasznie złego? Oświadczył się, jak nie przy zdrowych zmysłach, a ja mu odmówiłam, bo go nie kocham. Cóż jest więcej na tej całej historii?

Na to rzekł hrabia Morski, strząsając popiół z cygara:

Moja Tereniu, czy ty jesteś niemądra, czy udajesz?

Teresa obrazila się.

— Co papa mówi?

— Pytam ci się, czy udajesz niemądrą, czy też jesteś nią naprawdę? Bo że ci się Wiśniowiecki nie podobał naprzykład, to ci wolno, ale kpić z nas, to znowu nie.

— A cóż — spróbowała przerwać Teresa.

— Cóż — powtórzył po niej hrabia Morski —

że dobrze wiesz, kto jest Wiśniowiecki i że to jest pierwsza partya w kraju.

— Papo! Żeby on był królem, jeżeli ja go nie Kocham...

— Tak, ale rozsądna panna w twoim wieku — nie zapominaj, że kończysz dwudziesty rok za trzy tygodnie — namyśla się, nim taką partyę odrzuci. A ty powiedziałaś *nie*, jak pierwszemu lepszemu panu Koziegłowskiemu z Psiej Wólki, albo Figlasiewiczowi z Wywędrówki.

Teresa wyprostowała się.

— Bo mnie to, papo, wszystko jedno. Wyjdę za tego, kogo będę kochała.

Chciała powiedzieć: Kocham — ale zlekła się.

Cała rodzina, zdziwiona stanowczością tonu Teresy, umilkła na chwilę. Hrabia Morski począł zapalać przygasłe cygare z twarzą niezadowoloną, Zdzisław patrzył w ziemię, widocznie bardzo zirytowany. Teresa uczuła się sama i opuszczona wśród nich wszystkich.

Wszyscy ją kochali, wszyscy byli dla niej dobrzy, a jednak uczuła się wśród nich taka obca, taka sama jedna. W tej chwili, jakby namyślnie, z sąsiedniego pokoju weszła Celinka. Teresa zwróciła na nią oczy; po ustach Celinki błąkał się jakiś tajemniczy, złośliwy uśmiezek.

— Wyjdź — rzekła do Celinki hrabina Morska. — Mówimy o rzeczach seryo.

Celinka rzuciła bystreimi oczkami na Teresę i cofnęła się.

— Więc ty stanowczo nie chcesz być księżną ordynatową Wiśniowiecką? — podjął hrabia Morski, tym razem łagodnie.

— Nie, papo. Bez uczucia nie wyjdę za mąż.

— Bardzo ładnie, bardzo ładnie. Ale uczucie obudzić się może, może się znaleźć nawet później, po ślubie. W naszym świecie wiele partyj robi się, możnaby powiedzieć, z tak zwanych racyj stanu, a potem znajduje się i uczucie i wszystko. Nie wątpię też, że Wiśniowiecki ci się podobać będzie, bo ma wszystkie dane na to. Postąpił po waryacku, za prędko, jak szaleńiec, ale wiesz, o czem to świadczy? Otoż że cię prawdziwie i bardzo kocha. Ręczę ci, że gdyby się żenił z jakąś Schwarzenberżanką, albo Lichtensteinówną dla tem większej pozycyi, to nie wpadłby konno prawie w nocy, nie wyglądał, nie gadał, nie zachowywał się, jak bzik. Jeżeli on się z tobą chce żenić, która masz tyle posagu, ile on może na miesiąc wydaje, człowiek, dla którego w Europie nie ma właściwie poza dworami za wysokiej partyi: to musi cię kochać naprawdę i szczerze. Nie godzi się uczuć ludzkich pomiatać. Ino,

— O, tak, papo — odpowiedziała Teresa żywo — nie godzi się uczuć ludzkich pomiatać. Dlatego też, jeżeli ja go nie kocham, to byłoby

pomiataniem mego uczucia, gdybyście mnie przymuszali do tego mariażu, o czem zresztą nie może być mowy.

Hrabia Morski przymrużył na moment oczy i mówił dalej, powoli i łagodnie: Nikt cię nie przymusza i przymuszać nie będzie. Zaprzeczyć się nie da, że pewne upoważnienie Wiśniowieckiemu dałaś. Słusznie ci tego ciotka Eufemia dowiodła. Tak. Ja ci tylko przedstawiam, że może lepiej i rozsądniej by było, zamiast stanowczego: *nie* — odłożyć odpowiedź do bliższego *posnamy się*. Czy nie?

— Moja odpowiedź będzie zawsze jednakowa.

— Tak ci się niepodoba?

— Ani mi się podoba, ani niepodoba; nie istnieje dla mnie.

Hrabia Morski był niezadowolony, ale panna panował nad sobą.

— Jednak zważ, dziecko — rzekł znowu — że nie sama jesteś na świecie i że nie można wyłącznie żyć własnym swoim egoizmem. Ma się także pewne obowiązki względem domu, względem rodziny, rodziców, braci, siostr. Trzeba czasem zrobić z siebie jakąś ofiarę, jakieś poświęcenie dla innych. Sama religia nas tego uczy i jest to jednym z przykazań Chrystusowych. Także my, którzy jesteśmy do pewnego stopnia rodami dynastycznymi, musimy pamiętać o tem, że utrzymanie świetności dynastji

jest naszym obowiązkiem, a podniesienie świętności naszą chlubą i zasługą. Zdziś kocha Olgę Kmitównę, ale także doskonale pamięta o tem, że ten maryaż podniósłby blask naszego nazwiska. Ty kochasz Zdzisia, prawda?

— Jakże możesz papo pytać o to?

— Otóż maryaż Zdzisia z Olgą jest w wielkiej części zależny od twego małżeństwa z Wiśniowieckim. Asysta Wiśniowieckiego dla ciebie więcej uczyniła w dziesięciu, czy dwunastu dniach, niż trzy lata cichych konkurów Zdzisia.

— Papo! — przerwała Teresa.

Hrabia Morski nie zauważył, albo udał, że nie zauważa akcentu córki i mówił:

Gdybyśmy cię wszyscy, jak tu jesteśmy, mama, ciotka Eufemia, ja, bracia twoi, poprosili: namyśl się tylko, nic więcej, tylko namyśl się, nie rekużuj, tylko zostaw czas do odpowiedzi, tydzień, nawet dwa tygodnie, niech się stara formalnie: czy odmówisz nam tego? Nie potrzebuję ci chyba tłumaczyć, jak bardzo, jak gorąco pragniemy my, cała nasza rodzina zresztą, tego maryażu. Pomyśl tylko! Ordynat Wiśniowiecki! Pozycya! Miliony!

— I zacny, dzielny, młody, piękny, rozumny człowiek — dodała hrabina Morska, widząc, że mąż trochę źle kończył, co dobrze zaczął.

Teresa słuchała słów ojca, ale zarazem patrzyła i z przerażeniem i z pogardą we własną

duszę. Dlaczegoż nie powie otwarcie, głośno, że kocha Rdzawicza i jest przez niego kochaną, że dała mu słowo, iż będzie jego żoną?... Dlaczegoż tego nie powie i nie utnie jednym wyrazem próżnej, a przykrej rozmowy?... Dlaczegoż czuje całą odwagę swoją, całą dumę swoją, całą godność, cały szacunek dla swoich własnych uczuć jak sparaliżowane?... Czy to nie jest podle stać tu i słuchać tego, co mówią, i nie krzyknąć: ależ ja kocham!.. Podle, niktzemnie!

Teresa z przerażeniem widzi tę swoją podłość i niktzemność. Widzi w sobie coś podobnego pierwszy raz, nie spodziewała się, że ma w duszy takie strony...

— Książę dostał gorączki, śpi — mówił hrabia Morski. — Pozwól, że, jak się obudzi, powiem mu, że wczoraj przestraszył cię po prostu i że...

— Nie, papo, nic, nic! — przerwała ojcu Teresa. — Nic. Ja księciu Wiśniowieckiemu nie mam nic więcej do powiedzenia nad to, co powiedziałam.

Oszukujesz się, podle się oszukujesz! — wyje w duszy Teresy. — Boisz się! Może się wstydzisz Rdzawicza?

Ciemnieje jej w oczach.

Hrabia Morski zmienia ton mowy, odzywa się twardo i tak, jak ma prawo:

To ja, jako ojciec, odpowiem mu za ciebie...

— Papol...

— I odpowiem inaczej — mówi dalej hrabia Morski.

— Papol...

— Jako ojciec, którego nie tylko prawem, ale i obowiązkiem i to obowiązkiem najświętszym jest starać się o szczęście swych dzieci.

— Ależ to byłoby dla mnie nieszczęście!

— Jesteś za młoda, aby rozmawiać o takich rzeczach.

Teresa zaciska palce u rąk. Jeden wyraz, jedno słowo — i nie może się na niego zdobyć!...

— Moja droga, po prostu bliźnisz Panu Bogu — odzywa się ciotka Wyczewska z fotela. — Dla panny, jak ty, choć nawet tak ładnej, zostać pierwszą panią w Polsce! Po prostu powinna byś pójść na kolanach do Częstochowy podziękować Bogu.

Hrabiowie Morscy z pewną niechęcią spojrzeli na hrabinę Wyczewską.

— Cioteczka przesadza — syknął przez zęby hrabia Stefan.

Teresa nie odpowiada. Rozpacz, rozpacz ją porywa nad własną nędzą duszy. Jest do tego stopnia podła, że nie powie nic, nic?...

Hrabia Morski znowu podjął łagodniej:

Masz po prostu los rodziny w swoich rękach. Naprzód uszczęśliwienie twoich starych rodziców, którzy cię bardzo kochają, następnie

los twoich trzech braci i siostry młodszej, którzy po twoim mariażu z Wiśniowieckim z największą łatwością porobią najświetniejsze partye wszyscy. A to jest przecie zadaniem życia ludzkiego — nie mówię, żeby nie było i pewnych innych zadań — dobrze się postawić i zająć odpowiednią towarzyską pozycyę.

Hrabina Morska lekko kaszlnęła.

— A zatem rzecz postanowiona — odezwał się pierwszy raz od okna hrabia Stefan, który dotychczas, milcząc, słuchał — papa jutro oświadczy księciu, że Teresa zostawiła sobie czas do namysłu. Inaczej mógłby on sam sądzić, że się na nią wywarło presyę.

Teresa rozpaczliwie milczy. Zbliża się do niej hrabia Zdzisław, bierze ją pod brodę i mówi:

Podziękuję ci za moje szczęście, siostrzyczko.

Teresa poczuwa do tego brata mimowoli wstręt, wstręt silniejszy, niż wszystko. Cofa się, odpowiadając:

I ty to chcesz nazwać szczęściem? I za co ty mi chcesz dziękować? Ja nie będę księżną Wiśniowiecką!

Hrabia Morski opanowuje się.

— Zostawimy czasowi — powiada — W żadnym razie nie odpowiesz księciu: nie. O to cię prosi twój ojciec, który mógłby i miałby prawo rozkazać ci.

Teresa schyla głowę i po prostu łamie palce palcami, tak je zaciska.

— O jednym się tylko przekonałem ze smutkiem — mówi dalej hrabia Morski — zawsze widziałem, że nie masz wiele przywiązania ani do nas obojga, ani do rodzeństwa —

— Papo! — próbuje się odezwać Teresa, której serce napęlnia ból, a do oczu nagle nabiegają pełne wyrzutu łzy.

Hrabia Morski ciągnie:

Ale teraz przekonuję się i to mnie martwi i smuci, że jesteś niedojrzała i niewyrobiona.

— To też za taką córkę myślą i działają rodzice — dodaje hrabina Morska głosem stanowczym.

— I to jest ich świętym obowiązkiem — kończy ciotka Wyczewska.

— A niemądrych panien wogóle nie powinny się pytać o ich zdanie w poważnych kwestiach — dorzuca jeszcze hrabia Stefan.

— No, ty jesteś jeszcze trochę dziecinny — odpowiada mu sprawiedliwy, jak król Edward, hrabia Morski.

A ona milczy! Ona milczy! Czy to słowo: «kocham» — jest kawałem żelaza, który tkwi jej w gardle?! Czy to nazwisko: Rdzawicz — jest kawałem stali, który tkwi w jej gardle?!... Oto sili się, szarpie wewnętrznie, rwie z siebie

te dwa wyrazy, rwie po prostu krwawemi rękoma z krwawych wnętrzności swoich — i nie może wyrwać i rzucić im przed oczy. O! Jakże ubliża swojej miłości! Jakże ubliża temu człowiekowi, który ją kocha, którego ona kocha! Takiemu człowiekowi! Wielkiemu człowiekowi! Nagle ratuje ją myśl: tu go nazwać byłoby profanacją — i w tej samej chwili ogarnia ją straszliwy wyrzut: jakto? profanacją — wobec rodziców?! Tereso! Coś ty pomyślała?! Ty, któraś powinna prochy zmiatać z przed nóg rodziców, która codziennie, rano i wieczorem, powtarzasz: «Czcij ojca twego i matkę twoją...» Tereso!...

— A zatem dobranoc ci, Tereniu — mówi jej matka, wstając z fotelu. — A gdybyś się do jutra rana już jednak zdecydowała po namyśle, to przyjdź wcześniej i powiedz mi.

— Mamo — zaczyna Teresa i urywa.

— Co mi chcesz powiedzieć? — pyta pani Morska.

Nie! Nie! To jej nie wyjdzie z ust! To jej nie wyjdzie z ust!...

Wtem we drzwiach zjawiała się Celinka z kopertą w ręku.

— To ty jeszcze nie śpisz, dziecko? — spytała hrabina Morska. — Co ty niesiesz?

— Kartkę od księcia. Karol tutaj nie chciał przeszkadzać i mnie oddał. Do Zdzisia.

— Od księcia? Co to? Daj! — zawołał żywo hrabia Zdzisław.

Książę Samuel, udawszy, że śpi, zasnął rzeczywiście, spał z pół godziny, wyspał się i po krzepiony znacznie, obudził. Otworzył oczy i nie zobaczył przy sobie nikogo, oprócz lokaja.

Chwilę myślał i zastanawiał się, ale nagle chwycił go ogromny żal za Teresą. Że był uparty i zuchwały, postanowił działać. W lot przyszedł mu do głowy pomysł, nawet z pewnym podkładem chwilowej zapewne, ale, bądź co bądź, prawdy. Że cała rodzina rozmawia teraz z Teresą, tego był pewny. Inaczej byłiby przy nim.

Grając napół nieprzytomnego, zapytał lokaja: Gdzie państwo?

— U starszej panny hrabianki — odpowiedział lokaj, któremu to doniosła pokojówka.

Poskutkuje — myślał książę — to dobrze; nie poskutkuje — miałem gorączkę, nie przypomnę sobie nawet...

— Papier — — koperta — — zamamrotał.

Lokaj podał.

Książę napisał, raczej nagryzmoilił, wykręcając niemożliwie litery, krzywo, w dół, do góry, jedne małe, drugie ogromne. Był zręczny i choć pierwszy raz fabrykował pismo nieprzytomnego człowieka, wykonał to bardzo dobrze.

Napisał: «Strzeleż sobie w łeb. X.» — zakleił

drżącemi zresztą naprawdę od wzruszenia rękoma, bo i próbował szczęścia i istotnie był blizki rozpaczy, i dał lokajowi, mówiąc:

Hrabiemu Zdzisławowi.

Lokaj, nie chcąc przeszkadzać, oddał list Celince.

Hrabia Zdzisław rozerwał kopertę — przeczytał i oddał matce. Hrabina Wyczewska nachyliła się ze swojego fotelu i przeczytała jednocześnie.

— Wielki Boże! — krzyknęła. — Biedna Małgorzata!

— Co się stało? — poskoczył od okna Stefan. Celinka otwarła usta.

— Patrz! Masz! — rzekł hrabia Zdzisław z patosem, biorąc papier z rąk matki i podsuwając Teresie przed oczy.

Przeczytała.

— Biedna Małgorzata! — jęknęła znów hrabina Wyczewska, dumna, że ma tutaj największe prawo tak jęknąć.

— Cóż ty na to? — zapytał, patrząc na Teresę hrabia Morski.

Teresa przeczytała i słowa te nie zrobiły na niej żadnego wrażenia.

— Kłamie — rzekła.

— Wiśniowieccy nie kłamią! — ujął się za świeżym przyjacielem młody hrabia Stefan.

Jak wpiery do Zdzisława jakiś mimowolny

wstręt, tak teraz dla Stefana uczuła Teresa jakąś mimowolną pogardę.

— Bądź pewny, że ten kłamie teraz — rzekła zimno.

— Tereso! Igrasz z życiem ludzkim! — upomniała ją ciotka Wyczewska.

— I to z życiem, które jest drogie całemu krajowi! — dodał ze wzruszeniem hrabia Morski.

— Ależ wy igracie z mojem życiem, które wam widocznie jest mniej drogie! — wybuchnęła Teresa.

Hrabia Morski wyprężył się i tupnął nogą.

— Zapominasz się! — krzyknął.

— Czy to jeszcze o księcia chodzi, mamó? — szepnęła do hrabiny Morskiej Celinka.

— Tak, ale ty idź spać. To nie dla ciebie rozmowa — odpowiedziała hrabina.

— Kiedy, mamó, ja coś wiem — szeptała Celinka.

— Ty? Co ty wiesz? — zapytała hrabina z uśmiechem, głaszcząc ją po głowie.

— Terenia się kocha.

— Co? W kim? Co ty mówisz?

— Ja nie powiem, ale niech mama poprosi, żeby Terenia pokazała swoją teczkę na listy.

— Teczka na listy? Cóż tam może być?

— Ja nie powiem, ale niech Terenia pokaże. Czytałam coś.

— Tereniu — rzekła głośno zaniepokojona

hrabina Morska — co ty masz w swojej teczce do listów, o czym może mówić Celinka?

Na twarz Teresy buchnął czerwony pons, a w oczach jej odmalował się ból, wstyd, oburzenie. Hrabina Morska aż uniosła się w fotelu, uderzona wrażeniem, jakie spostrzegła na córce.

— Pokaż, proszę cię — rzekła żywo.

Teresa stała nieruchoma, cała w ognjach.

— No, pokaż! — nalegała hrabina.

— Czy nie słyszysz, że matka prosi? — ozwał się hrabia Morski.

Teresa spojrzała na Celinę; ta odpowiedziała jej ironicznem i zuchwałem spojrzeniem.

— No, pokaż-że nam tę teczkę — odezwała się zaintrygowana hrabina Wyczewska.

Teresa nie ruszała się z miejsca, więc hrabia Morski krzyknął zniecierpliwiony:

Cóż u licha! Długo cię prosić będziemy?! Pokaż natychmiast!

Wówczas Teresa z zaciśniętymi ustami wysunęła szufladę z biurka i podała mu swoją teczkę. Krew uciekła jej z twarzy tak szybko, jak szybko na nią uprzednio wbiegła.

Hrabia Morski począł przerzucać papiery.

— Gdzie? Co?

— Tam jest wiersz i ćwiartka — odezwała się Celinka.

— Wyjdź teraz — rzekła hrabina Morska. Celinka zwróciła się ku drzwiom.

— Gdzie? — rzekł groźnie hrabia Morski do Teresy, podając jej teczkę.

Teresa, drżąc cała, wyjęła wiersz z pomiędzy papierów i podała mu. Hrabia morski włożył cwikier i zaczął czytać głośno:

— O moje złoto, o kochanie moje!
Ja dotąd nie wiem, jak się wszystko stało!
Zkąd przyszły do mnie dumne oczy twoje?
Zkąd ty przyszedłeś i wziąłeś mnie całą?

— Co to jest? — zapytał, zdejmując cwikier z nosa.

Teresa przytknęła rękę do gardła — dławiała się.

Hrabia Morski włożył znów cwikier i przeczytał wiersz do końca.

— Piękne — zadrwił hrabia Stefan.

— Nie żartuj. Nie pora na żarty — powiedział hrabia Morski głosem zirytowanego dyrektora policyi. — Dalej! Co to za ćwiartka, o której mówi Celinka?

Teresa zachwiała się.

— Bez głupstw! No?

Teresa, jak osoba, która straciła wszystko i która nie ma już nic do stracenia, wyjęła ćwiartkę z próbami swoich biletów i podała ją ojcu.

Hrabia Morski zaczął czytać po cichu i rzekł ze zdziwienia aż zupełnie zwykłym głosem:

W imię Ojca i Syna? Cóż to znaczy?

Podał żonie:

Patrz!

Hrabina przeczytała głośno:

Teresa z hrabiów Morskich Romanowa Rdzawiczowa.

I ona przeżegnała się głośno, a jej cieńka o końskim profilu twarz wyraziła najwyższe zdumienie, jakie człowieka opanować może.

— To do niego ten wiersz? — spytał hrabia Morski, z cwikiem na nosie.

Teresa nie odpowiedziała.

Hrabia Morski zdjął cwikier i patrzył na żonę, ona na niego. Wogóle wszyscy patrzeli na siebie nawzajem, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia i przyjść do siebie.

Pierwszy odezwał się nakoniec hrabia Zdzisław:

Czyś ty nie zwaryowała przypadkiem?

Oprzytomnieli.

— Więc to jest powód odmowy Wiśniowieckiemu? — zapytała hrabina Wyczewska nawiwnie.

Wówczas trzech hrabiów Morskich, a przede wszystkim hrabiego Stefana, opanował dziwny, bo nerwowo-homeryczny śmiech, który trwał chwilę.

— Rzeczywiście — czyś ty oszalała? — po-

wtórzył po synu hrabia Morski, skończywszy się śmiać.

Ale hrabina Morska uczuła, że teraz na nią kolej.

— Czy i od niego masz co? — zapytała surowo.

Teresa poruszyła wargami i wyjęła ze szkatułki na stole limbową gałązkę.

— Arkadya! — wykrzyknął hrabia Stefan. — Jak mi Bóg miły! Arkadya! Cóż to? Cedr libański, czy co?

— Czyście z sobą mówili? — indagowała hrabina natarczywie.

— Tak — szepnęła Teresa.

— I co?

— Że się pobierzemy...

Hrabia Morski porwał się, jak dzik.

— Szalona! Czyś ty rozum straciła?... — Przerwał, bo mu się język splątał z oburzenia.

— Oświadczył ci, że cię kocha? — zawołała hrabina.

— Tak...

Hrabia Stefan zbladł, podniósł obie pięści do góry i wrzasnął:

Co?! Smiał?! Jakiś Rdzawicz?! Jakiś artysta?! Smiał?! Nie! Taka czelność to przechodzi wszystko! A!

— Powiedz raczej: bezczelność! — zawtórował mu hrabia Zdzisław.

Teresa chciała się zdobyć na jakąś obronę — głos jej odmówił posłuszeństwa.

— Hrabianki Morskiej mu się zachciało! — wrzeszczał hrabia Stefan.

— I stu pięćdziesięciu tysięcy marek! — wołał hrabia Zdzisław.

— Będiesz miała wujenkę Piernikiewiczową!

— A stryja Kordupelskiego!

-- Dajcie pokój, chłopcy — odezwał się wyniosłe hrabia Morski. — Zdaje mi się, że nic nie zaszło takiego, o czemby było warto wogóle mówić. Teraz idziemy spać, a jutro rano księżę Samuel Wiśniowiecki wyjedzie ztąd, jako narzeczony Teresy.

Teresa zaprzeczyła głową i ramionami.

Tego było już hrabiemu Morskiemu za dużo.

— Nie?! — krzyknął. — Nie wyjedzie?! Teraz będziemy z sobą już inaczej mówili, moja panno! Ja tu teraz pan, słyszysz?! To zamiast do nóg paść rodzicom, zamiast błagać o przebaczenie, żeś szargała nasze nazwisko w romansach z jakimś tam powsinogą, choćby się tam o nim i gazety, nawet francuzkie, rozpisywały — to ty tu hardo głową kręcisz, to ty tu masz swoją wolę, swoje fupy? Na honor! Zamiast matce do nóg paść, żeś za jej plecami romans cięła?! Może cię i całował, co? Może ścisnął? Jak dziewczkę jaką? Co?! Taki chłystek! Taki z pod ciemnej gwiazdy!

Teresa opadła na swoje panieńskie łóżko, obok biurka stojące.

Hrabiego Morskiego ogarniał coraz większy gniew. Przyskoczył do niej prawie z pięściami.

— Gadaj! Co było?! Zaraz gadaj! Całowałaś się? Co? Sciskał cię? Co? Gadaj! Gadaj, bol...

— Bolesławie — odezwała się mitygująco hrabina.

Ale ciotka Wyczewska dała jej znak ręką, aby nie przeszkadzała. Była ciekawa, czy Rdzawicz Teresę całował.

— Gadaj! Całowałaś się?! — piszczał dyszkantem hrabia Morski. — Shańbilaś mój dom, moje nazwisko?! Mój ród i moje siwe włosy?! Co?!

— Nie — jęknęła Teresa.

Hrabia Morski objawił doznanie ulgi, ale zarazem jakiegoś żalu, bo stracił przyczynę do aż tak strasznej pasyi i wrzasku, a romans córki z Rdzawiczem wzburzył go do najwyższego stopnia.

— Twoje szczęście! — krzyknął jeszcze dyszkantem.

— Inaczej trzebaby go wyzwąć — rzekł hrabia Zdzisław.

— I tak trzeba — rzekł hrabia Stefan.

— Jesteście głupcy! — huknął bez ceremonii hrabia Morski. — Takich panów się nie wy-

zywa, tylko się ich przez kij przesadza. Ale żeby taka kanalia śmiała!

— I ktoby się był tego po nim spodziewał — odezwała się hrabina Morska. — Mnie się nawet dosyć podobał.

— A bo ty zawsze! — zwrócił się do żony wielce i słusznie zirytowany hrabia Morski.

— Już to prawda, Żenciu, że tu jest dużo twojej winy — rzekła hrabina Wyczewska.

— O! mama lubi nie przebierać w towarzystwie! — dodał hrabia Zdzisław.

— Ależ ja go spotykałam w świecie — spróbowała bronić się hrabina.

Na to hrabia Stefan:

To mama nie wie, że się tymi panami dekoruje salon, albo pokój jadalny, ale poza tem wara od progu? Hołota jedna! Na to są, żeby nas bawili, jak błazny! Odbędą swoje i won!

Tymczasem hrabia Zdzisław wyjął z teczki Teresy kawałek listowego papieru i od chwili już siedział przy jej biurku i pisał. Właśnie skończył i zwrócił się do ojca:

Papo, proszę posłuchać, czy dobrze?

Wielmożny Pan Roman Rdzawicz!

Dowiaduję się w tej chwili od mej siostry, Teresy, iż Wny Pan żywił względem niej pewne zamiary. Mam zaszczyt donieść, iż siostra moja

jest po słowie z księciem ordynatem Wiśniowieckim.

Z poważaniem

Zdzisław hrabia Morski.

Dobrze?

— Co? Pisać? — fuknął hrabia Stefan. — Żeby się potem chwalił przed całym światem, że z nim Morscy korespondowali?

— Nie rozumiem nawet, jak możecie chcieć nie zignorować całej tej historii — rzekła, wzruszając ramionami hrabina Wyczewska. — Dowie się przecież z gazety.

— Tak, zostawmy to gazecie — rzekł hrabia Morski. — A ty możesz się już uważać za narzeczoną księcia. Zresztą, to bardzo krótki proces. Zdzisiu, idź na dół i jeżeli nie śpi, to mu powiedz, że mu przynosisz słowo Teresy.

Hrabia Zdzisław wyszedł z pokoju.

Nakoniec z piersi Teresy wydarło się życie; zerwała się z łóżka, na którym siedziała, i rzucała do kolan ojcu z krzykiem:

— Jezus Marya! Nie zabijajcie mnie!

Hrabia Morski cofnął się z niesmakiem.

— Tragedye?

— Kocham go! Przysięgłam mu! — jęczała Teresa.

— O pierwszym się nie mówi, a drugie w danym razie jest wielkiem głupstwem, było

niem i niczem innym nie będzie — powiedział hrabia Morski, otrzepując klapę surduta.

— Przysięgłam na Boga!

— Dla uspokojenia twojego sumienia zwolnią cię z tej przysięgi tacy, którzy cię zwolnić mogą.

— Kocham go!

— Milcz! Dość o tem! — rzekł ostro hrabia Morski. — Wszystko ma swoje granice. Jużemy się o tem dowiedzieli i przyjęli do wiadomości. Stefan: konno posłańca z depezą do dzienników — *Kuryer* i *Dziennik poznański*, *Czas*, *Słowo*, *Kuryer warszawski*, *Kraj*: «Książę ordynat Samuel Wiśniowiecki jest po słowie z hrabianką Teresą Morską, córką hrabiego Bolesława i Eugenii z hrabiów Wyczewskich. Formalne zaręczyny i ślub odbędą się w najbliższej przyszłości.»

Hrabia Stefan minął się we drzwiach z powracającym bratem.

— Cóż?! — spytał.

— Ubiera się i przyjdzie tu.

— Tu nie może przyjść przecież! Powaryowali! — rzekł, tłumiąc uśmiech szczęścia, ze względu na powagę swoją i sytuacji, hrabia Morski. — Zejdziemy wszyscy na dół. Cóż to znowu?!

Teresa, która klęczała skurczona na ziemi, runęła bez zmysłów.

— Wody! prędko! — krzyknęła hrabina Morska.

— Idź! — rozkazał hrabia Morski Stefanowi. — Otrzeźwicie ją, a my ze Zdzisławem zejdziemy do księcia.

Wyszli.

Książę leciał po schodach, w spodniach Zdzisława i w jego trzewikach.

— Ależ nie można, nie można! — uśmiechnął się kordyalnie pan Morski. — Panieński pokój! A to krew gorąca, multańska!

Pan Morski wiedział wprawdzie, że w żyłach księcia Samuela nie płynie krew multańska, ale taka płynęła w żyłach księcia Jaremy.

Książę porwał ich obu kolejno w objęcia i podnosił do góry.

— Mocnyś, jak żubr — rzekł hrabia Zdzisław.

— Jabyłm teraz konia dźwignął! — zawołał książę. — Można ją zobaczyć?

— Nie... zmęczona, położyła się. Takeś ją książę napadł, prawdziwie po wiśniowiecku. Aż się dziewczyna przeleżała i osłabła ze strachu.

— I dlatego odmówiła na razie?

— A dlatego!

— A ja już chciałem sobie w łeb strzelać!

— Strzelimy, ale z czego innego. Karol, szampan do salonu!

Tymczasem Teresę z wielkim trudem przy-

wrócono na górze do przytomności. Leżała chwilę z otwartymi oczyma, potem odezwała się cicho, ale wyraźnie do matki:

Mamo, możecie mnie zabić, ale nie możecie mnie zmusić do tego, abym przestała kochać, ani do złamania mojej przysięgi.

— Ojciec już powiedział księciu.

Teresa zakryła oczy.

— Pomówimy o tem jeszcze. Teraz wycznij, abyś jutro rano wyglądała po ludzku.

... Nie zejdem na dół.

— W takim razie powiemy księciu, że go bardzo przepraszasz, ale że jesteś chora. I poszlesz mu to — tu hrabina Morska przeszła obok do pokoju Celinki i przyniosła ztamtąd ramki z fotografią Teresy, którą wyjęła.

— Napisz datę.

— Mamo! — krzyknęła Teresa.

— W takim razie ja napiszę.

I hrabina Morska najspokojniej napisała datę.

Teresa wybuchnęła płaczem.

— Głupstwo się stało — mruknęła do hrabiny Wyczewskiej hrabina Morska.

— Panięskie perypetye. Ja sama kochałam się w nauczycielu fortepianu, pamiętasz? — odpowiedziała hrabina Wyczewska.

Hrabina Morska przygryzła wargę z uśmiechem i rzekła znacząco:

Pamiętam.

Uśmiechnęły się obie z pewną żenadą jedna przed drugą. Teresa szlochala. Wówczas hrabina Morska, która kochała dzieci, usiadła przy niej na łóżku, zaczęła gładzić jej włosy ręką i mówić:

Uczyniliśmy dla twojego dobra.

— Kocham go! — zaskomlała Teresa.

Hrabina Morska udala, że nie słyszy.

— Musieliśmy mieć rozum za Teresę, bo Teresa swój rozumek gdzieś zgubiła.

— Kocham go! — jęknęła znowu Teresa.

Hrabina Morska nie usłyszała znowu.

— Teresa będzie wielką panią, pierwszą panią w kraju — mówiła dalej — Teresa będzie jedną z pierwszych pań w Europie... Będzie mieszkała w lecie w ślicznym zamku, w zimie w Paryżu... Będzie miała najpiękniejsze brylanty i najpiękniejsze perły... Powozy i konie... Będzie miała pierwszy salon w Polsce... Wszyscy — —

— Mamo! Ty jesteś okrutna! — jęknęła Teresa.

Ale hrabina Morska, gładząc miękką ręką jej włosy, nie dosłyszała i mówiła dalej: Wszyscy będą Teresi zazdrościli, będą się jej kłaniali... Będzie jaśnie oświeconą księżną Wiśniowiecką, księżną ordynatową... Będzie miała pierwszą pozycję w świecie... Teresa jutro pójdzie do spowiedzi, ale nie do księdza proboszcza, tylko

do księdza Strzałkowskiego... Ja go uprzedzę...
Lu lu, kotki dwa — szare bure obydwu... Jezul
Znowu mdlejesz?!

Teresa znowu opadła wznak bez sił.

— Strach z tą dziewczyną! — zawołała pani
Morska, zupełnie wyczerpana, sięgając po fla-
szeczkę z eterem.

— Tereniu, przestań dokazywać, bo się matka
rozchoruje — rzekła hrabina Wyczewska suro-
wym tonem.

— Lepiej ci? — spytała pani Morska.

Teresa skinęła głową, dusząc w sobie łzy.

— Spij!

Hrabina Morska rozczuliła się i dodała, ca-
lując Teresę w czoło:

Biedne dziecko.

Teresa rozsłochała się, przyciskając głowę
do piersi matki. Pani Morska zwróciła pytające
oczy na siostrę, która wzruszyła ramionami.
Pani Morska ucałowała i uściskała Teresę
i wstała z łóżka z pełnemi łez oczyma. Ciotka
Wyczewska nachyliła się i pocałowała Teresę
w czoło.

— Mamo! Nie odchodź! — prosiła Teresa.

— Mamie słabo, nie zatrzymuj. Dobranoc
ci — odpowiedziała ciotka Wyczewska, wypro-
wadzając szybko hrabinę Morską z pokoju,
która zaraz za drzwiami rozplakała się bardzo
serdecznie.

— Taisez-vous! — syknęła hrabina Wyczewska. — Usłyszysz.

Hrabina Morska ścisnęła chustkę w zębach i poczęła szybko schodzić po schodach.

Wal się, wal, giń, świecie cały!...

Oto lżyli go, oto pomiatali nim, oto plwali nań — a ona nie wyrzekła jednego słowa...

Oto lżyli jej kochanie, oto pomiatali niem, oto plwali na nie — a ona nie wyrzekła jednego słowa...

Oto lżyli jego kochanie — —

Jego kochanie!...

Świętokradczą, podłą, nikczemną swoją głowę Teresa z pięściami, wciśniętymi w skroni, tarza po poduszce.

Oltarz ten — ten kościół, w który weszła drżąca, trwożna, spłoszona... Świątynia pełna cudów, mrocznych kaplic i świętych szyb, przez których różnobarwną złocistą mozaikę, różnobarwne wpada światło ogromnego słońca... Świątynia, w której dzwony biją podobne do morskich wichrów i morskich fal...

O, rozpacz! O, rozpacz!

Giń, wal się, świecie!

Rozhukane, szalone ognie zniszczenia, lećcie po nim!..

Ratunku! Wybawienia!

Stado potworów tłoczy się na nią, stado harpij i widm strasznych, a wszystkie mają drogie, najdroższe twarze — matki, ojca, braci siostry...

O, Boże! Nie karz! Nie karz!...

Głowa zwisa jej na poprzek łóżka ku ziemi.

Nad łóżkiem wisi Matka Boska z Chrystusem na ręku. Ciemno jest, ale obraz ten porusza świecić; srebrny, przejrzysty blask go oświetla. Teresa widzi, widzi w ciemności słodką, pogodną twarz i Dzieciątka. Zesuwa się z łóżka, upada na kolana.

Pani, Pani Anielska! Matko Bolesna i Litościwa! Święta i Przeczysta! Ratuj!

Srebrne światło zagasło.

Teresa chce wołać do Matki Boskiej, ale wołać nie może — i powoli zaczyna szeptać: Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławion owoc żywota Twego...

Nie może się i modlić: opada jej głowa w otwarte dłonie na skraj łóżka. Przysiadła na pięty.

O, wstydzie!

Więc, żeby ta miłość, ta wielka, głęboka, święta jej miłość miała głos, żeby powiedziała światu: *jestem!* — potrzeba było śmiesznego, dziecinnego faktu zajrzenia do cudzej teczki

ciekawego dziecka, potrzeba było rozdziału z powiastki o «ciekawej Cesi...»

O, wstydzie!

Gdyby teraz stanął przed nią Rdzawicz i zapytał o jej kochanie i co się z niem dzieje...

Gdyby Celinka nie była zajrzała do jej teczki, albo gdyby ona była tę teczkę na klucz schowała, to nikt nigdy nie dowiedziałby się o jej miłości?

Tak! Nigdy nikt! O, wstydzie! O, rozpacz! Nie jest godna kochać, nie jest godna być kochaną! Godna jest tylko pogardy, po trzykroć pogardy!

Uciekła jej wszelka myśl, wszelkie uczucie...

Dom, pokoje — między pokojami, w środku, sadzawka, w sadzawce róże kwitną... Dachy niema, słońce się leje z góry do wnętrza.

Baronowa Lewetzau prowadzi ją za rękę.

Szpaler, mnóstwo ludzi, panie, panowie...

Na jakichś stopniach, w długim krużganku, przez który idą, pod palmami, on, Roman Rdzawicz — z jednej strony matka, z drugiej ojciec, za nimi Zdzisław, Stefan, Celinka, Ignas i Wiśniowiecki. Wszyscy są uśmiechnięci i szczęśliwi. Mnóstwo, mnóstwo ludzi.

Baronowa Lewetzau wiedzie ją za rękę powoli, powoli. Suknia Teresy staje się nagle bardzo długą, a tren od niej niesie, tańcząc, jakaś pijana dziewczyna. Idą tak, idą i dojść nie

moga. Idą ciągle, ciągle jest jasno, szczęśliwie, ciągle widzi przed sobą Rdzawicza pod palmami wśród rodziny swojej, i dojść nie mogą...

Nagle występuje z tłumu w białe śmiertelne płótno odziany Goupescu i dotyka jej ręką ramienia — —

— Śpisz, klęczący? — mówi do niej hrabina Morska.

Teresa jest pod tak silnem wrażeniem snu, tak widzi w białe, śmiertelne płótno odzianego pierwszego męża baronowej Lewetzau, że wzdrygnęła się cała i krzyknęła:

Ach!

Hrabina Morska całuje ją w głowę:

Nie bój się, to ja.

— To ty, mamó? — mówi napół nieprzytomnie Teresa.

Hrabina Morska z niepokojem patrzy na córkę i z niepokojem dotyka jej głowy.

Teresa jest rozpalona, ma gorączkę.

— Czy ci niedobrze? — pyta.

Teresa nie czuje się niedobrze, tylko nie może w żaden sposób myśli zebrać.

— Co to? Co to mamó? Co się stało? — pyta.

— Nic, zasnęłaś przy pacierzu. Połóż się jeszcze. Bardzo wcześnie. Piąta godzina.

— Piąta... Czemuż przyszłaś tak rano, mamó?

— Chciałam zajrzeć do ciebie.. czy dobrze śpisz...

Teresa oprzytomniała. Rzuca się matce do ręki i straszny, rozdzierający, przechodzący w wycie płacz rozdziera jej piersi. We drzwiach ukazała się twarzyczka najmłodszego brata Teresy, dziesięcioletniego Ignasia, który szedł z flobertem w rękę, w myśliwskim ubrańku, różowy i ładny. Usłyszał płacz i otworzył drzwi. Widzi siostrę na ziemi przed matką w takiej rozpaczce, siostrę, którą kocha nad wszystko. Przy padł do nich z krzykiem:

Mamo! Co się stało Tereni?!

Hrabina Morska także płacze. Ignasia chwytła nerwowe polkiwanie.

— Co się stało, mamo?

Otwierają się drzwi sąsiednie i staje w nich Celinka w koszuli nocnej. Pani Morska daje znak ręką, nie mogąc mówić, aby oboje odeszli. Ignas posłusznie idzie do pokoju Celinki, która siada na łóżku.

— Celi! Co się stało?!

— Terenia jest głupia — odpowiada Celinka.

— Jak to?

— Chce się z nią żenić ksiązę Wiśniowiecki, a ona chce iść za pana Rdzawicza, rzeźbiarza.

— No to jakże ten ksiązę może się chcieć z nią żenić?

— Taki ksiązę może wszystko, co chce.

— A dlaczego ty powiedziałaś, że Terenia jest głupia?

— Bo potrzeba być głupią, żeby beczeć, że ktoś będzie księżną i milionierką.

— A jeżeli ona kocha tego pana rzeźbiarza?

Celinka wydyma pogardliwie usta *à la* ciocia Femcia.

— Fi donc! Przecież nie chciałbyś mezaliansu w rodzinie.

Ignas nie wie co odpowiedzieć. Przychodzi mu na myśl coś, co niegdyś mówił stryj Leon; zaczyna więc:

A stryj Leon...

Celinka przerywa mu, powtarzając ogólne zdanie:

Stryj Leon jest głupi.

— Tyś sama głupia! — zaperza się o stryja Ignas.

Zaperza się i Celinka i krzyczy:

Wynoś się!

— To ty się wynoś! — odpowiada Ignas.

— Ja jestem w swoim pokoju!

— A ja jestem mężczyzną!

— Ładny mężczyzna, który ubliża kobiecie. Jeszcze ty masz fuzyę, a ja jestem w koszuli...

— Mamo! — szeptała Teresa. — Mamo moja!

— Dziecko drogiel — odparła, płacząc hrabina Morska. — Uspokój się. Nikt cię przecie nie zmusi, choć, gdybyś się zdecydowała, ślubowałam suszyć piątki do końca życia i do końca życia co niedzielę trzech mszy wysłuchać. Ale czy ty myślisz, że gdyby Wiśniowiecki nie istniał nawet wcale na świecie, gdyby wogóle nie było mowy o jakimkolwiek twojem małżeństwie, to jabym ci pozwoliła iść za tego człowieka? Czy ty wiesz, czy ty sobie wyobrażasz, co to jest być żoną artysty? Nie zastanowiłaś się, dziecko. Opowiadali mi o jednej rejentowej z Warszawy, której córka kochała się w jakimś poecie, że jej powiedziała, iż wolałaby ją widzieć w trumnie, niż jego żoną i to wydawało mi się przesadą, a teraz widzę, że to nie żadna przesada. Boże! Ty — żoną artysty! Już pomijam względy rodowe, ale czy ty wiesz, co to jest artysta? To są wszystko libertyny, utracyusze, lamparty, pijacy, długi robią, bez żadnej moralności, bez żadnych zasad, najczęściej bez religii. Dziś tu, jutro tam, dziś w Warszawie, jutro w Rzymie, pojutrze w Paryżu —

— Ależ mamó — przerwała Teresa — przecież wszyscy nasi krewni i znajomi to samo robią.

— To co innego. W mondzie jest w zwyczajnie wiele podróżować, a taki Rdzawicz to jest wagabunda.

Teresie skurczyła się twarz bólem.

— A potem: cóżbyś ty miała za życie? Lada modelka, lada — no już nie powiem. Każdy taki pan jest wystawiony na tysiące pokus. No, u nas także nie wszyscy mężowie są wierni, ale to co innego — ludzie bogaci mają swoje fantazy! Zresztą, wcale tego nie usprawiedliwiam, ale żeby taki jakiś pan miał cię zdradzać! Nie, tegoby jeszcze tylko brakowało! Żeby moją córkę, hrabiankę Morską, oszukiwał pan Rdzawicz! Ale już nietylko to, ale i to, że sławny. Byłabyś cieniem swego męża. Nie na to cię wychowałam. A! Nigdy!

— To byłoby dla mnie największym szczęściem, mamó — wyszeptała Teresa.

— Nigdy! Gdybyś nawet za Wiśniowieckiego nie poszła, wiedz, że póki ojciec i ja żyjemy, za Rdzawicza nie wyjdiesz. Tak mi Święty Boże i Ty, Święty Franciszku z Assyżu dopomóż! Co zaś do Wiśniowieckiego, zastanów się: czy będziesz miała odwagę i serce kompromitować nas? Kompromitować słowo ojca, który przez całe życie był wzorem gentlemana, człowiekiem wygórowanych pojęć rycerskich, słowo Zdzisława, który w ślady ojca wstępuje? Wiesz przecież, że oświadczyli Wiśniowieckiemu, że go przyjmiesz.

To wszystko było powiedziane z mocą, poczem hrabina Morska zaczęła znowu łagodniej:

Kocham cię i chcę tylko twego szczęścia. Jeżeli się przekonasz, że nie możesz kochać Wiśniowieckiego — trudno — za rękę cię nie wezmę. Obecnie jednak proszę cię o to i żądam tego od ciebie: nie kompromituj nas. Musisz się zgodzić na formalne zaręczyny i być przynajmniej tak długo narzeczoną księcia, póki się między Zdzisławem a Olgą rzeczy nie doprowadzą do końca. Potem — zobaczymy. Przyrzekasz mi to?

Teresa milczała.

— Przyrzekasz? — powtórzyła hrabina.

— Nie mogę — jęknęła Teresa. — Mamo! Mamo!

Nagle hrabinie Morskiej błysnęło przez głowę, jak ogniem — tchu jej zabrakło w piersiach.

— Ależ nieszczęśliwa! — krzyknęła. — Zastanów się! Cóż Wiśniowiecki pomyśli? Żeśmy zadrwili z niego?! Myślisz, że on to puści płazem?! Że zniesie taką kompromitację?! Że pozwoli sobie powiedzieć przez ludzi ze świata: w nocy *tak*, a rano *nie*?! On?! Pierwszy w Polsce pan?! Cóż ty myślisz?! Wyzwie Zdzisia, wyzwie Stefana, wyzwie ojca! Widziałś, jak strzela! Zabije wszystkich!

Hrabina Morska wierzyła w to, co mówi, tem łatwiej więc jej było potęgować wrażenie.

— Chcesz mieć na sumieniu śmierć ojca

i obu braci?! On nie oszczędzi nikogo. Chcesz mnie uczynić wdową, Celinę i Ignasia sierotami?! O!...

Osunęła się bezwładnie w fotelu, na którym siedziała.

Teresa usiadła na łóżku, czując, że się świat cały z nią razem wywraca.

— Nic, nic, tej krótkiej, może chwilowej symulacji już nie dla szczęścia twego brata, ale po prostu dla honoru i życia twego ojca, dla honoru i życia twoich braci, dla mnie, dla Celiniki i Ignasia — i tego nie uczynisz?

— O, mamol

Teresa spuściła głowę z rozpaczliwą rezygnacją.

— Uczynisz? — wykrzyknęła hrabina Morska.

— Uczynię — odpowiedziała głucho Teresa.

Teresa obudziła się. Słońce wpadało już przez szyby, jasne i złote. Teresa obudziła się jakby z ciężkiego snu. Ale to nie był sen.

Teraz jedna myśl zajęła jej głowę: dotychczas mówili oni, ale co powie on: on, ten człowiek, który sam o sobie powiada, że mu się marmur gnie i kruszy w rękę?

Co on powie?...

Wpadnie tu, zdruzgoce wszystko, wyrwie ją, wyratuje — uratuje dla siebie i dla niej...

Bohater!

Nagle zadrżała. Gdzież to wpadnie, zkadże to ją wyrwie, od kogóż to wyratuje? Z domu, od rodziców?

Ale jednak, ale jednak — on coś zrobi, coś wymyśli, jest mężczyzna, jest geniusz...

Nagle wyobraziła sobie lufę pistoletu, wymierzoną ręką Wiśniowieckiego w głowę Rdzawicza.

Nie, Wiśniowiecki nie śmiałyby...

I rozśmiała się sama w sobie na tę myśl. Nie śmiałyby... Oniby czego względem tego człowieka nie śmieli... Hołota, kanalia, wagabunda...

I znów rozpacz ją ogarnęła.

Ale jednak... ale jednak... Jest kobieta, jest bezsilną, skrępowaną tak, że się ruszyć nie może — on musi, on musi ją wyratować, dla niej, dla siebie — musi — musi potrafić to zrobić...

Gdyby wiedział, jak pozwoliła go lżyć, jak pozwoliła nim pomiatać, pluć na niego...

Wybaczyłby, wybaczyłby!... Jest rozumny, jest mądry, jest doświadczony... U nóg mu będzie leżała... Wyzna wszystko, sama, sama powie... Wyzna i przebłaga... Zrozumie, przebaczy...

Napisze do niego... Niech radzi, niech wymyśli ratunek!...

Miała tyle wiary w rozum, energię, w siły, w meztwo, w geniusz Rdzawicza. Marmur gwał

i kruszył mu się w rękę; zdumiewał ludzi, mógł zdumieć świat!...

Prawda! Ale jak wysłać list?... Wszystkie listy oddaje posłańcowi sam ojciec...

Pojedzie więc sama do miasteczka... Ach! Ale przedtem Rdzawicz przeczyta gazetę z wiadomością o jej zaręczynach...

Boże! Co począć?

Więc w nocy pójdzie, dziś, wykradnie się cicho, wymknie, i pójdzie, i zatelegrafuje.

Baronowa Lewetzau pół Europy pieszo, o żebraczym chlebie za ukochanym swoim poszła — — ona pójdzie tylko dwie mile...

Tak uczyni. Doniesie mu krótko: nie wierz gazetom, bądź spokojny, list wytłumaczy. List wyszle przecież jakoś, a w liście napisze wszystko. I on wszystko zrozumie, i wybaczy, i poradzi. Musi poradzić! Muszą wybrnąć z tej toni!... Muszą! Muszą!... Pan Bóg dopomoże! Pan Bóg nie dopuści, aby ona zламаła swoją przyszłość — — i nie dopuści do ich nieszczęścia... Dobry Bóg!...

Zaczęła się modlić serdecznie, gorąco. Nagle weszła do pokoju ciotka Wyczewska, a za nią ukazał się ksiądz wikary Strzałkowski.

— Ksiądz wikary dowiedział się, że jesteś słaba i przyszedł cię odwiedzić — rzekła hrabina Wyczewska.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
Dzień dobry pannie hrabiance.

— Na wieki wieków. Amen — odpowiedziała
Teresa, ogarniając się koldrą.

Ksiądz wikary usiadł obok łóżka, hrabina
Wyczewska rzuciła mu porozumiewające spoj-
rzenie i wyszła.

A więc tak?! A więc przysięga taka jest
nie ważna, nie jest niczem innym, jak tylko
przemówieniem się... Nieopatrność i gorączka
młodości... Sidła uwodzicielskie... Niecne duchy,
zatrute jadem miast... Dekadentyzm, ludziom
szkodliwy, a Bogu obmierzły... Kościół ma prawo
od wszystkiego uwalniać i wszystko rozgrze-
szać... Trzeba panować nad ciałem. Nie trzeba
się dać uwodzić własnej wyobraźni... Pierwszym
obowiązkiem dziecka jest posłuszeństwo dla ro-
dziców... Żadnego kroku, żadnego przedsięwzię-
cia własnowolnego, wbrew zakazowi, woli, inten-
cyi rodzicielskiej pod utratą błogosławieństwa
Boskiego... Dziś prośba przyjaciela, jutro zakaz
kapłana... Jedyłą rzeczą młodej panny jest po-
wierzyć swój los w ręce rodziców ziemskich
i ojca duchownego... Bóg dał przez usta Mojżę-
sza władzę rodzicom nad dziećmi, Chrystus usta-
nowił absolutną i nieograniczoną władzę ducho-
wną nad sumieniami wiernych synów i wier-

ných córek Kościoła. Duch Święty daje kapłanom światło prosto z Nieba. Wystąpić przeciw jednej, albo przeciw drugiej władzy, to jest wystąpić przeciw Bogu Ojcu, Chrystusowi i Duchowi Świętemu. Więc nawet Bóg przeciw niej?..

Po obiedzie przyjechała księżna Wiśniowiecka z synem, w formie.

Weszła do pokoju Teresy, wprowadzona przez hrabiny Morską i Wyczewską, łaskawie, protekcyjonalnie uśmiechnięta, i raczyła być zadowolona. Pocałowała Teresę kilka razy koło włosów i radziła zażyć olejku rycynowego. Nic tak nie działa uspakajająco na nerwy.

Siedziała kwadrans, szeleściła jedwabiami i szalem tureckim, polyskiwała klejnotami i małą, wązką nogą w lakierku, powiedziała:

Dziękuję ci bardzo, moja droga; Samuel jest uszczęśliwiony.

Poradziła jeszcze raz olejek, albo nawet klyzopompę, pocałowała Teresę znowu koło włosów i wyszła, szeleszcząc jedwabiami i szalem tureckim.

Z całego zachowania się księżny, Teresa zmiarkowała, że książe nie musiał jej powiedzieć nic więcej, jak tylko, że się oświadczył i został przyjęty. Pani Morska i pani Wyczewska wyrażały ją w odpowiadaniu księżnie, pilnie i do-

bitnie podkreślając, że niedyspozycya jest chwilkowa i że wogóle Teresa jest obrazem zdrowia i sił, mimo bledości na twarzy. Równie bladą była jej babka, która miała czworo dzieci, i również blade były dwie nieboszczki ciotki stryjeczne, z których każda miała po trzech synów i dwie córki, i to synów naprzód, córki potem.

Księżna wydawała się spokojna. Przyłożyła lornetkę do oka i przypatrywała się Teresie bystro, jakby mierząc jej kształty i długość pod kołdrą, ile z tego trzeba odjąć na ubranie, podkładki etc., oraz na obcasy, a możliwe korki?

Odjechała dosyć późno, gdyż Samuel zagrał się w karty z domowymi i księdzem Strzałkowskim.

Było koło jedenastej w nocy. Księżyc świecił jasno.

Teresa wstała z łóżka. Czowała ogromne osłabienie, ale ubrała się i stanęła przy oknie.

Park pachniał i cicho było w powietrzu.

Wówczas z piersi Teresy wydobyło się ogromne, głębokie, bezbrzeżnie bolesne westchnienie: Boże!...

Boże! Boże! To nie może być, żebyś Ty był przeciw mnie, nie może być!... Ty jesteś z cierpiącymi, Ty widzisz, jak ja cierpię!...

Boże! Boże!

Nie! Nie! Ty nie mogłeś mówić przez usta księdza Strzałkowskiego — — nie!

Inna jest jakaś Twoja prawda, inna wola Twoja!...

I Teresa ujrzała przed oczyma wyobraźni baronową Lewetzau, jak siedmnastoletniem dzieckiem idzie, żebrząc, z Rumunii do Anglii za swoim ukochanym Goupescu...

Nie! Nie. Nie może być! Papież jest tylko nieomylny! Wszyscy inni ludzie są omylni! Ublaga księdza arcybiskupa, aby w Rzymie Ojca Świętego zapytał, czy ksiądz Strzałkowski może zwalniać z przysięgi... Ach! a miłość mógłby jej z serca wyrwać jeden tylko Bóg — śmiercią!...

Co to będzie? Pojutrze, jutro może nawet Rdzawicz wyczyta wiadomość o jej zaręczynach...

Co sobie o niej pomyśli?!... Co się z nim stanie?!

Nie! Nie! Musi wiedzieć, że to nieprawda, nieprawda!...

Pójdzie — zatelegrafuje...

Opanowyywa wolą swoją osłabienie i bezsilność.

Konia nie można wziąć — piechotą pójdzie!
Sama?

Ogarnia ją strach. Za parkiem są pola puste, potem las...

Nagle przychodzi jej na myśl — weźmie Ignasia.

Na palcach wkrada się do pokoiku, w którym śpi Ignas, i budzi go. Ignas przeciera oczy.

— Co?

— Wstań, ubierz się.

— A co? Co?

— Cichutko! Ubierz się prędko. Pójdziemy.

— Dokąd?

— Ubierz się. Tylko cichuteńko.

Ignas ubrał się.

— Dokąd idziemy?

— Na telegraf.

— Na telegraf?! Dwie mile?

— Tak. Nic się nie pytaj, powiem ci wszystko.

— Wziąć łuk, czy lancę?

— Weź szpicrutę i mnie daj drugą.

Wyszli. Nikt nie zauważył. Wyleźli z parku przez dziurę w parkanie, którą znał Ignas.

— Co ty chcesz telegrafować? — szepnął.

— Muszę.

Ignas objął ją ramieniem w pól.

— Ty jesteś bardzo biedna, Tereniu! Prawda?

— Bardzo...

— Dlaczegoż jestem taki mały?! Wyzwał-

bym Wiśniowieckiego na udeptaną ziemię, na pałasze, alibo na pistolety, jak Zbyszko Rotgera, i zabił go! Ale przecie Zdziś, Stefan...

— Nie mów o tem...

Ignas milczy chwilę, potem mówi:

Wiesz co?

— Co?

— Ucieknijmy!

Teresa uśmiechnęła się.

— Gdzie na jaką wyspę bezludną. Zbudujemy chatę z gałęzi; ja umiem robić łuki...

Idą polem, na którego skraju, pod lasem, stoi murowana kapliczka, a w kapliczce umieszczony jest Bóg Ojciec, Pan Jezus i Duch Święty w postaci gołębia. Kapliczka nazywa się Świętej Trójcy.

Pada na nią światło księżycowe i osrebrza ją całą, wielki słup światłości tworząc pod lasem.

A światło to, ta jasność, pada prosto w oczy Teresy, prosto w jej oczy...

I dusza w Teresie zaczyna drżeć...

Bóg dał przez usta Mojżesza władzę rodzicom nad dziećmi, Chrystus ustanowił absolutną i nieograniczoną władzę duchowną nad sumieniami wiernych synów i wiernych córek Kościoła, Duch Święty daje kapłanom światło prosto z nieba... Wystąpić przeciw jednej, albo przeciw drugiej władzy, to jest wystąpić

przeciw Bogu, Chrystusowi i Duchowi Świętemu...

Jutro — jutro ksiądz Strzałkowski będzie jej czekał w konfesjonale...

Powie mu, że wychodziła w nocy, że powzięła własnowolne przedsięwzięcie wbrew zakazowi, woli, intencji rodzicielskiej, że poważyla się na coś, czego jej zabronił pod utratą błogosławieństwa Boskiego?...

A gdyby teraz umarła?

Zimny, straszliwy dreszcz przeniknął ją całą. Wydało jej się, że szatan bieży tuż przy niej, za włosy ją chwyta. Na wieczność w piekło, na wieczność!...

I niedość, że sama buntuje się przeciw władzy rodziców i swego duszpasterza, jeszcze małego swego braciszka robi swoim współnikiem?...

Powie to jutro księdzu Strzałkowskiemu przy konfesjonale? Powie mu to? Nie, umrze raczej pierwszej ze wstydu, ze strachu, z przerażenia przed nim i przed tem, co on jej powie, gdy to usłyszy?... Nie rozgrzeszy jej — nigdy! nigdy!... A gdyby potem umarła?...

Zimny pot rosi czoło Teresy; słania się. Są tuż pod białą murowaną kapliczką Trójcy Świętej.

— Tereniu! Co ci? — woła Ignasz z przestraczem.

Teresa opiera się o kapliczkę, traci wzrok; oczy uciekają jej w głąb głowy, osuwa się na ziemię wzdłuż muru.

— Ignasiu — nic — jednego słowa — powiedz — spacer... przejść się...

ROZDZIAŁ VII.

Był tak cudowny dzień wrześniowy, jak gdyby zaczarowany. Niebo, niebieskie, od słońca lśniące, bez jednej chmury, rozpinało się nad ciemno-zielonemi wzgórzami, pełnemi blasku. Słońce wnikało w ciemno-zielony gąszcz smreków leśnych i w zielone łany kosodrzewu po reglach. Łąki błyszczały w oczach do zachwytu i upojenia. Na błękit Gewontowej turni spłynęła pogoda błękitna i złocista. Słońce szło od południa, z zaczarowanego jakiegoś świata szło i wydawało się, że tu część tylko swej pogody niesie, a już jest tak ogromnie pięknie na świecie. Więc co tam być musi, co tam być musi, za górami...

Jakieś morza niezmierne, turkusowe i jasnością szumiące, jakiś cud świata nieobjęty, nie do wyśpiewania... Nie może być najpiękniejsze, co się widzi — najpiękniejsze jest to, co się myśli... jeszcze piękniejsze...

Ach tam! za Tatrami... Czy nie faluje tam po prostu ziemia, upojona sama własną urodą, rozpojona szczęściem własnej piękności... czy nie kołysze się od nadmiaru cudów, które same sobą zachwycone nawzajem, przeniknąć się chcą, splątać, spleść i w jednej olbrzymiej harmonii, wiecznie młode i wiecznie wspaniałe, krążyć pustynią błękitną, jak rajski ptak w przestrzeni, widzący blask swych piór odbity w wodzie...

W taki poranek Łanowski siedział przed izbami na Skibówce, na ławie wązkiej podściennej, z panną Elą Rosieńską. Siedział z głową spuszczoną w dół, a ona oparta była ciemniem o ścienny półokrągły, czerwony tram, i patrzyła na niebo.

Milczeli, aż Łanowski rzekł po chwili:

Cóż ma zrobić człowiek, który jest przekłety?

— Szukać ulgi — odpowiedziała panna Rosieńska.

Łanowski żywo się poruszył: Ale tak przekłety, jak ja? Cóż ja za ulgę znaleźć mogę? W jednym tylko: palnąć sobie w łeb!

Wówczas Ela Rosieńska, która wiedziała, że Łanowski ją kocha, a której wszystko na świecie było obojętne, i tylko siała z rąk dobroć naokoło siebie, jak zgodzony rolnik sieje w ziemię obfite ziarno dlatego, że ma go pełne ręce, wyciągnęła swoją białą, zimną, chudą dłoń i poło-

żyła ją Łanowskiemu na splecionych dłoniach, mówiąc:

Jeżeli pan chcesz, żebym była żoną pana, będę.

Łanowski w tył się porwał i ze szczęścia, oraz zdumienia słowa znaleźć nie mógł; patrzył tylko na Elę, jakby nie wiedząc, czy go słońce nie omamilo nadmiarem światła.

— Chcesz pan? — powtórzyła Ela Rosieńska.

— Pani! — krzyknął Łanowski, usiłując dowiedzieć sobie, że nie śpi, że ma zdrowe zmysły. — Pani! — i więcej nie mógł.

Wówczas Ela Rosieńska nachyliła się i spokojnie, poważnie, jak siostra, pocałowała go w czoło.

Łanowski przypadł jej do kolan i z głośnym łkaniem zaczął je całować. Ona zaś położyła mu chude, zimne dłonie na głowie, patrząc na niego spokojnie i poważnie, jak lekarz, który przyjmuje objawy wdzięczności od kogoś, komu życie uratował.

Łanowski nie pytał się, czy Ela go kocha, dlaczego czyni, co czyni: tonął w szczęściu, jak świat naokół w słońcu. Nakoniec nie mógł wytrzymać, oderwał się od kolan Eli Rosieńskiej, podniósł rękę do góry i krzyknął: Boże! Jeśliś tam jest na niebie? Oto pierwszy Twój piękny dzień w mojej duszy!

I znowu płakał i śmiał się i tarzał u nóg Eli Rosieńskiej, jak młode zwierzę ocalone z wody, która je już dławiła: pamięta ból i strach i płacze — oddycha i szaleje z radości.

Zaś Ela Rosieńska siedziała śniada od słońca, które ją opaliło przez lato, i uśmiechając się, jak ktoś, kogo dusza nic już wspólnego z ziemską boleścią i radością nie ma, przesuwała lekko palce po włosach Łanowskiego.

— Pani! — krzyknął nakoniec Łanowski — pani wie, że ja jestem tak strasznie chory! że moje dziaśła — i że to się nigdy nie uleczy...

— Wiem — odrzekła Ela Rosieńska.

Łanowski nie śmiał dalej mówić; patrzył na nią, a przerażenie niewypowiedziane zatliło mu w oczach.

— Wiem — powtórzyła Ela Rosieńska, zsuwając mu dłoń z włosów na czoło.

— Święta — szepnął Łanowski.

— Wstań — odparła Ela Rosieńska, podnosząc go z ziemi i myśląc, że teraz podnosi na prawdę, naprawdę ratuje człowieka.

Jednak wówczas miała w sercu bezmiar miłości; dziś tylko wiedzę, co to jest litość.

Łanowski dźwignął się drżący i nieumiejący się sam ogarnąć; Ela posadziła go obok siebie i siedzieli chwilę bez słów.

— Boże! Jakież świat jest piękny teraz! — westchnął głośno Łanowski i rzucił okiem na

twarz Eli. Patrzała w niebo, jak ktoś, którego nic z ziemią nie wiąże, który tam ma swoją ziemię i obcowanie.

Łanowski odsunął się lekko z jakimś uroczystym uszanowaniem.

— Pani — szepnął ze schyloną trochę głową.

Ela Rosieńska uśmiechnęła się do niego tak, jak duch, któryby zeszedł na ziemię na czas, aby ludziom, z którymi go nie łączy nic, czynić dobrze.

W pracowni swojej na Skibówce, niedaleko domu, gdzie mieszkała pani Laura z Elą Rosieńską i dzieckiem, i niedaleko domu, w którym mieszkali Tężłowie, Rdzawicz stał przed olbrzymią bryłą marmuru i ociosywał ją młotem.

Był to prezent ślubny dla Teresy: «Cisza.»

Miała być więc postać kobieca, siedząca na głazach pod pnem drzewnym, z harfą, na której leżą jej bezwładne palce, zasluchana. Twarz miała mieć Teresy, jej włos, jej kształt.

I marmur gwał się i kruszył przed Rdzawiczem. Z opunktowanego marmurowego bloku odpadały pod dłutem i młotem ściosy, jak z pod ręki atlety. Ogień, który gorzał w stalowych oczach Rdzawicza, zdawał się topić twarde kamień. Szalona, dzika energia twórcza, rozpierała pierś artysty, wichrem rwała mu ręce. Kuł, jak

Tytan. Upajało go poczucie, świadomość tej siły, tej odwagi, tej bohaterkiej energii.

Sam, sam wszystkiego postanowił dokonać. Nie tknie nikt marmurowego ciała Teresy, tak, jak nie tknie nikt żywej, tylko on...

Na zegarze, wiszącym na ścianie, biła powoli godzina czwarta po południu.

Rdzawicza duszę napelniała myśl dobra. Jeżeli Łanowski szaleje ze szczęścia, to szczęście jest możliwe...

Wątpliwości, obawy, złe przeczucia, złe doświadczenia z życia i złe doświadczenia osobiste przymilkły.

Rdzawicz odłożył młot i dłuto i wyjąwszy z pugilaesu na stole list Teresy, począł nań patrzeć, a w oczach poczęło mu się stawać jaśniej i jaśniej.

To ona pisała, ona...

Cała dusza, całe życie, cała racja istnienia skupiły się w oczach Rdzawicza.

Cóż wszystko, coż wszystko wobec niej?...

Czy nie jest to czarodziejstwem, żeby kobieta, którą się kocha, mogła się stać tak wszystkim? Podobnie, jak źródło w piaskach, które dla spragnionego wędrowca jest wszystkim. A życie czyż nie jest pustynią piaszczystą wokół człowieka? Czy istniał kiedykolwiek jaki umysł wyższy, twórczy, któryby tego nie czuł do głębi, do dna duszy?

Rdzawicz, który myśląc o przyszłości, doznawał dotąd prawie zawsze uczucia wielkiego niepokoju i obawy, którego nieśmiałość nerwowa wstrząsała się bolącym dreszczem, gdy sobie wyobrażał, co bądź co bądź trzeba będzie podjąć, a rozhułkana duma, miłość własna i ambicja wzdrygały się w przewidywaniu możliwych przykrości: patrząc na swoją rzeźbę, nabierał odwagi i otuchy. Nerwy jego, wyładowując się w twórczej pracy, uspakajały się, a zwalczając trud tworzenia nabierały mocy i tęgości. Przychodził także właściwy pierwszym chwilom tworzenia tryumf osobistych, indywidualnych sił, poczucie siebie samego i idąca za tem wzgarda wszystkiego, co jest niższe, niż tworzenie.

Na miły Bóg! kimże jest? Czy nie jest wielkim artystą, wielkim twórcą, którego imię coraz szerzej i poważniej jest wymawiane? Czy niema nawiedzeń jakiejś bezwiednej potęgi twórczej, która w głowie jego tworzy wizye, ramiona jego dźwiga, że pracują, jak stalowe tloki maszyny, nieświadomej, która musi dokonywać dzieł? Czyż nie jest jednym z tych wybranych, którzy są wyżsi nad ogół, mają prawo to czuć, i mają prawo żądać, aby inni ludzie to czuli? Cóż jest na świecie, co przed twórczymi duchami nie musi, nie musi zechcieć ustąpić?..

I szalona, dzika, a tak dumna energia twórcza artysty poczęła mu rozsadzać głowę, pierś,

istotę całą, że zdawało mu się, iż się rzuci na marmur z golemi rękoma i wydrze z tej marmurzej, głuchej bryły ukochany kształt swojej duszy i serca, a przelekły głaz zadrży, ugnie i skruszy mu się pod ręką!...

Jak Bóg!... Jak Bóg!...

I jej to wszystko do stóp, do małych, drogich, ukochanych stóp — wszystko, wszystko!... Jak Bóg, który światy tworzy, a życie swoje nieśmiertelne wkład w miłość dla jednej dziewczyny...

Zapukano do drzwi. Rdzawicz niecierpliwie podszedł ku nim otworzył z klucza, odebrał z rąk listonosza gazety i znowu zamknął. Rzucił niedbale gazety na stół i wrócił ku blokowi marmuru. Coś jednak zaniepokoiło go i jakieś dziwne uczucie, jakby naglej obawy, nim owładło.

Zbliżył się do stołu i począł przeglądać pisma i oczy jego padły na wiadomość, iż hrabianka Teresa Morska, córka hr. Bolesława i Eugenii z hr. Wyczewskich, jest po słowie z księciem ordynatem Samuelem Wiśniowieckim. Zaręczyny odbyć się mają wkrótce, a potem niebawem ślub.

Rdzawicz przerzucił gazetę, oparty obu rękoma o stół: przeczytał, zachłysnął się brakiem powietrza i jak był, zmartwił.

Na zegarze, wiszącym na ścianie, poczęła bić powoli godzina siódma.

Rdzawicz ocknął się i pierwszym jego wrażeniem było, że nie słyszał ani piątej godziny, ani szóstej.

Potem uprzytomnił sobie, że drzwi są zamknięte na klucz.

Że jest sam...

Sam... Sam...

Naokoło są cztery ściany, szczelne, nie przepuszczające światła cztery ściany i drzwi zamknięte. Potem powoli, powoli, spróbował odjąć ręce od stołu i wyprostować się, ale nie mógł.

I znów tak stał, oparty o stół rękoma, nad gazetą.

Było już ciemno...

Skontrolował, że oczy ma otwarte.

Czytał — czytał przez trzy godziny.

Jeszcze jeden ruch nadludzkiego wysiłku, druzgocącej energii. Odjął ręce, wyprostował się, zaczął iść wolno, wolno, i stanął koło bloku marmuru. Dotknął go ręką; zimny był i martwy.

Cofnął rękę bojaźliwie, jak od trupa.

Potem zaczęło mu się zdawać, że się kurczy cały, że maleje. Wydawało mu się, że staje się coraz niższy i coraz szczuplejszy. Zaczęło go tłoczyć wszystko, co było dokola.

— Jestem tak mały — pomyślał, i to była pierwsza wyraźna, dająca się pojąć myśl.

I ciągle to uczucie, że jest sam, to zadowolenie...

Uwaga jego cała skupiła się na kluczu, na otworze do klucza w zamku drzwi.

Nikt nie otworzy...

Potem poczęło coś krążyć po nim, w piersiach, od lewej strony ku prawej, z pod serca dołem, przeszło nad prawą brodawką piersi, przeszło przez tchawicę, wróciło do serca i poczęło płynąć przez nie w dół, tam zkąd wyszło.

Potem zaczęło go boleć serce, ścisnęło się i wtłoczyło w bok, w głęb; żebra ugięły się nad niem i przycisnęły je.

Nagle zachwiał się, podniósł trochę ręce i oparł się plecami o blok marmuru.

Zaczęło go boleć w głowie, w czole, w środku czoła. Niemożność pojęcia myśli, co się stało i co się dzieje? Straszliwe zamroczenie mózgu, z którego nie można wydobyć żadnego światła... Nie można oświetlić mózgu, aby zobaczyć, co w nim wibruje? Nie można myśleć poza swoim własnym mózgiem, ani nad mózgiem.

I to jest jedyna dająca się uświadomić operacja mózgu, że niemożna jego wewnętrznej operacji dojrzeć, i to jest jedyną uświadomioną jego operacją, że tylko ta jego operacja daje się uświadomić.

Wysiłki — próżne...

Potem wrażenie absolutnej, zupełnej ciszy i mroku.

Potrzeba zmiany pozycji.

Rdzawicz oparł czoło o marmur.

Nakoniec zupełne, jasne, pełne, straszne uświadomienie, że ten marmur, to ona.

I przed oczyma Rdzawicza jawiący się rycerz ogromny, skrzydlaty, w złotym kasku, w złotej zbroi i ze złotym mieczem w rękę, pełen barwy i krasy na twarzy, potężny i atletyczny, który idzie ku niemu z góry, a w oczach ma takie płomienie, które mówią: śmierć... Anioł śmierci...

Zadrżał i cofnął się.

A zjawisko następuje bliżej, bliżej... Już jest tuż nad nim... Już złoty miecz godzi w pierś Rdzawicza...

Przymknął oczy...

Ciemny, czarny kształt z opuszczonemi skrzydłami obejmuje Rdzawicza z tyłu...

Anioł śmierci...

Świadomość, że energia twórcza nie przestaje pracować.

Ale wizja jest potężniejsza, niż jej uświadomienie.

Anioł śmierci! Anioł śmierci!

Rdzawicz chce się wyrwać, uciekać — rwie

się naprzód i nie rusza z miejsca. Widmo objęło mu ramiona.

Anioł śmierci!... Znów!... Znów!...

Puść!...

Ostatnim, śmiertelnym wysiłkiem Rdzawicz szarpie się naprzód i pada na podłogę twarzą ku ziemi.

Chwilowe konwulsye, tem straszniejsze, że bez jednego jęku, i znów martwota.

Na zegarze wiszącym na ścianie, bije godzina ósma.

Rdzawicz oprzytomniał. Już księżyc świecił przez okna pracowni.

Dźwignął się z ziemi i dowlókł do sofy.

Teresa...

Pierwsza, pierwsza jasna myśl...

Ból nie wydobywa się głosem, jękiem — kręci on Rdzawicza ciałem, jak na osi, tak, że Rdzawicz krąży koło środka własnego korpusu całym korpusem.

O!... O!... — kołczeje mu w ustach.

Zapukano do drzwi. Nie odpowiada. I znów to zadowolenie, że jest sam, że jest zamknięty.

Słyszy głos Tęźła i Łanowskiego.

Tęźel mówi: Wiesz, że nie wyszedł?

— Wiem — odpowiada Łanowski.

— No to musi spać. Romku! Kolacya! — woła przez drzwi.

Jest sam, sam zamknięty... Przyczaił się na sofie.

— Kolacya! Czekamy! — woła Tężel.

— Moja narzeczona cię prosi! — woła Łanowski.

Rdzawicz prawie umiera z bólu.

— Romku! — i Tężel wali we drzwi pięścią.

— Może go nie ma; musiałby się obudzić — mówi. — Czekaj! Klucz jest, więc śpi. Romku!

Nie! Nie! Już nie będziesz mię pocieszał tak, jak wtedy, ani ty, ani Jerzy... zresztą Jerzego już nie ma...

— Romku! Cóż u dyabła?! Zajrzyjno oknem, Stasiu.

Okna są nie zasłonię, ale sofę zasłania od nich parawan. Rdzawicz czai się, jak dzikie zwierzę w legowisku. Och! ma legowisko — otchłań bólu — jest się gdzie kryć...

Rdzawicz czuje, że Łanowski zagląda i słyszy, jak mówi: Ciemno — nie widać.

Wówczas Tężel, który jest bardzo silny, próbuje drzwi otworzyć przemocą. Szarpie niemi. Ach! Jeśli puszcza?!...

Z pracowni nie ma skrytego wyjścia.

— Jeżeli nie otworzę, to się poszle po gazdę i niech siekierą podważy. To jest nienaturalne — mówi Tężel zaniepokojony. — Albo czekaj, przynieś no moją ciupagę, ja to sam zrobię.

Rdzawicz rzuca się skokiem prawie ku sto-

łowi, porywa gazetę, mnie ją i wrzuca pod sofę. Potem kładzie się na sofie i przygotowuje do udania snu.

Tymczasem, nim Łanowski ciupagę przyniósł, Teżel pchnął drzwi tak silnie, że zamek pękł. Wszedł.

— Romku! — zawołał.

Rdzawicz milczy. Wie, że się niczego nie domyśli ani Teżel, ani nikt, bo nikomu słowa nie mówił. Jakże jest rad...

Teżel zapala zapalki, znajduje świecę, zapalił.

— Gdzieżeś ty?

— A! — spostrzega Rdzawicza na sofie za parawanem.

— Spisz?

Rdzawicz nie rusza się; twarzą jest odwrócony ku ścianie i ma lico przykryte dłonią. Teżel zbliża się, nachyla nad nim ze światłem i ostrożnie zesuwa mu dłoń z lica.

— Śpisz? — powtarza.

Rdzawicz udaje sen.

Teżel wstrząsa nim mocno. Rdzawicz nie otwiera oczu. Teżel bierze go pod ramiona, podnosi, prawie sadza. Rdzawicz ma oczy zamknięte.

— Romku! na miłość Boga! Co ci jest?! — woła Teżel przerażony.

W tej chwili wchodzi Łanowski.

— Patrz! — krzyczy Teżel.

— Umarł?!

— Nie — ciepły.

— Poraziło go?

— Nie. Coś dziwnego. Patrz, jaką ma straszłą twarz, jakby konał z jakiegoś bólu...

Rdzawicz był pewien, że ma wyraz twarzy naturalny.

— Panie! Panie Romanie! — woła Łanowski wystraszony.

— Daj no wody.

Teżel chlusta całą szklanką w twarz Rdzawicza, ten nie otwiera ocz.

— To jest coś straszniego! — krzyczy Teżel. — Musisz posłać po doktora.

Łanowski wypada przestraszony. Niedługo do pracowni wbiegają pani Laura i Ela Rosieńska.

— Co? Co? — pytają wszyscy.

Ela Rosieńska rzuca bystrym wzrokiem na Rdzawicza, patrzy chwilę i mówi:

Wyjdźcie.

Wszyscy jej słuchają i wychodzą.

— Zamknijcie drzwi.

Zamknęli.

Wówczas Ela Rosieńska siada na sofie, kładzie Rdzawiczowi obie ręce na sercu i mówi:

Żyj!

Głos ten ma magnetyzm w sobie. Rdzawicz otwiera oczy.

Oczy jego spotykają się z oczyma Eli Rosieńskiej.

Magnetyzm jej przelewa się w niego. Poczyna się czuć w jej rękach słabym.

— Cierpisz?

Rdzawicza pierś podnosi się, jakby do jęku.

— Strasznie?

Ela Rosieńska bierze obie ręce Rdzawicza w swoje dłonie i podnosi je lekko ku sobie.

— Strasznie? — powtarza.

W głowie Rdzawicza poczyna huczeć marsz chopinowski...

Dzwony, dzwony, dzwony huczą,

Dzwony duszę drą!

Wznak się wali, a ponad nią

Dzwony, dzwony grzmia!

— Co ci jest?

Rdzawiczem wstrząsa dreszcz.

— Biedny jesteś?

Ela Rosieńska chce go doprowadzić do wybuchu tak, jak doprowadziła do niego panią Laurę przed śmiercią jej męża.

— Co ci się stało?

Ela Rosieńska odgaduje, co się Rdzawiczowi stało. Nie zastanawiała się nad niczem dotychczas i nie myślała o tem wcale; zajęta była całą panią Lorą i dolą Łanowskiego.

Ale ta sama siła magnetyczna, która ją poprowadziła do drzwi Rdzawicza, kiedy siedział z rewolwerem w ręku przed laty ośmiu, ta sama daje jej teraz zupełne jasnowidzenie rzeczy.

Ela Rosieńska pyta, bo chce Rdzawiczowi otworzyć usta. Wie, że Rdzawicz cierpi przez kobietę.

— Mów! — powiada.

Rdzawicz nie chce mówić, ale czuje, że wola Eli łamie go i przymusza. Jednak jakieś zwycięstwo, jakieś zwycięstwo odniesie, jeżeli nikomu nie powie.

— Nie powiesz?... I nic ode mnie nie chcesz?... A jednak nie możesz zostać sam — mówi Ela Rosieńska.

Nadszedł ciemny wieczór. Drzwi uchyla nieśmiało Różia Teźłowa. Ela Rosieńska daje jej znak ręką, aby odeszła. Trzyma ręce Rdzawicza w rękach, bo czuje, że on leci w otchłań...

W otchłań!... W otchłań!...

Coraz ciemniej, coraz głuszej rozwiera się przepaść pod nim... Tam! na dno... na dno!... Rdzawicz widzi, że to dno jest nieskończenie niżej, niż był nisko dotychczas w życiu... że tak głęboko, jak spadł, jeszcze ma przestwór pod sobą...

Na dno!... Na dno!... Na zatracenie!...

...Połamię cię... zdepcą... i pójda dalej spokojnie, szczęśliwie...

Zdaje mu się, że słyszy głos Kamilli Naborskiej tuż nad uchem.

Zegar, wiszący na ścianie, bije godzinę po godzinie. Nieruchomo leży Rdzawicz i nieruchoma siedzi ponad nim Ela Rosieńska, trzymając go za ręce.

Martwa kobieta przy nim i martwy marmur poza nim...

Rdzawicz zaczyna się trząść, jak w febrze. Dreszcz staje się coraz silniejszy, coraz silniejszy.

— Zimno ci? — pyta Ela Rosieńska.

Z ust Rdzawicza wydobywa się od długich godzin pierwszy wyraz szeptu: Zimno.

Ela wstaje i okrywa go peleryną.

Wlecze się noc długa, milcząca. Ela przyniosła z drugiego pokoju lampę i zapaliła. Gdy się rusza, wysoka i chuda, wygląda jak widmo.

Nagle Rdzawiczem podrzuca na sofie. Huksa! Huksa! Juks! Juks! Juks! Erotoman! Hallohiho! — słyszy tuż za szybą.

— Co ci się dzieje? — pyta Ela.

A więc jest cicho i nikt się nie odezwał.

Zegar bije godziny i zaczyna świtać.

— Co poczniesz? — pyta Ela.

— Wyjadę -- szepce Rdzawicz.

— Dokąd?

- Nie wiem.
- Chcesz jechać sam?
- Sam.

Ela Rosieńska wie, że w tym bolu nie ma ran, bo całe serce jest jedną raną, pyta więc, wskazując blok marmuru: A to?

Może go przecież przywróci życiu...

Rdzawicz podnosi oczy na blok marmuru i opuszcza je z powrotem.

- Co każeś zrobić?
- Rdzawicz czyni ręką lekki ruch milczenia.
- Rano wyjedziesz?
- Rano.
- Co mam powiedzieć?
- Nic.
- Nikomu nic?
- Nic.

Powoli wstaje i nie mówiąc słowa, przechodzi do drugiego pokoju. Ela słyszy, że układa rzeczy w walizie. Wraca po pewnym czasie i mówi cicho:

— Idę, nie chcę nikogo widzieć. Rzeczy poszlej do Wiednia, Erzherzog Karl. Tę gazetę spal. Powiedz, że nie wiesz nic — nic, nic. Do widzenia.

— Do widzenia.

Uścisnęła sobie ręce.

— Odprowadzę cię na kolej — mówi Ela Rosieńska.

- Nie, pójdę sam.
- Nie zajdziesz, padniesz.
- Nie... Sam... Sam...

Rdzawicz czuje w tem słowie i w tem postanowieniu jakiś tryumf nad sobą.

- Zostań! — mówi Ela Rosieńska.
- Nie!... Sam... Sam...

Wychodzi, opierając się na lasce. Nogi mu się chwieją i gną. Zdaje mu się, że mu się ugną i skruszą, jak w jego rękach marmur.

Owiewa go wschodowy wiatr, rzeźwy i chłodny. Czerwone światła leżą na szarych turniach Gewontu, kosodrzewina po reglach, wonna i świeża, wydobywa się z mgły.

Pustka naokół.

Het, daleko, od orawskiej strony zachodniej kłębią się fioletowociemne obłoki i mgła faluje doliną i po gubałowskich zboczach. Gdzieś widać w niej samotnie sterczący dom, gdzieś pojedyncze drzewa jawią się, jak widma posępne, i znowu w niej nikną, jakby tonęły.

Ogromny, spokojny, ociężały, leniwy smutek przedjesienny kołysa się na mgle i na polach pustych i sennych. Gdzieś daleko, w nizinie, idą krowy, powoli i leniwie, i nikną w mgle jedna za drugą, zanurzając się w nią, jakby przepadały w pustkowiu. Za nimi niknie pastierka.

Rdzawicz idzie sam, po zwilgłej ziemi, nie widząc drogi przed sobą, nie czując jej pod stopami. Pogrąża się w mgłę swojej myśli i sam sobie niknie z oczu...

Co pewien czas jakoby uprzytomniał sobie, że istnieje, jakoby przywoływał do uświadomienia swoje własne istnienie.

Idzie drogą ku kolei.

Wtulił się w kąt wagonu. Zdala majaczy Mont-Blanc.

Zdeptali... połamali... idą dalej szczęśliwie... spokojnie...

Ach! Wrócić, wpaść tam!

I napotkać uśmiech chłodny, spokojny, pełen uprzejmie wzdrgliwego zapytania: po co?

Jej uśmiech!... Jej uśmiech!...

Pełen wzdrgliwego zapytania, które łatwoby mogło przejść w czystą, suchą wzdrgę!...

Jej — jej uśmiech...

Pociąg leci, a każde jego wstrząśnienie kalectczy i krwawi serce.

Genewa. Rdzawicz wysiada. Dlaczego tu? Wielka, spokojna woda — może dlatego.

Umieszcza się w hotelu, z którego widzi jezioro, a za nim Alpy.

Zaczyna się samotność, głucha, straszna, rozpaczliwa.

Jest sam — sam, tak, jak chciał.

Sam.

ROZDZIAŁ VIII.

I nic? Nic?...

Jednego słowa, jednego czynu? Jednego znaku życia?

Nic?

Tydzień już upłynął — nie może nie wiedzieć...

Teresa rozchorowała się; nocna wyprawa z Ignasem pod kapliczkę Świętej Trójcy spowodowała dosyć mocne zaziębienie.

Ksiądz Strzałkowski wyspowiadał ją; sama go o to prosiła. Wyznała wszystko. Zgromił ją, odmówił rozgrzeszenia dla dotkliwszej pokuty i za tydzień powtórnie wyspowiadać się rozkazał. Tymczasem modlić się, kruszyć, żałować.

Potem, zdjęwszy stulę, począł do niej mówić prywatnie. Jakto?! Panna z pańskiego domu, panna z arystokracji pozwala sobie na podobne wybryki?! W każdej sferze byłoby to godne potępienia, ale panna z pańskiego domu?! Arystokracja powinna się szanować, boć przecie

jest niejako przez samego Boga uprzywilejowanym stanem. Jak mówimy w «Ojcie Nasz» niech się dzieje wola Twoja jako w Niebie, tak i na ziemi: tak i porządek ziemski podobny jest do porządku niebieskiego. Jak tam istnieje hierarchia znakomitszych i mniej znakomitych Świętych, Archaniołów i Aniołów, przedniejszych i mniej przednich chórów anielskich, a każda niższa warstwa winna jest cześć i poszanowanie wyższej: tak samo i na ziemi są kasty i klasy społeczne, a każda niższa klasa winna jest cześć i poszanowanie wyższej. Arystokracja powinna cenić to w sobie, że jest odwiecznym rzeczą porządkiem i niejako z postanowienia Boskiego niedostępną, uświęconą wyżyną, i nie zniżać się własnowolnie, ani dopuszczać do siebie obcych żywiołów. Kościół chce i pragnie czystości i jednolitości warstwy arystokratycznej w społeczeństwie, na niej się bowiem w wielkiej mierze opiera, jako na przedmurzu przeciw zgniłym zasadom masońskim i zgniliznie hasel tak zwanego postępu i tak zwanej wolnomysłności. Ciekawym — mówił ksiądz Strzałkowski nawiasowo — gdzie jest większa wolnomysłność, niż w kościele, gdzie większa swoboda ducha i kto może swobodniej myśleć, niż ten, kto oparłszy się na dogmatach, myśl ma pewną i ubezpieczoną od wszelkich wahań i zwątpień? Któż jest swobodniejszy: czy ten

co błądzi po stepie, czy ten, co idzie pewną, wytkniętą, wyrobioną szosą, zkad ani zboczyć, ani gdzie zabłądzić nie może? O! — kończył ksiądz Strzałkowski — już ten krok hrabianki, to zuchwale wystąpienie przeciw władzy rodziców, to już jest niechybnie owoc zetknięcia się, choć, dzięki Bogu, niedługiego, z owym panem artystą. On to niechybnie swoim masońskim duchem zakaził duszę hrabianki. Czyż byłoby jej przyszło co podobnego do głowy?! Arystokracja, przedmiot niskiej, podlej i godnej pogardy zazdrości i zawiści tłumów, powinna dbać o swoje dostojęństwo i nie dopuszczać — powtórzył — obcych żywiołów do siebie.

Ksiądz Strzałkowski mówił z wielkiem przejęciem się, o obcych żywiołach zaś i niedopuszczaniu ich do siebie przez arystokrację — z zaciekleścią.

Teresa słuchała w pokorze i skruszce, mimowoli i jakby poza sobą, tak była przerażona, oszołomiona i zrozpaczona brakiem rozgrzeszenia, dziwiąc się, ksiądz Strzałkowski bowiem nie był nawet szlachcicem, a jego rodzice mieli mały sklepik na prowincyi w miasteczku.

Zgromiona i zestrofowana przez księdza Strzałkowskiego Teresa kajała się dzień i noc w modlitwie i choć nie chciała żyć, lękała się śmierci i zamęczała się tą obawą. Umarłaby nierozgrzeszona.

Ale choć ksiądz Strzałkowski zakazał jej myśleć o Rdzawiczn, ona niemyśleć o nim nie może, nie może...

Jednego słowa, jednego czynu, jednego znaku życia — nic, nic...

Teresa rozumie go: oburzył się, pogardził nią...

O ból — z tych stalowych oczu, które z taką miłością na nią patrzyły, odebrać wzrok dumnej, druzgocącej pogardy!...

Cóż on innego myśleć może? Zamieniła jego dumną sławę talentu na blask mitry i milionów pachółka od koni...

Pachółek od koni — oto jest nazwa, jaką daje Wiśniowieckiemu, choć wie, że nazwa ta nie jest zupełnie słuszną.

Teresa czeka, drży... Każdy turkot przeraża ją razem i razem napelnia radością. On... on...

Ale to nigdy nie jest on.

Nie przyjeżdża jej wrywać, ratować, dla niej, dla siebie.

Rozumny, doświadczony człowiek nie przychodzi; nie wlatą uskrzydłony geniusz; nie pojawia się bohater...

Marmur gnie mu się i kruszy w rękę; ale on nie przybywa tu, ratować ją dla niej, dla siebie.

Pogardził...

Teresa wije się po łóżku.

I idzie dzień za dniem. Odwiedza ją księżna Wiśniowiecka i przywozi prezenty, bacznie i niepokojnie przyglądając się jej i widocznie niecierpliwie jej chorobą. Z domowych nie mówi z nią o niczem nikt. Dom zresztą cały jest szczęśliwy, Olga bowiem Kmitówna wyjechała z Opola, dawszy prawie zupełne zapewnienie Zdzisławowi.

Teresa czuje, iż odkąd została narzeczoną Wiśniowieckiego, stała się jakby rzeczą w domu, która już nie ma swojej myśli i woli, jakby jabłonią, którą wszyscy na wycigi pielęgnują, aby dojrzała bez szwanku i zaczęła rodzić owoce, których każdy część swoją zabierze. Czasem ma wrażenie, że jest mszycą, pielęgnowaną przez mrówki. Osobliwie Stefan i Celinka widocznie sobie złote góry obiecują z małżeństwa z księciem.

Pani Morska zapomniała powoli o trudności we wzięciu Teresy za rękę i uważa ją za narzeczoną bez żadnych *arrières pensées*, nawet kupiła już piękny brylant zaręczynowy.

Już także mowa jest o wyprawie, która ma być nadzwyczajnie świetna. Księżna Wiśniowiecka delikatnie, ale wprost dała do zrozumienia, że więcej jej zależy na tem, żeby Teresa miała piękne koszule, niż na jakimkolwiek jej posagu.

Hrabia Morski więc podjął znaczne sumy

z banku, licząc, iż dadzą się one odegrać częścią w klubie w Berlinie, do którego, jako gentleman, należy wraz z synami, częścią od samego Wiśniowieckiego, który już zdeklarował się, że przegrywa umyślnie, ale tak zręcznie i dowcipnie, że to dla wygrywających nie jest bynajmniej żenującem i w niczem nie obraża wygórowanych pojęć ludzi dystyngowanych.

Hrabia Stefan już wiele planów osnuł na przyszłych wygranych od milionowego szwagra, który prześlepia karty i zagapia się często, a potem na leb, na szyję usiłuje się odegrać i traci przez gorączkę drugie tyle. Hrabiowie Zdzisław i Stefan doskonale pojęli tę metodę, pełną dowcipu i nader miłej uprzejmości w danym razie.

Nadszedł czas wyjazdu do Wiśniowca. Teresa czuła się zdrowsza, tak jednak była bezsilna, zgnębiona i rozbita, że prawie nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje. Przygniatała ją i zabijała radość, panująca koło niej, której przyczyny i pobudki wbrew swojej woli widzieć musiała. Dusi ją wprost ta atmosfera, którą jej teraz każą oddychać. Opędza się, broni swoim własnym myślom, jednak obronić się im nie może. I tak jasno, tak przeraźliwie jasno patrzy.

Przedewszystkiem powodem radości jej rozdziwny jest próżność. Te wyrazy twarzy, kiedy

przejeżdżający przez Opole konserwator dawnych zabytków z Galicyi, człowiek dowcipny i przyjemny, oświadczył z uśmiechem przy kolacyi, że w Galicyi przed Wiśniowieckimi, jak przed Panem Bogiem, wszyscy są równi!..

Teresa doskonale widzi, jak wielką rolę w szczęściu «z jej szczęścia» gra nadzieja przyszłych upokorzeń rywali i rywalek, odwetów za jakies niezapomniane urazy, zemst towarzyskich i życiowych za jakies towarzyskie i życiowe krzywdy... Na jej małżeństwie budują po prostu cały swój gmach chciwość, próżność, cynizm, wyrachowanie, zawziętość, bezdenne parweniuszostwo umysłu i bezdenne parweniuszostwo serca.

Teresa jest po prostu przerażona. Wszystkie dowcipne uwagi, w których celowali ojciec i Stefan, nad parweniuszami — ależ oni je usobiają w sobie! Ależ parweniuszostwo jej rodziny różni się tylko wyłącznie i jedynie formą od parweniuszostwa jakichś państwa Kufków, którzy handlują pieprzem i rodzenkami, albo jakichś państwa Bauchgoldów, czy Pikelesów, którzy operują akcyami bankowemi.

Ciotka Wyczewska, która do rozpuku rozśmiesza opowiadaniem o słynnej hrabinie Mery Czorsztyńskiej, Żydówce, jest zupełnie taka sama, jak ona, arogancka, nadęta, napuszona i komiczna.

Zdzisław — czyż to nie najpospolitszy, najordynarniejszy, najzwyczajniejszy karyerowicz, jak pierwszy lepszy urzędnik? Matka, ta święta dla Teresy matka, czyż nie zmusza jej do małżeństwa z Wiśniowieckim przez ambycję, przez pychę, przez cześć dla pieniędzy? Czyż nie kładłaby pierwsza swego *veto*, gdyby ze wszystkimi przymiotami, jakie ma Wiśniowiecki, był on człowiekiem ubogim? Czyż parłaby ją tak samo, gdyby zamiast stu milionów, czy ile ich tam ma, miał skromny majątek?

Teresa nie chce tego widzieć, ale widzieć musi. Cierpi, rozpacza, ale nie może, nie może zacisnąć sobie powiek, choćby je rękoma po prostu zacisnąć chciała. Wszakże to jej rodzina, droga, najdroższa rodzina, wszakże to są jej najbliżsi, najukochańsi na świecie... I lęka się, że grzeszy, sądząc ich, nie chce sądzić rodziców, albowiem ksiądz Strzałkowski powiedział jej, że nawet nie powinna dopuścić do głowy myśli zastanawiania się nad ich postępowaniem; nie chce sądzić swych braci, bowiem ktoby powiedział bratu swemu «Rakka!» — winien będzie ognia piekielnego... Zatlumia to w sobie, bo ją to i boli i upokarza i do rozpacz przywodzi, jednak sama przed sobą przyznać musi, że cała jej rodzina, datująca się z 1522 roku, rodzina rycerska i senatorska, istotną *wyższą rasę* posiada tylko w cienkich nosach, smukłych fi-

gurach, małych stopach i nadzwyczajnej zgrabności do lawn tenisa.

W Wiśniowcu odbyć się miały także zaręczyny Zdzisława z Olgą Kmitówną, której rodzina na wiadomość o Wiśniowieckim chętnie się zgodziła na ten mariaż, a która sama również zdecydowała się pod wrażeniem tego faktu. Spodziewano się tam tedy wielkich festynów, zabaw, balów, polowań, kawalkad konnych, byle tylko listopad był piękny.

Księżstwo nie doczekali się wstania z łóżka Teresy i pojechali do Wiśniowca porobić pewne przygotowania. Księżę Samuel zresztą obliczył efekt ukazania się po długim niewidzeniu w roli, w jakiej go nigdy Teresa nie widziała: gospodarza w wiśniowieckim zamku, zamku godnym Łubniów, którym spodziewał się ją olśnić i odurzyć. Zawczasu też obmyślał, jak ma wystąpić i jak postępować Wiśniowiecki, raczący się żenić z panną Morską.

Nadszedł termin wyjazdu z Opolą. Teresa wsiadła do powozu, a potem do wagonu, jak automat. Nie wierzyła w swój ślub, czasem nie wierzyła w nic. Odbierała od księcia listy, pełne kurtuazyi i czułości, na które odpisywała po dyktandzie matki, biernie zupełnie. Jakos tak się zdarzało, że gdy trzeba było odpisać, zja-

wiał się niespodzianie ojciec, póki trzeba grzeszny, gdy trzeba było — groźny i stanowczy.

Teresa truchlała i pisała, co kazano. Na szczęście, listy były krótkie — tak się mało naprawdę znali. Uczucie było raczej nieświadome...

Ileż razy Teresa chciała napisać księciu prawdę, ale bała się matki, bała ojca, bała braci, bała ciotki Wyczewskiej, bała księżny Wiśniowieckiej, a najbardziej bała się księdza Strzałkowskiego. Listy, pisane do księcia w nocy, darła rano i rzucała w ogień.

Rdzawicz zaś nie dawał znaku życia.

Przed oczyma Teresy zamajaczyły w oddali mury wiśniowieckiego zamku, w tejże chwili zaś na kasztanowatym ogierze angielskim wypadł z gaju ksiązę Samuel w kożuszku i w kołpaczku, bo dzień był chłodny, zawinął koniem z czapką w rękę, kłaniając się z siodła ku ziemi, zwrócił konia, przesadził rów i wpadł w boczna drogę wśród gajów.

Gdy za chwilę zajeżdżano przed pałac, stał już przebrany obok matki na schodach, a obok Olga Kmitówna i mnóstwo gości.

— Nakoniec! — krzyknął Wiśniowiecki, podnosząc rękę Teresy do ust.

Teresa uczuła wzrok ojca na sobie i oddała księciu lekki uścisk.

Była tak blada, wyglądała tak zmęczona,

co było naturalne po świeżej słabości i dłuższej zaraz potem podróży, że odprowadzono ją do jej pokoju i pozwolono położyć się do łóżka.

— Tereso! Proszę cię! — rzekł ojciec, wychodząc z pokoju.

— I ja cię proszę! — powtórzył hrabia Zdzisław, idąc za nim.

Te prośby syczały, jak rozpalone druty żelazne.

Nad wieczorem jednak kazano Teresie ubrać się i wyjść do towarzystwa. Księżę oprowadzał nowych gości. Pokazał salon z kopułą czterech pięt wysokości i terasy z balkonu przed nim, gdzie w trzech kondygnacjach widać było trzy ogromne stawy, jeden niżej drugiego, połączone ze sobą kaskadami, z których ostatnie szumiały prosto w rzekę. Pokazał salę portretową, gdzie wisiały pośrodku portrety króla Michała i jego żony z Habsburgów, obok Dymitr Wiśniowiecki, który zginął w XVI wieku w Carogrodzie na haku, księżę Jeremiasz, Dymitr, hetman polny w XVIII stuleciu, i cały szereg książąt Wiśniowieckich, oraz spokrewnionych z nim rodzin, między innymi portret Samuela księcia Koreckiego, po którym nosił imię.

Pokazywał zbrojownię, najbogatszą w kraju, zbiór rzeźb i kamei, wreszcie, nie chcąc nużyć, ani bogactwa swego wyczerpać, zaprowadził gości do palmiarni, olbrzymiego budynku o szkla-

nym dachu, pełnego korytarzy, zakątków, sadzawek, mostków, fontan, posągów i kwiatów egzotycznych. Szlachta w okolicy zwała to ósmym cudem świata i istotnie była to rzecz przepyszna i prześliczna. Książę, z zabranym ze zbrojowni niby przypadkiem nagim bułatem po hetmanie Dymitrze, o złotej rękojeści i ze złotem pisaną klingą, wybierał grupy palm i ustawiał się na ich tle w tak pełnej gracy i malowniczości pozie, iż gdy, pokazując coś, podniósł bułat do góry i mignął złotem nad sobą, hrabina Wyczewska szepnęła do księżny Małgorzaty: Archaniół Michał!...

W palmiarni tej rozsypano się, jak w puszczy, mimo, że było mnóstwo ludzi.

— To jest warte trzy wsie! — szepnął hrabia Stefan Morski do hrabiego Zdzisława.

— Czuję, że szwagierek będzie dziś roztargniony; odbiję pierścioneć Oli — odrzekł hrabia Zdzisław z uśmiechem, uderzając się po kieszeni.

Nikt nie utrudnił, aby książę Samuel mógł się znaleźć sam na sam z Teresą w zupełnie zacisznym i niewidocznym kącie.

— Pani mnie nie ma za waryata? — zaczął śmiało książę. — Po Opolu?

— Nie — odpowiedziała prawie szeptem Teresa.

Książę wziął to pomieszanie za dobrą wróżbę. Zrozumiała, za kogo idzie.

— Pani mnie kochać nie może, wiem o tem, nie zna mnie pani, listy pani były czystą grą słów — jakby po dyktandzie — ale wszak pani będzie mnie mogła pokochać?

Rozpalone pręty żelazne zasyczały w uszach Teresy.

— Tak? — szepnął czule książę.

Teresa nic nie odpowiedziała, ale nie odpowiedziała: nie.

Książę był za subtelny, aby nie odczuć, że poza olśnieniem i pomieszaniem, może się kryć jeszcze coś innego.

Ale namiętność do tej ślicznej, bladej dziewczyny paliła mu krew i nie chciał niczego badać, niczego dochodzić. Chciał ją tylko mieć, mieć, jak najprędzej! I czuł, że ją już trzyma i nie puści.

— Ja panią tak kocham! — szepnął stłumionym z żądzы głosem.

I ujął ją za obie ręce; te bezwładne mu się dały wziąć.

Przycisnął je do ust. Dreszcz zimny i gorący przeszedł kości Teresy.

— Ja do pani pierwszy raz dopiero mogę mówić... Myślałem, że zwaryuję... Byłbym sobie w łeb strzelił... Pani się zaś przeleżała... Pani

była niedobra — zaziębła się, chorowała, chciała umrzeć...

Przerywany szept księcia zamienił się prawie w szczebiot dziecka.

— Chciała umrzeć — powtórzył, jakby nie wiedząc, co mówi.

I znów ręce jej całować począł.

Potem spojrzal jej w oczy.

— Boi się mnie pani?

Oczy mu błyszczały dziką żądzą i energią.

— Boję — zadrgało na wargach Teresy.

Wówczas księcia ogarnął szal i już, już chciał objąć Teresę i pocałować w usta, ale zląkł się i wstrzymał od tego ryzykownego kroku.

Teresa zbladła jeszcze więcej.

Książę zrozumiał, że dobrze zrobił, iż się zatrzymał.

— Jestem u stóp pani — rzekł.

I pochylił z rycerskiem uszanowaniem głowę.

Słowami temi i ruchem ujął Teresę.

— Dziś wieczór zaręczymy się — rzekł. —

Czy dobrze?

Teresa milczała.

— Dlaczego pani nie odpowiada? Dobrze?

Rozpalone druty żelazne syczały w uszach Teresy, ale nie mogły z niej słowa wymusić.

— No, dobrze? — nalegał książę, trochę zaniepokojony.

— Książę — pozwól mi odejść — ja nie umiem tak rozmawiać — rzekła Teresa.

Książę drgnął z niezadowolenia, ale opanował się w moment.

— Ma mnie pani u stóp swoich — powtórzył i wyprowadził ją z korytarzyka między ludzi.

Teresa uczuła dla niego wdzięczność. Spokładła oczy ojca, pytające i surowe. Struchlała.

W chwilę potem hrabina Morska wsunęła jej pierścionek w rękę, mówiąc cicho:

Przed kolacją zamienicie po cichu pierścionki; tak samo zrobi Zdzisław z Olgą. Siedzicie przy kolacyi obok siebie wszyscy czworo naprzeciwko księżny i nas. Książę Zygmunt Korecki ze strony księcia, kanonik Piotr Kmita ze strony Olgi, papa mówi za was oboje. Najpiękniejszy dzień mego życia!..

— Mamo! — jęknęła Teresa.

Twarz hrabiny Morskiej stała się cieńka i sucha, a głos świsnął z irytacją:

Moja droga! Proszę cię! Był czas! Teraz już skończone. Miałaś dosyć czasu na protesty, nimeśmy tu przyjechali.

I znów zostawiono ich samych w wielkim salonie pejzażów, ale tym razem nie potrzebowal książę usuwać się od ludzi. Sami się usuwali.

— To więc ma być najdroższy dla mnie

pokój na zawsze — rzekł biorąc rękę Teresy i chcąc jej wsunąć na palec pierścień.

A on nic, nic... miesiące minęły prawie — jednego słowa, jednego czynu, jednego znaku życia od Rdzawicza...

Ale w małżeństwo swoje Teresa nie wierzyła. Widać tak trzeba, widać tak musi być... Może nawet trzeba tak, może dobrze... Zdzisław ożeni się, rodzice będą szczęśliwi, a ona zerwie i pójdzie piechotą, o żebranym chlebie, za nim — i odnajdzie go — i znów skroń przy skroni...

— Czekam — rzekł książę.

Teresa wyciągnęła palec.

Książę wsunął jej pierścień i podniósł z kolei dłoń.

Teresie wypadł brylant z ręki i potoczył się po dywanie. Księciu błysnęło w oczach. Schylił się i począł szukać. Znalazł.

Krew uciekła mu z twarzy, spojrzal na Teresę bystro, ale widząc tę białą prawie twarz i tę drżącą całą dziewczynę, ukląkł i klęcząc podał jej pierścionek. Ona zaś bez słowa, bez oddechu prawie wsunęła mu brylant na palec.

Książę klęczał.

Przez głowę jego biegła myśl, szybko i gwałtownie.

— Pani — rzekł. — Pani drży... Pani.

Nie! Nie! Jeżeli to nawet wbrew jej woli, co mu tam! Musi, musi być jego! I będzie!

Wstał energicznie i sprężyście,

— Jesteśmy zaręczeni — rzekł i nie pytając o nic Teresy, ujął ją pod ramię i wywiódł z salonu pejzażowego do sąsiedniego salonu, gdzie znajdowali się oboje państwo Morscy, kanonik Piotr Kmita, księżna Wiśniowiecka i Olga Kmitówna ze Zdzisławem.

Państwo Morscy ujrzeli pierścień na palcu Teresy i oczy ich zapłonęły po prostu.

I szedł dzień za dniem, polowania, zabawy, bale, spacerzy. Teresa ciągle uchodziła za niebardzo zdrową, a bardzo wzruszoną. Zdrowa była zawsze ogromnie, ale wzruszała się łatwo wszystkim, a cóż dopiero... Ma też ledwo dwadzieścia lat...

Ślub naznaczono na pierwsze dni stycznia.

Wiśniowiecki roztaczał swój przepych, swoje bogactwo, swoje znaczenie z dyskrecją prawdziwego wielkiego pana, w którym nie ma ani jednej innej kropli krwi, a równocześnie prezentował swoje osobiste przymioty, odgadując w lot, co się Teresie może podobać, co nie podobać.

Żaden chłopak stajenny nie dostawał w pysk, ale za to gdy koń który nie był dobrze podpięty, księżę, przygryzając wargi i odkładając obrachunki na później, sam własnem kolaniem

uderzał konia w brzuch i własną ręką dociągał popręgów. Mimo nadchodzącej zimy, poczęto przygotowywać materiał na mającą się zaraz z wiosną zacząć budować kaplicę za parkiem pod wezwaniem świętej Teresy, dla uproszenia błogosławieństwa Boskiego.

Grzeczny był, ujmujący; dzierżawcy, który się spalił, darował cały czynsz i kazał wypłacić trzy tysiące guldenów zapomogi bezprocentowej i bezterminowej pożyczki. Iluż to rogaczom życie darował na polowaniu! Ale za to dziki klól między psami i niedźwiedzia na sztych na dziesięć kroków ku sobie puścił, choć mógł na duży dystans strzelać, i dopiero mu na komorę wypalił. Niedźwiedź padł mu u samych nóg.

— Wiedział, żeby mnie teraz bardzo zmarł, gdyby mnie podrapał — żartował z czułością i brawurą.

Brał najgorsze konie, najlepsze oddając gościom, i umiał się na nich wydać ze wszystkich najlepiej, a nawet konie zdawały się pod nim rósć w wartości.

Lśnił i olśniewał, a przytem był taki *bon prince* w całym tego słowa znaczeniu. Tak się bał Teresy, pani Morskiej, pani Wyczewskiej. O byle co składał ręce. Przypomnił sobie, że się w Opolu lękał żab. Więc żaby, które, jak długo żyły, nigdy nie skakały bezkarnie po gazonach wiśniowieckiego parku, poczęły nagle

swobodnie po nich skakać; ba, wążkie, podłużne trzewiki, lub buty uciekały przez niemi, jak przed wężem, ślicznem baletowem *pas*.

Lśnił, olśniewał i nie puszczał państwa Mor-
skich od siebie.

Czuł, że nie jest kochany i zrozumiał to, że
tu jest przymus.

Ale kwestyi tej nie ruszał nawet z najdal-
sza, jako niebezpiecznej, osobiście zaś nie dbał
o to wcale.

O tem że, jeśli nie przed ślubem, to po ślu-
bie serce Teresy zdobędzie — nie wątpił.

O swoich przymiotach dobrze wiedział i za
dużo słyszał od ludzi od samego urodzenia.

Nawet mu się to podobało, że to nie tak ła-
two idzie, jak wszystko dotychczas szło w ży-
ciu. Był Wiśniowieckim, lubił zdobywać.

I tego był pewnym, że jeżeli Teresa dotych-
czas się w nim nie zakochała, to musi być ku
temu jakaś przeszkoda poważna i duża; ina-
czej nie pojmował, jakby mogła się nie kochać?...
Czyżby był kto?...

Na myśl tę ścisnął rajtpajcz i gotów był le-
cieć i bić, ale nie było kogo. Wszyscy przed-
stawiali mu przeszłość Teresy, jako kartę, na
której nie powstała jedna litera. Z nią samą nie
próbował nigdy mówić o niczem podobnem;
nie zdawał sobie z tego sprawy, jednak nie
śmiał.

Ale Olga Kmitówna, żywa i roztrzepana, rzekła mu raz:

Mój przyszły szwagrze, zdaje mi się, że moja przyszła szwagrowa ma coś na żołądku.

Wówczas Wiśniowiecki uśmiechnął się, wypłuł odgryziony kawałek mundsztuka od papierosa i rzekł wyraźnie:

Nie wiem, ale gdyby tak było, to ja jej żołądek przeplócę, a cobym tam znalazł niepotrzebego — tak!

I przydepnął podeszwą podłogę.

— A gdyby to było twarde?

— To tak! — i uderzył obcasem.

— Mój książę: żołądek paniński to nie karaluch. A zresztą — a gdyby tam była żaba? — zażartowała Kmitówna.

— Hrabianko — odparł Wiśniowiecki — gdyby żaba była w żołądku mojej przyszłej żony, to tak!

Mówił z uśmiechem, ale wargi mu drgały; ze stołu wziął flakonik porcelanowy i uczynił ruch, jakby go chciał rzucić na posadzkę.

— Napoleon! — zawołała Kmitówna. — Kopnij mnie książę w brzuch i ukradnij mi tabakierkę, jak on swoim jenerałom!

Rozmieszyła go; zaczął się śmiać.

— Będiesz, przyszły szwagierku, sondował?

— Nie.

— Boisz się? Żaba to nie flakonik!

— Nie boję się, tylko nie chcę. Po co mam sobie psuć narzeczeństwo? Na wszystko będzie czas.

— Ale jednak czujesz tam coś, prawda, w żołądku Teresy? Ja też, nawet bardzo wyraźnie, choć nie wiem, co... Tylko widzisz, o tyle jestem szczęśliwsza od ciebie, że jak zechcę — zawołała, wybiegając ze drzwi — to mogę ją popukać, a ty jeszcze nie! — dokończyła z drugiego pokoju.

— Kanalia! — mruknął Wiśniowiecki, czując ochotę pójść do Teresy, chwycić ją za rękę, przyprześć do ściany i zapytać: No, mów! Dlaczego mnie nie kochasz?! Co ci przeszkadza kochać mnie?!

Zamiast jednak pójść, przechylił się elastycznie z nogi na nogę, mrużąc:

Na wszystko będzie czas — i utonął zmysłową wyobraźnią w ślicznym ciele Teresy.

Ponieważ uczucie wybuchnęło tak prędko, ponieważ trzeba, żeby się młodzi poznali przecież ze sobą przed ślubem, a gdzież się lepiej mogą poznać, jak tutaj, księżna nie puszczała hrabstwa Morskich od siebie. Ignas został oddany na pensję. Celinka odrobi swoje lekcye, kiedy się już wszystko uspokoi, po ślubie. Ciotka

Wyczewska pojechała do Wiednia obstalowywać wyprawę.

Teresa kochała Rdzawicza jednakowo, stale, niezmiennie, gorąco i głęboko, ale zamek wiśniowiecki niemniej oddziaływał na nią. Z bogatego domu i z bogatej rodziny nie miała pojęcia o takim magnactwie. Czasem zdawało jej się, że jest w Łubniach u księcia Jeremiego, że lada chwila na dziedziniec zamkowy wjadą skrzydlaci husarze ze Skrzetuskim na czele, obok olbrzymi pan Longinus Podbipięta z Zerwikapturem, śmiejący się pan Zagłoba, dalej mały pan Wołodyjowski z dragonami w żółtych kołtach, za nimi rudy Wierszuł z Tatarami...

Książę Samuel lubił wyprowadzać ją na balkon na kopule, z kąd widać było nieprzejrzone puszcze i pola, góry i doliny, jakby jej chciał pokazać: to wszystko moje — i twoje...

Setki cudownych koni przepędzano po zwiędłych już łąkach, setki najwspanialszego bydła żuły pokarm w oborach. Sfory psów, gromady strzelców, chmary naganki czekały na rozkaz i wolę księcia. Przynoszono do nóg Teresy potworne odyńce karpackie i olbrzymie karpackie jelenie, książę ofiarował jej czaprak, kubraczek do konnej jazdy i kołpaczek z rysiów dla niej ubitych, a pokój jej kwitł późną jesienią od oranżeryjnych, codzień świeżych przepysznych kwia-

tów. Stąpała po dywanach bajecznej wartości, w salach, gdzie na ścianach wisiały nieoszacowane gobeliny i obrazy. Zamek cały, zaczawszy od ostatniego z lokajów, a kończąc na samej księżnie, stosownie do woli księcia, istniał i żył tylko dla niej.

Miała już swoją arabską wierzchówkę, którą hrabia Morski, dobry znawca, cenił na dwadzieścia tysięcy guldenów, i parę jukerów do zaprzęgu, ogromnej wartości. Na szorach były już mitry, na drzwiczkach jej powoziku herb jej hrabiowski i księcia ksiązęcy. Hrabstwo Morscy upajali się, a Teresa czuła na sobie ich wzrok, ostry, rozkazujący, baczny, stanowczy i szybki, podobny do wzroku dyrektora cyrku, który wyprowadza konia wyciągającego mu chustkę od nosa z kieszeni od fraka, zagrzebującego ją w piasku i aportującego następnie.

Rdzawicz zaś nie dawał żadnego znaku życia.

Teresa pilnie przeglądała gazety, które tu przychodziły, krajowe i zagraniczne, ale w żadnej nie napotykała wzmianki o Rdzawiczu.

Jedyny człowiek, który mógł o nim coś wiedzieć, był stryj Leon Morski, ale stryj Leon Morski pojechał razem ze Strzyżeckim w świat.

Było postanowione, iż w połowie grudnia państwo Morscy wrócą do siebie, zaś piątego stycznia miał się odbyć w Krakowie ślub u Panny Maryi.

W usposobieniu Teresy poczęła się jednak dokonywać zmiana. Po wielkiej rozpaczycy poczęło w niej powstawać z dniem każdym silniejsze optymistyczne przekonanie, wiara jakaś, że to wszystko prowadzi właśnie ku dobremu, owszem, że to Bóg doświadcza jej i napoił ją goryczą, aby tem więcej oceniła słodycz życia, która nastąpi. I zaczęła dziękować mu za to, wierzyła bowiem, że nie ma powodu do unieszczęśliwienia dwojga ludzi, którzy nic bardzo złego nie popełnili w życiu.

Ta otucha i ta wiara przywracała jej powoli humor i swobodę. Wiśniowiecki tłumaczył sobie, że Teresa zaczyna się oswajać, Olga Kmitówna, że żołądek Teresy się przeplókał, a państwo Morscy szczerze się radowali, kochali bowiem po swojemu córkę «całem sercem».

I powoli, powoli zaczęła interesować się życiem zamkowym i bawić się niem. Wiśniowieckiego przestała w myśli nazywać pacholkiem od koni, i nawet niesmak w niej to budziło, że go tak nazywała.

Zrazu zaczęła spostrzegać, że on może się podobać, potem, że nawet jest dosyć sympatyczny, potem, że gdyby nie kochała Rdzawicza, to nawet jej samej mógłby się może podobać.

Był zawsze jednakowo rycerski, jednakowo oddany, uprzejmy i szarmancki, a coraz więcej, coraz czulej i jaskrawiej zakochany. Było je-

dnak coś ujmującego w miłości tego największego pana w kraju do panienki, która i rodowo i majątkowo stała o tyle od niego niżej — i to w miłości pełnej po prostu szeszerej pokory.

Gdy jednak przychodziła myśl, iż trzeba będzie Wiśniowieckiemu powiedzieć wprost całą prawdę i pierścień mu zwrócić, wówczas dusza Teresy stawała się twarda i niemilosierna i książę padał w proch przed jej miłością do Rdzawicza. A tak będzie...

I wszystko będzie dobrze... Olga się już nie cofnie... Rodzice zrozumieją...

Młoda, zdrowa natura Teresy buntowała się przeciw ciągłej zgryzocie, ciągłemu smutkowi i żalom; nieużyte siły wiary brały górę nad niedoświadczoną rozpaczą; jędrne, świeże życie nie chciało się dać zabijać, nowa, młodzieńcza żądza użycia domagała się swoich praw.

Teresa zaczęła wyobrażać sobie, że Rdzawicz, rozumny, doświadczony i energiczny, przygotowuje jakiś krok nagły i niespodziany a stanowczy. On rozumiał... Człowiek tak wyższy, tak nadzwyczajny, jakimś swoim szóstym zmysłem odczuł, odgadł całą prawdę. I mądry, jak jest, pojął to, że na razie lepiej jest zostawić rzeczy tak, jak są, a w pewnym momencie zjawić się i uratować Teresę dla niej i dla siebie...

Nie! Nieprawda! On nie pogardza nią!

Że nie dał znaku życia — jakże go miał dać? Listu nie oddanoby, człowieka nie było. Swoim nadzwyczajnym rozumem w pierwszej sekundzie ocenił położenie i w lot coś postanowił, co wykona, gdy nadejdzie chwila stosowna. A ona, głupia, myśląc, że on nią pogardził, zatrapiała się, zalewała gorzkimi łzami!... Ach! tak gorzkimi łzami!...

Pewnego dnia Rdzawicz w genewskiej czytelni polskiej natrafił w którymś z pism ilustrowanych na opis polowania na niedźwiedzia w wiśniowieckich dobrach, przyczem dołączona była fotografia, na której, obok opartego nogą na powalonym niedźwiedziu księcia, Rdzawicz poznał Teresę. Księżę patrzył na nią, ona zaś miała oczy utkwione w trupie zwierza.

«Księżę ordynat wspaniały swój łup — pisał opowiadający — złożył u stóp swej uroczej narzeczonej, której serce niewątpliwie zasyłało gorące modły do Świętego Huberta, gdy wyprawa ruszała na łowy.»

Rdzawicz wpatrywał się w drobniutką na fotografii twarz Teresy. Ona...

I straszliwy ból począł tępą śrubą wkręcać mu się w serce, poczem zagiął się w szpon i pociągnął. Rdzawicz jęknął i opadł na krzesło pod ścianą. Był sam w czytelni.

Wówczas ból wystąpił mu przed oczy w postaci karykaturalnej maski i począł drwić.

Jakże ona teraz musi przed swoim narzeczonym robić dowcipną karykaturę ze swego romansu z panem Rdzawiczem... A ten księżę zapewne rozczochruje swoje włosy i przedstawia rozpacz pana Rdzawicza, albo mówi: urządzimy sobie bal i ja mu każę przyjechać i zrobić portret pani. Ofiaruję mu trochę za małą sumę i zobaczy pani, że ten romantyczny kawaler będzie się ze mną targował o pięćdziesiąt reńskich... Po trzech dniach biust zaczęły mi się nie spodoba, każę mu wypłacić całą należność i na drogę — i weźmie... A może go zaprosimy na wesele dla uświetnienia zgromadzenia — — i oboje z Teresą wybuchają śmiechem.

Rdzawicz zatacza się prawie z bezwładnej rozpacz, bólu, gniewu i żalu...

I w żalu tym wyrywa z pugilaresu jej list. Nie chce już nic, nic wspólnego między sobą a nią. Niech nie myśli, niech nie myśli, że on nie może się z tym listem rozstać!... Nie upominała się o list — nie dbała o to, lub nawet zapomniała... Albo z uśmiechem myśli o tej «broni», którą pan Rdzawicz «ma w ręku»... Nie! Nie! Niech nie myśli, że on nie może rozstać się z tym listem! Przedrze go i odeszle przedarty... Nie!...

Owszem! tak! tak! Gdyby to była biedna

dziewczyna, uboga panienska, gdyby zresztą zażądała zwrotu, gdyby jedno słowo pożegnania, jedno słowo wytłómaczenia... «Serce nie sługa»... Ale nic — hrabianka Morska nie raczyła nawet spojrzeć w jego stronę! Tak! Przedrze go i odeszła przedarty! Oto jedyna odpowiedź na wszystko i na to milczenie...

Ha! Któż ty jesteś, któż ja?! Czy nie jestem wielkim artystą, czy nie jestem sławnym, czy nie mam prawa dumnie, z góry patrzeć na ciebie i na cały twój świat?

Przedarł list.

I całował małe litery T. M. — całował, całował bez końca...

— Jakiś list do ciebie odesłany tu z Opoła, wręczył mi Samuel — powiedziała hrabina Morska wchodząc do pokoju Teresy w Wiśniowcu.

— List? Do mnie?!

Teresa chwyciła żywo kopertę — może on? Może już odzywa się? — uratuje ją dla niej i dla siebie!...

Rozerwała kopertę.

— Boże!

Jej własny list — przedarty!

Ręce z kopertą i z listem owisły jej wzdłuż sukni.

— Co to? — zapytała hrabina Morska.

— To nic — odpowiedziała glucho Teresa. — Zostanę żoną księcia Wiśniowieckiego, jeżeli wam się tak podoba.

— Pokaż — co to za list? Podarty?

— To jest mój list, który pisałam do niego...

— Kiedy? Ztąd? — wykrzykuje, oburzając się, hrabina Morska.

— Nie, z Krakowa.

— Odesłał ci? Przedarty?

— Tak.

— Zuchwalec!

— Miał prawo.

— W każdym razie dobrze zrobił. Ale powinien to być dawno uczynić. Jak mógłś jednak pisać do niego?! Ej, ty!

Hrabina Morska czuje zupełnie prawdziwą potrzebę gniewu, ale w miarę zbliżania się dnia ślubu, hrabina Morska, nie tylko wbrew swej woli, ale nawet ku pewnej swej irytacji, poczyną uczuwać pewne onieśmienie względem przyszłej księżny ordynatowej.

— No więc już z tem głupstwem ostatecznie skończone.

— Teraz jest mi już zupełnie wszystko jedno, czy to jest Wiśniowiecki, czy ktokolwiek inny — odpowiedziała Teresa, głosem bez żadnego dźwięku.

— Bredzisz, albo pozujesz sama przed sobą.

Widzę doskonale ogromną w tobie zmianę. Wiśniowiecki ci się podoba i nie taj tego przedemną, nie pozuj.

— Rzeczywiście, mam, byłam weselsza, bo byłam pewna, że on mnie ocali...

— Milcz! Doprawdy, że można cierpliwość stracić!

Hrabina Morska aż tupnęła nogą w dywan.

A o tym liście ani słowa! Od twojej przyjaciółki ze Szwajcaryi. I żadnych min, żadnych grymasów, żadnych głupstw, bo powiem ojcu, żeś pisała!

Zimny dreszcz przechodzi Teresę.

Nie spróbował się więc o niczem przekonać, nie dowiedzieć — przedarł list, odesłał i plunął na nią, na jej miłość, na jej przysięgę, na wszystko... Skończone więc... Wszystko skończone... I tak...

Dlaczegoż Bóg ją tak karze i za co? Nie było to więc doświadczenie, nie była próba, ale taka była wola Boża.

Musiła ciężko zgrzeszyć...

Przebiega więc całe swoje życie pamięcią, szuka grzechów i win, szuka jakichś zbrodni i przestępstw, te, które zna, potęguje i pomnaża.

Cokolwiekbądź, czy Rdzawicz odesłał list wskutek wiadomości o jej zaręczynach, czy dlatego, że chciał tak zrobić sam z siebie: faktem jest, że ją odtrącił w najdotkliwszy, najbardziej

upokarzający i najbardziej odejmujący wszelką nadzieję sposób. Jeżeli jednak dopiero teraz dowiedział się, co się stało, czyż nie jest to zupełnie usprawiedliwione? Jakto?! Ona jemu przysięga i zostaje narzeczoną innego?... A cóż miała uczynić wobec błagania matki, pod grozą kul Wiśniowieckiego, grożących ojcu i braciom?!..

W głowie Teresy poczyna się tworzyć ciemny wir.

Nie przypuszczała, nie wyobrażała sobie, żeby życie mogło być tak do morderstwa trudne, żeby miało takie do rozstrzaskania głowy o mur węzły.

Wszystko skończone...

To, co dotychczas przeszła, jest niczem. Teraz dopiero odwróciło się od niej słońce, odszedł od niej dzień. Dotychczas było właściwie ciągle jasno, ciągle pięknie i pogodnie.

Uciec, uciec do klasztoru, tam, gdzie zamknęła się jej starsza siostra...

I odrazu ogarnęło Teresę przerażenie.

Znów walka, znów trud, znów starcia z rodzicami, którzy w tej chwili stawiają opór nie do przełamania, starcia z braćmi, z ciotką Wyczewską...

Wtedy, naturalnie, rodzina jej powie Wiśniowieckiemu o wszystkim.

Jakże więc? Została jego narzeczoną, kochając innego, podeszła go z ukrytą myślą, może

cały plan ukartowany był, aby ułatwić małżeństwo Zdzisława z Kmitówną, więc po prostu dała się użyć za narzędzie w takim planie swoim rodzicom? Wyjawi się więc, że zmuszono ją do dania słowa księciu? W jakimż świetle postawi swoich rodziców, na co ich narazi?...

I tego człowieka nie ma teraz przy niej, aby ją wsparł, aby ją zasłonił, aby ją obronił... Prawda! wszakże, to on pchnął ją w tę otchłań...

Nie! To ona sama ją otworzyła u nóg swoich...

Nie! Cóż uczyniła? Cóż uczynić mogła i miała?

Cóż więc jest? Kto winien?

Ciemny chaos, wir...

Ale w tym wirze Teresa poczyna jak gdyby otwierać zamknięte dotychczas oczy, albo jak gdyby jej bielmo, leżące dotychczas na źrenicach, schodziło.

Jakaś jasność rozelśniewa się przed nią.

Czuje: że się w niej coś skupia, że jakoby owoc jakiś w jej głowie, czekający na chwilę dojrzenia, pękł i rozwarł się, aby z niego pożywać można było.

Czuje, że bolesne jej, smutne i rozpaczzone oczy poczynają patrzeć w przestrzenie, których nie przeczuwała przedtem. Otwiera się przed nią kraina obca, nieznaną krainą jakichś cierpień przerażających i złowieszczych, ale zara-

zem jakichś myśli głębszych, szerszych i dalej idących. I wielki, ponury, z przepaści zkądś bijący dzwon, bije z mgieł, które jej się kłębią przed oczyma, słowo: *życie*.

I ma uczucie, że zaczęła żyć, że dopiero teraz, i że to wszystko, co było przedtem, to był jakiś dziecinny sen, jakies siedzenie w larwie, w kokonie, z poza którego oczy jej właściwie nie widziały nic, uszy nic nie słyszały, a serce nie dotykało niczego.

Czuje, że bierze chrzest życia, że rozchyliło ono przed nią swoje oddrzwia, że dało jej widzieć swoją tajemnicę.

To więc jest życie — chaos, wir, uczucia, myśli, fakty, czyny, walące się i kłębiące jedne na drugie i jedne przez drugie, zawieja jakaś, wśród której nie widzi się żadnej drogi wytkniętej, przestrzeń, gdzie można iść na lewo, na prawo, naprzód i w tył, przestrzeń pełna płotów ciernistych, dołów, mostów niepewnych, brodów zdradliwych, gdzie nic się naprzód nie da zbadać, nic przewidzieć, gdzie albo się uda przejść cało, albo odbiera się rany, gdzie można zginąć, zaplątać się, przepaść, zgubić się, aż do zupełnej bezradności i bezwładności.

Otchłań...

Gdy ją ból prawdziwy, straszny, nieodparty, dotkliwy przejął, otwarła jej się kraina życia.

I czuje, że do takiej krainy szła i że taka

ją czekała, że prędzej, czy później powinna się była obudzić, że przestaje być dzieckiem i że staje się członkiem społeczeństwa, człowiekiem między ludźmi, że zaczyna być współczynnikiem życia i że zaczyna tworzyć życie, że zaczyna się toczyć w jakąś nieprzewidzianą, nieprzejrzaną głęb i dal wraz z olbrzymiem kołem, które obejmuje wszystko, co żyje na ziemi.

Uczuwa także, iż polecieć się teraz opiece Boskiej, ten dziecinny, ufny, bezmyślny poranny i wieczorny pacierz, nie wystarcza, że pękł pasek, który ją utrzymywał dotąd na spokojnej wodzie, woda stała się nagle mętna, większa i burzliwa, a ona musi ruchem własnych rąk i nóg utrzymywać się na powierzchni, że linka, która ją wiodła, pękła, a ona musi własnymi oczyma wypatrywać kierunku, własną głową kierunek brać i własną wolą ruch ciała nadawać.

Czuje, że teraz wszystko jest przeciw niej, że nie ma jednego atomu powietrza, czy ziemi, któryby nie stawał przeciw niej do walki, i przypomina jej się ustęp z Pisma Świętego; «Prze-klęta będzie ziemia w dziele twojem; w pracach jeść z niej będziesz po wszystkie dni żywota twego. Ciernie i osty rodzić ci będzie, a ziele będziesz jadł ziemię.

W pocie oblicza twego będziesz pożywał

chleba, aż się wrócisz do ziemi, z którejes wzięty...»

Teresa czuje, że wyszła z jakiegoś zaczarowanego ogrodu, z jakiegoś zaklętego raję.

I ta ręka ukochana, najdroższa otwarła jej jego wrota, wygnała z niego...

Przez to, co zdawało jej się najpiękniejszym, najcenniejszym, najbardziej błogosławionem i świętem, przez to otwarły jej się wrota walki, boju, zamętu, cierpień, ran, do obłąkania trudnych zmatwań życia.

Otchłań...

Jakże więc?! Wszelka jej miłość w zło się przeciw niej obraca: miłość rodziców, miłość braci, miłość tego człowieka, którego kocha sercem kobiety. Jakże więc?! To, co ma być szczęściem, daje ból; co radością, wiedzie zgryzotę; co upojeniem, wtrąca w rozpacz?..

Teresa chwyta się za głowę obu rękoma, albowiem mózg jej porywa zawrót straszny i nicestwiący.

Jakże więc?! W czym się dobrego szuka, tam złe wyrasta, trzeba więc kogoś zabić, aby ktoś żył, kogoś otruć, aby ktoś był uleczony, kląć najdroższych przeciw najdroższym? To więc jest trud i czyn psychicznego życia człowieka?

Boże! Boże!...

Teresa zwraca się ku wizerunkowi, namalowanemu na ścianie, ale choć wierzy głęboko

i szczerze, jakaś martwość uderza ją z papieru wizerunku, ze szkła, z drewnianych ram, z linii i farb. Po raz pierwszy ma potrzebę wznieślenia się ponad to, co jej przed oczy stawiono, chce Bóstwa, nie obrazu! I po raz pierwszy oczy jej toną w niezmiernej, nieskończonej, bezdennej głębi, pełnej mgły i ciemności. Bezsilna, bezwładna opada jej dusza ku ziemi.

Boże!

Po raz pierwszy wydaje się Teresie, że głos jej duszy leci gdzieś w mgłę i ciemność, daleko, daleko, daleko...

I staje bezradna, bez słów, bez łez, bez ruchu, bez woli, bez wiedzy jakiegokolwiek innej, oprócz tej, która jej właśnie ten stan jej uświadamia, wobec ziemi i nieba pełnych grozy, trwóg i pomroku.

Otchłań...

Straszliwa migrena zatrzymała Teresę w łóżku dwa dni. Na trzeci dzień rano, kiedy księżę Samuel kręcił się po sąsiednich pokojach, Teresa zczerniała, wychudła, z podsiniałymi okropnie oczyma, wyszła ze swojej sypialni i pierwszy raz się do niego uśmiechnęła, a przynajmniej usiłowała uśmiechnąć, i pierwszy raz wyciągnęła ku niemu samą rękę do pocałowania. Jest tak biedna... Potrzebuje, żeby ją kto kochał, ktokolwiek-

bądź, ktokolwiekbądź — potrzebuje, aby ją ktoś zasłonił przed pogardą Rdzawicza, od tego splnięcia na jej twarz, na jej duszę, na jej honor, na jej wiarę, na jej serce, na całą jej istotę, życie całe.

Księżę Samuel przycisnął jej rękę do ust, przycisnął drugą, ukląkł przed nią, objął jej kolana i całował po nich.

Kocha ją, naprawdę kocha — Teresa czuje.

W nim zaś wrą i kipią zmysły i to osłabienie tej dziewczyny podnieca je, jak płomień.

Teresa ma ochotę oprzeć się w ramionach Wiśniowieckiego. Jest tak strasznie, strasznie, strasznie biedna...

Hrabina Wyczewska tłumaczy zaniepokojonej cokolwiek wyglądem Teresy księżnie Wiśniowieckiej, że Teresa jest do szaleństwa zakochana w księciu, że nie sypia całymi nocami, o ile zaś śpi, to na własne uszy słyszała, że imię jego raz wraz powtarza; że przy jej skromnym wychowaniu to, co teraz czuje, przeraża ją i bardzo zrozumiale wyprowadza z równowagi, że wreszcie mieć takiego narzeczonego i czekać na takiego męża...

Księżna zaczęła się uśmiechać, dumna i kontenta.

Potem księżna zabrała hrabinę Wyczewską do swego gabinetu i po jakimś czasie, księżna paląc egipskie wonne papierosy, hrabina Wyczewska popijając słodki, delikatnego smaku likier francuzki, poczęły przeglądać stare albumy z fotografiami, wyszukiwać wspólnych znajomych, z których wielu już pomarło, przypominać sobie młodość minioną i podobne uczucia, jakie teraz odbierają Teresie sen i wstrząsają dreszczem jej młode, świeże ciało...

Hrabina Wyczewska kłamiąc o Teresie, nie kłamała o sobie; księżna utonęła myślą w swojej świetnej przeszłości...

I jeszcze jedną nowinę wyczytał Rdzawicz w genewskiej czytelnicy polskiej: oto, że ślub Teresy odbędzie się piątego stycznia w Krakowie, w kościele Panny Maryi.

Do dna!... Do dna!...

I pociąg wiózł go przez wielkie, śnieżne Alpy, przez puste śnieżne pola morawskie.

W małym podręcznym hotelu w Krakowie Rdzawicz zapisał się jako Jakób Straceński, przemysłowiec z Brzeżan.

Był wieczór czwartego stycznia. Rdzawicz stał przed krzywo pokazującym lustrem i oglądał się w czarnych okularach, przymierzając do twarzy kupioną w Wiedniu czarną długą

brodę. Kupiec zapewniał go, że go na *Maskenballu* nikt nie pozna. Był karnawał.

Maskenball!... istotnie!..

Wyszedł z hotelu, lepki śnieg padał grubemi płatami, ciemno było i mało ludzi snuło się po mieście.

Rdzawicz szedł z ulicy w ulicę, zasłaniając się parasolem, zresztą mało tu miał znajomych, prawie nikogo.

Wszedł na Rynek. Zegary były dziewiątą, były, jak jego zegar ścienny w pracowni na Skibówce.

W ulicy Szewskiej spostrzegł przed sobą kobietę, chudą, szczupłą, w czemś, co przypominało kapelusz, w letnim, krótkim do bioder żakiecie, utykającą na lewą nogę. Nędza wiała od niej. Jednak poznać można było, kto to był.

Szedł za nią; dziewczyna zauważyła to i obejrzała się pod latarnią. Nie próbowała się nawet uśmiechnąć. Wyraz jej brzydkiej, chudej, bladej twarzy był beznadziejny.

I szła dalej, utykając. Na całej ulicy było ich tylko dwoje.

Coś ciągnęło Rdzawicza za tą nędzą.

Szli znów z ulicy w ulicę, w zaułki.

Dziewczyna obejrzała się powtórnie i spytała:
Czy pan za mną idzie?

— Tak — odpowiedział Rdzawicz.

— Już zaraz. Na rogu.

W twarzy jej usiłowało odmalować się zadowolenie.

Weszli do ciemnej sieni małego, jednopiętrowego domu. Dziewczyna przeszła do drzwi od dziedzińca, otwarła je i zapaliła w pokoju lampkę. Była to izdebka mała, tak niska, że się głową nieledwie tykało sufitu. Stały w niej: brudne łóżko, mały stół, kuferek, dwa krzesła i na trzecim miednica, z przewieszonymi przez poręcz dwoma ręcznikami. Nad łóżkiem jakieś dwie fotografie. W rogu piecyk żelazny.

Dziewczyna pytającym wzrokiem patrzyła na Rdzawicza, stojąc przy piecyku.

— Pali się? — zapytał Rdzawicz.

— Nie. Przedwczoraj się paliło.

— Zimno tu.

— A zimno. Ale cóż robić?..

— Nie masz pieniędzy?

— Nie mam.

Rdzawicz dał jej guldena.

Wzięła bez podziękowania.

— Usiądź.

Usiadła i zaczęła rozpinać kołnierzyk; Rdzawicz dał jej znak ręką, aby przestała.

— Zawsze co zarobisz?

— Czasem nic.

Dziewczyna spojrzała nań tak, jakby się dziwiła, że nie widzi jej brzydoty, jej chudości, jej nędzy.

Rdzawicz wyjął papierosa i dał dziewczynie; zaczęła chciwie palić.

— To truje głód — powiedziała.

— Chce ci się jeść?

— Wczoraj jadłam.

Rdzawicz znów dał jej trochę pieniędzy.

Dziewczyna popatrzała nań, jak na waryata.

— Za co mi pan daje?

— Boś biedna.

— Oj, prawda! Biedna ja jestem!

— Dlaczegoż nie nie robisz?

— Nie umiem. I ktoś mię weźmie? Zresztą ja już muszę tak.

— Musisz tak?

— Nie jestem ładna, nie jestem tęga — a przecie muszę tak... Naprawdę to raczj jak żebraczka...

Rdzawicz patrzył na tę nędzę i wtapiał się w nią myślą. Gdzieś w zaułku krakowskim, w norze u nędzarki, w wieczór przed ślubem ukochanej kobiety... Dobrze mi tu — przyniosłem nędzę do nędzy, śmierć do śmierci...

I ja muszę tak — mówił sam do siebie.

— Słuchaj — rzekł po chwili. — Tu nikt nie przyjdzie?

Dziewczyna machnęła ręką. Ktoby tu szedł!

— To się połóż i śpij.

— A cóż pan tu będzie robił? Czy pan nie ma mieszkania?

— Mam, ale mi się nie chce wracać. Masz jeszcze.

I dał jej znowu trochę pieniędzy.

Dziewczyna rozebrała się, położyła do łóżka. Niedługo zaczęła chrapać.

Rdzawicz siedział przy stole z głową opartą na rękę.

Teraz w Grand Hotelu, w tym samym, skąd przed kilku miesiącami odebrał list, jest zapewne przyjęcie. Teresa dumna, szczęśliwa, promieniejąca, w przepysznych klejnotach od narzeczonego, w białej sukni, olśniewa i zachwyca urodą i wdziękiem. Uśmiecha się najpiękniejszym na ziemi uśmiechem, uśmiecha się tak, jak się uśmiechała do niego...

Skroń przy skroni szli tam, w czarną, ciemną otchłań...

Och! Czemuż wtedy nie przyszła śmierć?! Nie miałoż to być *wszystko?!...* Miasto śmierci przyszło to śmiertelne wyznanie: kocham...

Goście się rozchodzą. Promienna, pełna radości Teresa kładzie się do łóżka.

Ostatni raz do panieńskiego łóżka. Pełne szczęścia i pełne razem trwogi i niepokoju serce bije jej w piersi... Czeka, pragnie, żąda i lęka się... Jutro...

Nędzarka chrapie, przewraca się niespokojnie po brudnej pościeli, jęczy, morzy ją wido-

cznie głodowy sen. Już było za późno, aby wyszła kupić co zjeść.

Smród, zaduch po prostu odurza. Ale Rdzawicz znajduje jakąś satysfakcyę w topieniu się w tej nędzy. Jest to jakaś satysfakcyja doskonałości: ze swoją nędzą moralną tylko wśród takiej nędzy fizycznej jest zharmonizowanem dziełem. Dziełem sztuki.

Ma ochotę wstać i wołać do dziewczyny: Patrz! Jestem wielki artysta, wielki rzeźbiarz i malarz, brałem konkursy na światowych wystawach, imię moje jest głośnie, przejdzie po za mój grób, długo, długo..

I głowa opada mu na kant wstrętnego, poplamionego naftą i tłuszczami stołu.

Z przedartym listem swoim w rękę Teresa siedzi na łóżku. Swita już.

Jeszcze, jeszcze czas!.. Jeszcze czas iść go szukać, rzucić mu się do nóg, błagać... Gdzie szukać? I nic, nic, nic, jednego słowa, jednego czynu, jednego znaku życia, tylko ten list przedarty?!.. I za co? Że jest biedna, słaba, bezsilna dziewczyna, że czekała ratunku, wybawienia, od niego, od mężczyzny...

Zabawił się nią, zabawił się sam w swoją miłość, a potem cisnął ją... Ach! Gdyby przynajmniej wiara, że choć wtedy był szczery, że

czuł, że nie ludził siebie i jej, kiedy szli skroń przy skroni w tę ciemną otchłań, a on szeptał: teraz niech przyjdzie śmierć... I przyszło słowo życia: kocham... kocham...

Teraz niech się już dzieje, co chce. Wiśniowiecki ją kocha, więc niech ją bierze. Gdyby to był kto inny, oddałaby mu się tak samo.

Niech ją bierze, kto chce, byle się miała o kogo oprzeć, byle się miała gdzie podziąć przed swoją rozpaczą i tą wzgardą człowieka, którego tak kochała!... tak kocha!... Może więcej, niż kiedykolwiek, mimo wszystko...

Snadź Bóg tak chciał i tak postanowił. Snadź jest jakiś puhar goryczy, przeznaczony dla niej przez Boga, który trzeba wypić do dna. Dziej się wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi... I niech to straszne cierpienie kupi jemu choć jeden dzień szczęścia...

I przyszło to rano, południe piątego stycznia, kiedy miał się odbyć ślub Teresy.

Do dna!... Do dna!...

Rdzawicz włożył czarne okulary i przed krzywem lustrem przykleił długą czarną brodę, kupioną w Wiedniu.

Nikt go nie pozna na *Maskenbalu*.

Komedia!

Do dna!

Wypić do dna ten puhar goryczy, nic nie mieć sobie do wyrzucenia, nic do przypuszczenia, że się z tego bólu oszczędziło kroplę, że się go nie wykorzystało, nie użyło do ostatniej kropli.

Do dna!...

Rdzawicz położył rękę na rewolwerze.

Zastrzelisz się tam?... Nie... Więc po co chcesz wziąć? Aby samemu przed sobą więcej jeszcze tragicznie wyglądać? Na ślubie swojej niedoszłej żony, w czarnych okularach, z przygotowaną brodą z wiedeńskiego magazynu i rewolwerem w kieszeni? Dalszy ciąg komedyi?

Rdzawicz umieścił się w kościele z boku, tak, aby wszystko mógł widzieć. Nic nie chciał uronić, nic stracić.

Uczynił się ruch wśród tłumu, a w chwilę potem zaczął się sunąć ku głównemu ołtarzowi świetny orszak, butny, hardy, pełen pozy, afektowanej swobody i sztucznie wytresowanej nonszalaney. Dwóch wysokich panów w polskich strojach wiodło pod rękę Teresę.

Zobaczył ją!

Kurczowo uchwycił się pulpitu ławki, przy której stał.

Szła biała, nie zwykłą swoją białością, ale białością siną, kredowej barwy. Oczy miała w sinych obwódkach, usta nieco rozchylone jakby chwytając tracony co chwilę oddech. Pa-

nowie, którzy ją wiedli, widocznie podtrzymywali ją pod rękę.

— Panna młoda musi być chora — doleciało uszu Rdzawicza.

Rzucić się tam! Roztrącić wszystkich!... I odebrać jej spojrzenie, jak ślinę na czoło.

Uklęka obok przyszłego męża, ksiądz modlił się, rękę im stulą wiązał, pierścionki zamieniał. Książe Wiśniowiecki odpowiadał wzruszonym, ale mocnym głosem; szeptu Teresy wcale słychać nie było.

Nagle zachwiała się — ach! — padnie!... Książe szybko wsparł ją ramieniem. Opanowała się widocznie. Znów klęczy nieruchoma. Ksiądz nad nimi modły odprawia i organy brzmią.

Już są żoną i mężem...

Powstali i stanęli obok, aby asystować drugiemu ślubowi, brata Teresy z hrabianką Kmitówną.

Rdzawicz widzi doskonale twarz Teresy. Nie ma w niej kropli krwi, oczy, trawione jakąś gorączką, nieruchomo patrzą w przestrzeń, jakby nic nie widziały, nic nie spostrzegały. Jej twarz nie wyraża nic, tylko pierś pracuje, i to znać pod białym stanikiem. Rozchylone usta łapią powietrze. Nie patrzy na swego męża, który stoi obok świetny, dumny i tryumfujący — nie, to poza, to maska... W jego ciemno-szafirowych oczach od czasu do czasu zapala się

błysk, a wargi pod czarnym wąsem drgają czasem szybko, gwałtownie, ale ledwo dostrzegalnie.

Serce Rdzawicza skurczyło się obawą, straszłą, śmiertelną, nagłą obawą. Jakieś straszne, śmiertelne światło rozdarło mu duszę, jak piorun chmurę. Boże!... Mózg jego zapłonął, jak chmura od gromu.

Boże! A gdyby!...

Palce Rdzawicza wgniatają się w twarde drzewo pulpitu ławki kościelnej.

Gdyby!...

Krew podbiega mu w gardło, w kark... dusi go... Gdyby?!... Jeżeli on nie rozumie, co się stało, jeżeli ona go kocha, jeżeli mógł...

Ciemno, ciemno... Niema kościoła, niema orszaku, niema ludzi — ale Teresa nie biegnie ku niemu, nie wzywa go, nie woła... Czarne okulary i wiedeńska broda nie dają go jej poznać. «Nikt go nie pozna na *Maskenbalu...*»

Rzucić się tam ku niej, krzyknąć, zapytać jej...

Nie, nie — straszne światło zgasło w mózgu Rdzawicza. Nie — gdyby go kochała, nie stałaby tu. Nie byłoby takiej siły ludzkiej, któraby ją mogła przymusić tu stać, gdyby go kochała. Może być chora, może być bardzo wzruszona, może wreszcie idzie za męża bez miłości, dla karyery tyłko...

Nagle oczy Teresy obróciły się na tłum.

Jakieś życie wstąpiło w nie, poczęły patrzeć, widzieć. I przesunęły się po twarzy Rdzawicza, po jego czarnych okularach i czarnej, długiej wiedeńskiej brodzie — i poszły dalej, jakby szukały czegoś, szeroko rozwarte... Nie poznano go na *Maskenbalu*.

Ksiądz zaczął mowę do obu młodych par naraz. Mówił długo, wymownie i pięknie. Wskazywał obowiązki, jakie wkłada znakomity ród i bogactwo. Organy zagrzmiały. Orszak ruszył od ołtarza ku drzwiom.

Rdzawicz stał i patrzył, jak wsparta na ramieniu księcia, który ją teraz prowadził, Teresa, z oczyma spuszczone ku ziemi, podobna do posągu śmierci, nie do symbolu wesela, wychodziła z kościoła, blisko niego, blisko...

Czy ty wiesz, czy ty wiesz, że ja tu stoję?! — zawyło w duszy Rdzawicza. Ach! W tej chwili, w tej chwili przynajmniej ciebie musi sumienie gryźć, musi palić wstyd! Dla tego jesteś taka blada, tak smutna, taka w twarzy bez kropli krwi. Może czujesz, może przypuszczasz, że ja tu jestem, blisko, blisko, blisko...

Organy grają. Orszak weselny wyszedł z kościoła i Rdzawicza wyniósł z niego tłum na przekłete, po trzykroć przekłete powietrze, na

przeklęty, po trzykroć przeklęty dzień, na przeklęta, po trzykroć przeklęte życie...

Hrabstwo Morscy po śniadaniu przebierali się u siebie, aby odprowadzić Teresę z mężem na kolej.

— A! Wydaje mi się to wszystko prawie snem! Nasza córka księżną ordynatową Wiśniowiecką! Zdzisław mężem Kmitówny! Nie śmiem prosić o coś podobnego dla naszych młodszych dzieci! — mówił hrabia Morski do żony, wiążąc krawatę. — To by było za wiele łaski Pana Boga. Czego ty jesteś jakaś nie swoja, zamiast się cieszyć?

— Wiesz — odparła hrabina — boję się, żeśmy jednak Teresę przymusili do tego mariażu. Uważałeś, jak wyglądała przy ślubie?

— Głupstwo! Zresztą, jeżeliśmy ją nawet przymusili trochę, to tylko dla jej dobra. Mieliśmy pozwolić jej iść za tego Rdzawicza, czy jak mu tam? Pozwolić zamienić księcia Wiśniowieckiego na jakiegoś włóczykija z pod ciemnej gwiazdy? A co prawda, to i twoje refleksy już nie na czasie.

— No, naturalnie, że nie mogło się lepiej stać, niż się stało... żal mi jej jednak... Ona go nie kocha.

— Wolę, żeby była niekochającą księżną Wiśniowiecką, niż kochającą imci Rdzawiczową.

— Ale jeżeli jej to nie da szczęścia?

— To będzie głupia. Zresztą da, bądź spokojna. Czekaj jej listów z podróży. Chłopak jak świeca! Wiśniowieckich krew!

Pani Morska westchnęła mimo zapewnień męża.

Tymczasem Teresa przy pomocy panny służącej kładła podróżny kostium. Mieli jechać do Grecyi i Egiptu, wracać przez Włochy. Teresa tłumila płacz i połykała lzy słone i gorzkie.

Hrabia Morski, już ubrany, zapukał do drzwi Teresy.

— Gotowaś, księżno Samuelowa?

— Prawie zupełnie, papo.

— Za kwadrans trzeba jechać na kolej. Najpiękniejszy dzień mego życia świeci. Ale mogłabyś już dać pokój tym melańcholiom. Czego ty chcesz u Boga, dziewczyno? Śliczny człowiek, góry złota, mitra książęca spadły ci w garście, jak z nieba — czego ty chcesz?!

— Papo — rzekła porywczo Teresa — zrobiłam, coście mi kazali. Możecie ze mną zrobić wszystko, ale nie możecie mię zmusić do kłamstwa wobec siebie samej!

Hrabia Morski tak się oburzył, że odwrócił się plecami do córki, ciskając przez zęby: Oślical! Wtem, prawie nie pukając, wpadł książę.

— Już?! Gotowa pani? Tereniu?

— Zaraz — odpowiedziała za Teresę pani Morska.

Książę patrzył na żonę, jakby się wahał, wreszcie poskoczył ku niej i pocałunki poczęły padać, jak grad, na zbladłe usta i białą twarz Teresy.

— Bądź spokojna — mruknął hrabia Morski do żony, wyprowadzając ją dyskretnie za rękaw z pokoju.

Teraz więc przyjdzie ta godzina... Teraz więc przyjdzie ta godzina...

Drzwi od wagonu zamknęły się. Zostali sami, sam na sam. Książę jeszcze stał przy oknie. Pociąg ruszył.

— Do widzenia! — zawołał książę i zasunął szybę wagonu, bo dzień był zimny.

Poczem padł na kolana przed Teresą i zaczął całować jej nogi, suknie, ręce, potem podniósł się powoli, nachylił nad nią i całował usta, szyję, twarz, oczy, włosy, potem jego drżące ręce zaczęły ją obejmować nerwowo, namiętnie.

Teresa wyrwała się i cofnęła w róg siedzenia.

On pchnął się ku niej i znów ją objął.

Teresa odsunęła mu ręce.

Począł się łąsić, kędzierzawą swoją głową ocierać się o jej ramię, patrząc na nią do góry pokornie, prosząco.

I znów objął ją i znów wyrwała mu się z objęć, szepcząc porywczo:

Nie! Nie!

Wówczas jemu skurczyły się brwi i usta i złe światła zalśniły mu w oczach.

Uchwycił obie ręce Teresy za dłońmi, ścisnął je aż do bólu i syknął przez błyszczące, ścięte zęby: Nie?!...

ROZDZIAŁ IX.

Dzika, szalona, wściekła energia twórcza rozsadzała głowę Rdzawicza. Miał wrażenie, że głowa jego to jest słaba urna gliniana, w której wrą rozpalone metale.

Czasem chwycił skronie w ręce i zaciskał oczy, jakby się bał, że kości nie wytrzymają naporu myśli, że wzrok oślepnie od tłoczących się weń wizyj. Jego rzymska pracownia zawieszona była kartonami, na które rzucał kompozycje, nie mając czasu ich wykonywać.

«Cisza», po raz wtóry w Rzymie zaczęta, w pośpiechu tylko w gipsie wykonana, stała gotowa w pracowni. «Napoleona na łożu śmierci», którego model w gipsie był już wystawiał, kuł w marmurze, pragnąc go również odlać w bronz. A obok tego kuł nowe pojęcie «Anioła śmierci»: na ziemi na wznak leżał człowiek umarły, z pełnym bolesnego zmęczenia wyrazem w zastygłych śmiercią rysach, ponad nim zaś sie-

dział na pniu ściętym olbrzymi z opuszczonemi skrzydłami duch, z twarzą fatalną, spokojną i ponurą, lewą stopą oparty o bok leżącego. Była to zimna, twarda, obojętna, niewzruszona natura.

Na sztalugach stał namalowany własny portret artysty, na którym szyderczo uśmiechnięty satyr ukazywał w zwierciadle twarz malarza umarłą. Obok na wielkim płótnie w szalonych susach z powykrzywianemi niezmiernym śmiechem twarzami, grupa nagich nimf tańczyła w kolo jakiegoś oblakańca, który namiętym uściskiem obejmował dumny, bezręki posąg Wenus Milo. Ale twarz tej Wenery miała podobnie, jak «Cisza», pewne podobieństwo z Teresą.

I dalej wymalował obraz, gdzie spienionego rumaka poeta z małą arfą w ręku spina do skoku nad przepaścią, z kąd w górę wionęła postać niewieścia w złotym hełmie i złotym pancerzu, ze skrzydłami u ramion i złotym mieczem w ręku.

I jeszcze był nieduży obraz, gdzie człowiek niemłody, w robotniczem odzieniu, wiózł na tarczach po wążkim pod górę nad otchłanią pomoście skarby przeróżne, złoto i srebro, w trudzie, w pocie — i oto zatrzymał się, albowiem na przeciwległym krańcu pomostu, w górze, ujrzał kamienny kształt Sfinksa, a na nim okrakiem siedzącą obojętną Śmierć.

Kiedy Rdzawicz rozglądał się po pracowni, myślał: oto owoce Teresy.

I ogarniał go śmiech. Spełniła swoje zadanie — zapłodniła mi mózg i poszła.

«Poszła dalej zimno, obojętnie... *)
Próżnom drżał...»

Już zbliżał się koniec kwietnia. Rdzawicz wyjechał po ślubie Teresy do Rzymu — związał się tu, skupił i stłoczył w sobie. Nie widywał nikogo i żył sam. Jedyni ludzie, jakim do siebie dostęp dawał, to byli modele i pomocnicy.

Pracował.

Postanowił odpowiedzieć Teresie. Odpowiedzieć godnie. Teraz nadeszła «chwila Samsona».

Kuł i malował. Szalona, dzika, wściekła energia twórcza rozsadzała mu głowę, gdy serce wyło z bólu, z tęsknoty i z rozpacz.

Tworząc myślał: karmię innych, sam jedząc własny mózg, pijąc własną krew. A nieubłagana, szatańsko zuchwała ironia szeptała mu: stań teraz w pozie Hamleta z trzeciorzędnego teatru, lewa noga naprzód, prawa ręka za ka-

*) Asnyk.

mizelką, głowa dumnie wzniesiona i oczy melancholijnie w pół przymknięte...

Już wszystko było skończone, z wyjątkiem Napoleona. Pewnego ranka wczesny, Rdzawicz zmęczony wybiegł na miasto i wszedł na taras kamienny, skąd się patrzy na starożytne Forum rzymskie i pałace cesarów. Godzina była tak wczesna, iż nikt się tam nie kręcił. Tylko na ławce kamiennej Rdzawicz ujrzał siedzącą Teresę. Stał i opadła go bezsilność.

Chciał zawrócić i uciec, ale nie miał władzy w nogach.

Na jej twarzy, opalanej od słońca i cudnej, wymalowało się przerażenie.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez ruchu, bez drgnięcia.

Nagle ona, przyciskając ręką pierś, jakby tłumila łkanie, powstała i uczyniła ku niemu krok, z wyrazem jakiegoś z wnętrza wnętrzości wydzierającego się bólu. Rdzawicz odsłonił głowę i zbliżył się. Podali sobie ręce. Uścisk to był długi, głęboki, do serc głęboki.

I trzymając się za ręce, bez jednego słowa, patrząc w oczy swoje, jakby się ich dusze nawzajem całowały, podeszli ku kamiennej balustradzie tarasu.

I znów stali chwilę milczący, duszę mieszając z duszą.

Gdzieś, w jakimś kościele, zaczął bić dzwon.

— Dzwon — szepnęła Teresa.

— Śmierci — odpowiedział Rdzawicz.

Wówczas ona podniosła jego rękę do ust i poczęła ją całować rzewnie, gorąco, słodko i boleśnie, a z oczu poczęły jej na rękę płynąć łzy. Rdzawicz wysunął jej rękę z dłoni, ujął jej obie ręce w swoje i jedno tylko słowo zdołało mu wyjść ze ściśniętego gardła:

Teresia...

Wówczas Teresa wybuchnęła głośnym, nie-pohamowanym płaczem.

Łkała długo, a łkanie to tłumaczyło mu wszystko. Każde wstrząśnienie piersi Teresy było nowym wyrazem. Kiedy ustała lkać, już mu nic nie było tajne. Tylko tak fatum chciało...

— Dlaczego nie uczyniłeś nic, nic?...

— Myślałem, że twoja wola się dzieje.

— Czekałam na ciebie... Myślałam, że wyrwiesz mnie, że uratujesz dla siebie, że mnie ocalisz... Nic, nic.. Jednego słowa, jednego czynu, jednego znaku życia... Jeszcze w kościele, po ślubie już, nagle wydało mi się, że ty jesteś tam, że rozepchniesz ten cały tłum, że rzucisz się ku mnie i krzykniesz: jestem!... Byłam tam przy ołtarzu umarła - nagle wstąpiło we mnie życie, podniosłam oczy na tłum...

— Byłem tam,

— Byłeś?!

— Oczywiście przeszły przez moją twarz i nie poznały mnie. Byłem w masce.

— Byłeś? Jezu!...

Teresa zatoczyła się i padła na kolana przy balustradzie. Nowa fala płaczu, fala tak straszna, iż zdawało się, że serce jej znieść nie może, zdławiła pierś Teresy.

— Więc ty byłeś tam... Dlaczegoż nie rzuciłeś się ku mnie?!

— Bałem się, że mi pluniesz oczyma na czoło...

— A ja zrozumiała, że mi plunął na czoło rozdartym listem moim...

— Dlaczego nie napisałaś mi nic?

— Czyż wiedziałam, gdzie cię szukać? Nie mogłam zresztą... Ty nie wiesz... Rodzice, bracia moi, ksiądz... Co przesłama... Czekałam na ciebie — tak wierzyłam... I tyś wiedział — dowiódł mi tego mój odesłany rozdarty list... I to było wszystko z twej strony, wszystko! Wszystko! Wszystko od ciebie, któremu się marmur kruszy w rękę, od ciebie, przed którym kamień drży! Od ciebie, któryś mnie kochał!...

Skurczyła się przy balustradzie, zgięta, zwinęta z bólu.

Rdzawicz uczuł, że popełnił zbrodnię. Straszne, czerwone słońce sumienia zaświeciło mu

na niebie, stokroć większe, stokroć jaskrawsze, niż to, co świeci codziennie.

— Dlaczego?! Dlaczego?! — jęknęła z pomiędzy zaciśniętych na twarzy dłoni Teresa.

Dlaczego nie przyszedłeś ratować mnie?!...

— Bałem się wzgardy twojej, ich...

— Więc miłość swoją własną przenieś nad miłość naszą... Więc aby się nie narazić... aby nie narazić... Nie chciałeś przyjść przekonać się... Zwątpiłeś o mnie, ale nic nie uczyniłeś, nic, aby nie wątpić, że się nie mylisz... Więc wolałeś zabić mnie i siebie — — zabiłeś nas dla swojej pychy, dla swojej ambicyi i dla swoich przypuszczeń...

— Myślałem, żeś mnie przestała kochać, żeś nie kochała nigdy... Przysięgłaś...

— Przysięgłam!... Rozwiązano moją przysięgę, nazwano ją głupstwem... Ale to nic! Ja przecie byłam w twojem ręku, w twoich męskich rękach! Wszystko stanęło przeciw mnie — ale ty nie przyszedłeś mnie ocalić — dla siebie i dla mnie... Czy to nie był twój obowiązek męstwa odwagi, dumy, honoru: przyjść, przekonać się, poznać?...

— Myślałem, że mnie już nie kochasz.

— Mógłśes wątpić?! Mógłśes wątpić o tem?! Ale jeżeliś wątpił, miałeś prawo przyjść zapytać mnie o to! Ja jedna, twarz w twarz, mogłam ci odpowiedzieć, czy cię kocham jeszcze?

A ty odwróciłeś się ode mnie, aby swoją miłość własną ochronić... I miałeś odwagę przyjść na mój ślub — i stać tam w masce — i patrzeć, że ja konam, że ja konałam z bólu, tam, przy tym oltarzu... o!...

— Tereso!

— Zbrodnię! Zbrodnię popełniłeś na mnie i na sobie! Zabijeś życie nasze, nasze szczęście, nasz cel istnienia... Zabijeś bez miłosierdzia, bez miłosierdzia, bez ratunku!

Placz Teresy przechodził w wycie, chustką tłumione.

Rdzawicz czuł, że mózg stopniał mu w głowie, a serce zamieniło się w twardy węzeł bolesny.

Nagle Teresa oparła się rękoma o balustradę, podniosła głowę i patrząc na Rdzawicza, zaczęła mówić przez śmiertelny uśmiech:

Widzę cię... znowu cię widzę... ty mój... ty jedyny... jedyny, którego kocham, którego kochać będę do ostatniej chwili... ty mój...

Śmiertelny uśmiech stroił jej usta.

Wówczas Rdzawicz uczuł, że przez mózg, szpik, do serca idzie mu rozpalony, kręty, wązki i długi miecz.

Z jakąś mocą, z jakąś wolą nadludzką Teresa wstała i rzekła głucho, z wnętrza wnętrzości wydartym głosem:

Wszystko skończone. Patrz — za kilka mie-

sięcy będę mieć dziecko... Jestem cudzą żoną...
Będę matką jego dziecka... Wszystko skończone.

Odejdę. Nie idź za mną. Żyj, bądź szczęśliwy,
twórz. Bądź wielki, sławny. Znajdź szczęście.
Tobą żyję, przez ciebie. Kiedy umrę, przyjdź
na mój grób, w takie wczesne, ciche rano wio-
senne, jak dziś, i połóż mi ten rąbek chustki,
w którą dziś płakałam, na grobie... Masz...
Przyjdź...

I silniejsza, niż wszystko, siła zarzuciła jej
ręce na szyję Rdzawicza i przycisnęła usta do
jego ust.

— Nie chodź za mną, nie, nie, nigdy! —
szeptała, trzymając jego ręce. — Jestem chrze-
ścijką, wierzę, jestem cudzą żoną, będę ma-
tką... Nigdy, nigdy... I ja nigdy na twoją drogę
nie wejdem... Musimy się unikać... Ty jeszcze mo-
żesz być szczęśliwy... I myśl, że ja także będę —
będę — przez dzieci moje...

Głos załamał się jej w piersiach.

Rdzawicz czuł, że mózg jego i serce zbiegły
się razem, spalone w żużle piekącą.

— Bądź zdrow — rzekła Teresa, wstrząsa-
jąc mu dłonie. — Pamiętasz nasze poznanie się?
Ten raut?... Ten bal?... Abbazyę? Tatry? Nie
mogę mówić... Ja tem żyję... Bądź zdrow! Bądź
zdrow! Bądź zdrow!...

Puściła mu ręce i odchodziła szybko, szy-
bko...

Jeszcze, kiedy zniknąć miała za murem, obejrzała się i od ust posłała pocałunek i słowa pełne śmiertelnej miłości, śmiertelnej słodyczy i śmiertelnej bolesti: Bądź zdrow!...

Rdzawicz pozostał sam. Na martwe ruiny zwalisk rzymskich padało słońce i on patrzył na nie, patrzył, patrzył, a w duszy poczył mu pod tem słońcem wykwitac, zielenic się, woniec i lśnić kwiat śmierci.

Fatum więc chciało tak. Wszystko było w mojem ręku, wszystko mogłem być..

Od widzenia się z Teresą drugi już miesiąc Rdzawicz żył jednym tylko słowem: mogłem...

To słowo gryzło w nim mózg i serce, żywiło się jego krwią, ciałem i nerwami, jego siłą, energią, twórczością i geniuszem twórczym. Przestał pracować. Błąkał się dniami i nocami całemi po Rzymie, myśląc, że ujrzy jeszcze Teresę, ale jej już nie ujrział. Musiała wyjechać tego samego dnia. Nie pytał o nią nigdzie.

Mógł, mógł...

Ale nie chciał narazić swojej pychy, swojej ambicyi, ale więcej kochał swoją miłość własną, niż miłość Teresy, ale w nim, który rzucał od jednego zamachu olbrzymie, zuchwałe kompozycye, nie było dosyć siły, dosyć zuchwalstwa, dosyć codziennej energii i prostej ludzkiej od-

wagi, do codziennej, prostej, ludzkiej walki z życiem. Półbóg o glinianej piersi, której strzedz trzeba przed kamykiem dziecka, bo ją rozkruszyć może, bohater wyobraźni, rycerz własnego ducha...

Mógł... mógł... mógł wszystko...

I zabójcza, potworna, nieludzka zupełnie rozpacz waliła go z nóg.

I rozum jego jasno mu rzecz tłumaczył: tak wielki był wysiłek jego woli, jego energii w twórczości, iż jej na życie nie stało. Wszystko, co było w nim męskiego, silnego, bohaterskiego, tonęło w płótnie i w marmurze. Energia wyladowywała się w trudzie i męstwie twórczym i nie starczyło jej na życie.

I zaplątany węzeł: bo oto z cierpienia wstawała i rosła jego twórczość i sama znów stawała się przyczyną nowych cierpień — i tak dalej i dalej... I jak ów robotnik, którego namalował, on sam pod górę po wązkim moście pchał swoją taczkę złota i srebra, wiedzy, pracy, doświadczenia, dzieł dokonanych, a na krańcu owego wiszącego nad otchłanią pomostu czekała siedząca okrakiem na milczącym Sfinksie głucha i niema Śmierć...

Oto jest rezultat życia. Rzeczywiście, prawdę — krzyczał mu w mózgu głos — żywisz innych, ale sam żyjesz sercem własnym i własną krwią.

A myśl, że mógł posiadać Teresę, że czekała długo, że spodziewała się, że wierzyła, iż ocali ją, uratuje dla siebie i dla niej, wierzyła w jego duszy i ciele, jak tępy, straszny, do obłędu morderujący świder.

I jakaś dziwna, nieopanowana ogarnęła go żądza zobaczyć raz jeszcze to miejsce, gdzie był przez jedno mgnienie oka szczęśliwy.

Tęsknota go opanowała stanąć jeszcze raz i raz ostatni w tem miejscu, gdzie w piersi czuł bijące serce jakimś życiem, o którym wiedział, że już odeszło odeń na zawsze.

Tam przed oczyma jego zapadł dzień, który był ostatnim dniem jego żywiącego żywota.

Tam, w Ciemnych Smreczynach, koło ciemnych, spokojnych stawów, był kochany i kochał i ostatni raz przebłysło mu życie w całej swej pełni, drogie, jedyne, wielkie, umiłowane życie...

Tam, w owych wysokich, milczących górach rzucił życiu ostatnie: *Ave!* — — ostatnie: Bądź pozdrowione! — i nie słyszał, że góry odpowiedziały mu przeciągłym, ponurem, wiekuistym echem: Mającego umrzeć cię pozdrawiamy.

Było czerwcowe południe, mgliste, ale przeświecane słońcem, podobne do tego dnia, kiedy

Rdzawicz szedł ku Ciemnym Smreczynom z Teresą.

Przyjechawszy rano do Morskiego oka, Rdzawicz z rewolwerem w kieszeni, ruszył nad staw, obszedł go i począł się wdzierać pod Miedziane ku Wrotkom Chałubińskiego. Miał uczucie lekkości, rzeźwości, jakie daje silne, śmiałe postanowienie.

Postanowił.

Stanie jeszcze raz na tem miejscu, gdzie mu Teresa przysięgła być jego żoną, przejdzie jeszcze raz to miejsce, gdzie usłyszeli nawzajem ze swoich ust słowa: kocham — kocham — — i skończy życie, które ta myśl, iż Teresa czekała na jego ratunek, iż nie zrobił nic, aby ją dla siebie i dla niej uratować, czyniła zupełnie nie do zniesienia.

Żal, rozpacz i tęsknota splotły się z tą myślą w jeden nierozzerwalny splot, w jednego węźa, który śmiertelnym skrętem owinął mu pierś, chwycił z ust oddech i pił z serca krew, najgłębszą krew.

I druga jeszcze była w nim myśl: oto, że Teresa póty nie będzie miała pokoju, póki on będzie żył. Gdy dowie się, że umarł, ta przeszkoda do jej czy szczęścia, czy przynajmniej pogodzenia się z życiem, zniknie. O! nie on pójdzie położyć w wiosenne, wczesne rano rąbek chustki przepojonej jej łzami, na jej grób — ona to

kiedy może przejdzie tędy, gdzie pasterz jaki góralski napotka jego kości, rozniesione przez orły i jastrzębie.

Jej uśmiech, jej uśmiech... Rdzawicz odtwarzał go sobie w myśli, chciałby, aby on mu świecił przy śmierci.

Dziwne uczucie zadowolenia i tryumfu przenikało go. Oto nie w żadnym szale obłądu, nie w żadnym bezprzytomnym uniesieniu nerwowem, nie pod bezpośrednim, w tej chwili dotykającym faktem, ale spokojnie, z rozwagą, z postanowieniem przestanie żyć. Cóż w śmierci jest strasznego? Obawa przed *Niesnanem*, żal za istnieniem i wstręt do gnicia w ziemi. *Niesnane* jest mu obojętne, gnić w ziemi nie będzie, tylko zwierzęta drapieżne i ptaki ciało jego rozszarpia, a z istnieniem jakież jest obrachunek? Zbankrutował w tem, co było podstawą jego przywiązania do życia, do świata, do wszystkiego, co jest — zbankrutował w szukaniu osobistego szczęścia i to czuł, że raz na zawsze.

Tak, bez wątpienia: egoizm był treścią jego życia. Nie żył dla nikogo i dla niczego, przez nikogo i przez nic, jedynie li tylko sam dla siebie, sam z siebie. Dwie tylko rzeczy umiał: tworzyć i pragnąć — — poza tem był, jak jałowy step.

Teraz, w tej chwili, Rdzawicz czuł, jak i do jakiego stopnia wszystko ludzkie jest mu obcem.

Teraz w tej ostatniej godzinie życia skupiły się w nim i spiętrzyły potworna obojętność na ludzki świat i rozpaczliwe uczucie, iż błędził dotąd w zupełnej obczyźnie, gdzie nic nie ma wspólnego, nic nie łączy, gdzie nie ma żadnego wspólnego rozumienia się i odczuwania. Napróżno Kamilla Naborowska chciała go wezwać do wspólnego, społecznego, gminnego życia — on nie należał do żadnej gminy.

Rdzawicz zobaczył teraz dokładnie, iż mózg jego podobny jest do sieci o rzadkich okach, gdzie osiadać się może tylko gęsta, własna jego krew, ale wszelkie z zewnątrz wlane w nią, wytworzone przez ludzką kulturę i pielęgnowane przez ludzi wino, przecieka przez nią bez śladu.

Zresztą czemże jest życie? Przymusem do podlegania prawom, instyngtom, popędom, namiętnościom, pragnieniom i żądzom, których się może nie chcieć w sobie czuć, którym się może nie chcieć podlegać, których niewartość wobec śmierci widzi się i którymi się dlatego pogardza. Pogardzać i musieć być podległym temu, czem się pogardza! Czyż wszystko to, co jest ludzkie, wobec tego życia, które wyobraża sobie dusza, jest czegokolwiek innego godne, jak pogardy? Musieć, musieć być człowiekiem, niczem innym i tylko człowiekiem, gdy się nie chce nim być, gdy się ma pragnienie i *pojęcie*

innego istnienia, wyobrażenie, jakby się mogło żyć — jest męką.

Ach! Znosić te ohydne, albo głupie prawa życia, wykonywać błazeńskie ruchy w formie tragedyi, lub komedyi, jak pajac pociągany za sznurek, bez żadnego udziału swojej woli, dlatego, że się musi!..

Więc oto jadłem, piłem, spałem, kochałem, byłem synem, bratem, człowiekiem, członkiem społeczeństwa, członkiem narodu, myślałem, czułem, pragnąłem, nienawidziłem — bom musiał, bo byłem bezwolnym przedmiotem w ręku praw życia, które czyniły ze mną, co chciały i co było ich przeznaczeniem po prostu fabrycznem, aby spełniały...

Teresa — czemuż jest właściwie Teresa, czem jego uczucie dla niej, czem jej cierpienie, czem jego ból, czem on sam cały, jak jest — już nie ironia, jak niegdyś, przed ośmiu laty, kiedy z rewolwerem w ręku siedział pod wykutym w marmurze «Aniołem śmierci», ale nihilizm, spokojny, niewzruszony, zimny i absolutny nihilizm rozpiął skrzydła ponad nim na zatracenie.

Napróżno chciała go z podeń wyrwać wierząca w ideały życia panna Naborowska.

Nic — — nic...

Nigdy nie miał Rdzawicz tego uświadomienia swojej wewnętrznej istoty, jak w ostatniej tej

godzinie życia. Tak straszliwe, tak niepowrotne bankructwo, jedyne idealu, jaki miał, osobistego szczęścia: przedstawiło mu przed oczy w takiej jaskrawości, jak nigdy, treść jego duszy — nihilizm.

Podwoił krok i począł szybko iść naprzód. Słońce, młode i świeże, pełne wiosny, złociło się na kosodrzewinach. Szedł w górę.

I wstąpił na miejsca, gdzie stali z Teresą skroń przy skroni, odnalazł je i zdawało mu się, że stopy jego stanęły w tych samych miejscach na darni, pośród rumu kamieni skalnych.

Jej uśmiech, jej uśmiech...

Odegnął słowo: *dlaczego*, jałowe, głupie słowo *dlaczego* — — dlaczego się tak nie stało, jakby się mogło, jakby się było powinno stać?... Cóż przyjdzie z zastanawiania się nad tem? Ujrzałoby się jedynie zbankrutowane już uczucie ironii życia tu, z wyżyny, gdzie panuje absolutny nihilizm duszy.

Darł się wyżej, na przełęcz, gdzie Teresa spytała: Sprowadzi mię pan?...

Jej uśmiech, jej uśmiech...

Stanął na przełęczu.

Mgły przelatowały nad Pośrednim Wierchem, gasząc i zapalając słońce.

W dole czerniły się i polyskiwały Ciemno-smreczyńskie Stawy.

Wiatr owiał Rdzawicza, ochłodził mu czoło,
usta i piers. Odetchnął.

I począł schodzić na dół.

«Idę, idę, niby śpiący, bez myśli, bez woli,
tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli,
coś zatapia w nich swe szpony, krzywe ostre, szpony» *)
i wiatr huczy — biją dzwony — dzwony dzwony, dzwony...

Biją dzwony mego szczęścia — biją dzwony klęski —
grzmi i jęczy mi nad głową ich pogłos zwycięzki,
serce moje, bólem zżarte, w piersiach się przewraca,
idzie za mną klnąca, straszna życia mego praca...
klnąca, straszna życia praca, trud, którym dokonał,
na to żyłem, abym konał — w głuchych skalach konał,
w zimnej pustce, na pustkowie przez wichur rzucony,
sam, jak ptak odbity z stada, jak żóraw stracony...

«Idę, idę niby śpiący, bez myśli, bez woli,
tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli,
coś zatapia w nich swe szpony, krzywe, ostre szpony» — —
na śmierć moją biją dzwony — — dzwony, dzwony, dzwo-
[ny...

Nie! Precz ironio! Ta śmierć jest wyższa
nad ciebie! To jest śmierć człowieka, który nie
umiał żyć, ale umie umrzeć. To jest spokojne,
rozumne unicestwienie się istoty, której omyłką
życiową było to, że istniała, przejście *nihil* ży-
ciowego we właściwą sobie sferę absolutnej ni-
cości. Nie! Precz ironio! Ta śmierć to jest na-
wet ekspiacya względem świata, względem Te-

*) Ujejski.

resy i względem siebie samego — to jest nawet śmierć piękna.

Precz ironio! Nie zwierzęca rozpacz, nie ból od nagłego ciosu, nie jakieś niewolnictwo wobec jakichś zmuszających do śmierci kombinacyj funkcji życiowych — ale godna wolnego ducha jasna, trzeźwa myśl wie dzie na nią. Zupelne uświadomienie zewnętrznych warunków i wewnętrznego swego stanu doradza ją. Jakikolwiek był pierwotny motyw, jakikolwiek był impuls zwierzęcego bólu w zwierzęcej naturze: rozumny, świadomy siebie duch nie chcąc żyć — żyć przestanie.

I upojony myślą o piękności i niezależności swej śmierci, Rdzawicz z rewolwerem w ręku rozejrzał się dokoła. Stał nad górnym Ciemnosmreczyńskim Stawem.

Nad jego głową biegły mgły, złote, białe i błękitne, wichrząc się koło wierchów, lub rozslaniając niebo, czyste, spokojne i słoneczne.

Silny wiatr wzruszał szklaną szybę jeziora.

I w szybie tej ujrzał Rdzawicz swój obraz, ruchomy, w dziwnych skrzywieniach na zmarszczkach wody. I świadomie, przerażony tem, co wykonywa, zmuszony jakąś straszną, silniejszą, niż jego rozum i wola siłą, począł wykonywać ruchy dziwaczne, zrazu wolniejsze, potem coraz gwałtowniej.

Huksa! Huksa! Juks! Juks! Juks! Hallohiho! Erotoman! — zahuczalo mu w glowie.

Oto widzi doskonale, że naśladowuje ruchami, podrygiem i podskokami tego waryata, który jego w pogoni za Marysią z Poronina naśladował.

Widzi to, zdaje sobie z tego sprawę i nie może przestać.

Hallohiho! Erotoman! — huczy mu w glowie.

Rdzawicz myśli bardzo wyraźnie: jego rozum jest wyższy nad to, czego doświadcza, ale nerwy jego podległy wewnętrznemu wrażeniu.

Juks! Juks! Juks! — huczy mu w glowie, podzrucając jego ciałem.

Dusza pozostała sobą, ale ciało jest opętane.

Z za Pośredniego Wierchu świeci słońce, ogromne, nieodparte, straszliwie jaskrawe słońce.

Rdzawiczowi wypada rewolwer z ręki i wpada w wodną głęb.

Wówczas opanowuje go furja, szał. Podnosi rękę ku słońcu, zaciska pięść i wylamując się, rzucając nad wodą w konwulsjach i kontorsjach waryackich, krzyczy:

Mamże umrzeć, jak błazen?!

Rozpacz! Z takiej przyczyny, w takim miejscu, z tym nastrojem duszy umierać tak, że ktokolwiek by patrzył, śmiać by się musiał, tak, że się widzi własną, potworną śmieszność...

Jeżeli runie w otchłań wodną, to nie wsku-

